

67

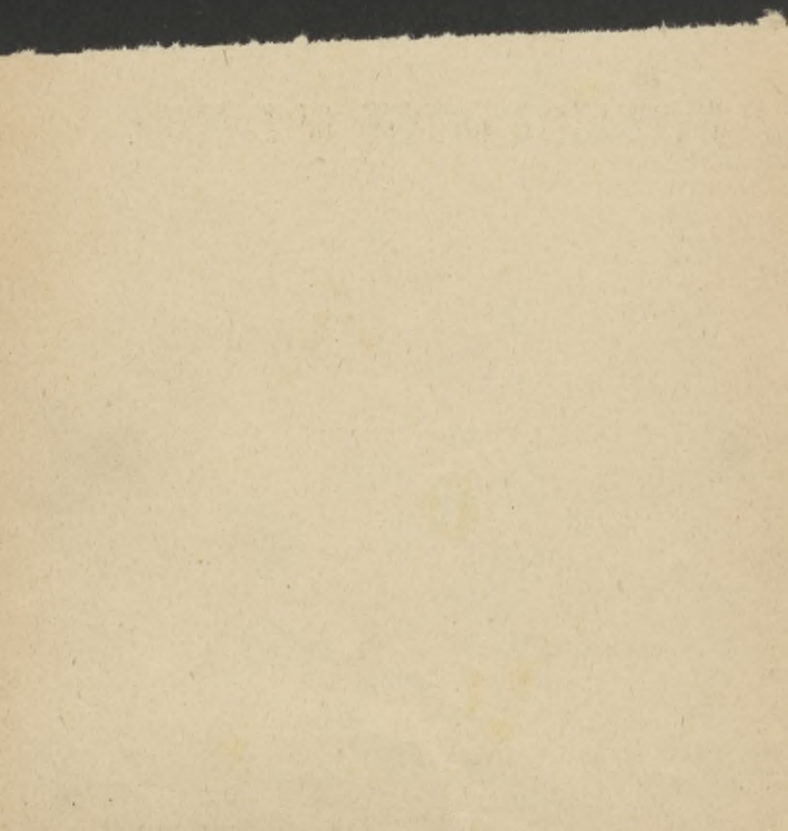
7



WYKAZ I DROGICH OJCZYSTEJ

WYKAZ I DROGICH OJCZYSTEJ

WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO.



67
MAURYCY BARRÈS.

Maurice

WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO.

przekład wolny

J. P.

Z PRZEDMOWĄ

Wł. Jabłonowskiego.

Część I.

WARSZAWA

DRUKARNIA

ALEKSANDRA TAD. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Іюня 1904 года.



199330

PRZEDMOWA.

Mało znany u nas autor powieści „*Wyrwani z gruntu ojczystego*” (*Les Déracinés*), w literaturze współczesnej swego kraju zajmuje wybitne stanowisko i jest niewątpliwie jedną z ciekawszych i oryginalniejszych postaci twórczych naszych czasów. Maurycy Barrès jest zjawiskiem wielce złożonym, chwiejnym i nieustalonym, jest duszą zmienną i pełną sprzeczności, której ewolucya—niespokojna i przerywana rozmaitemi niespodziankami — wciąż się odbywa.

Jako człowiek i jako autor przebył on już nie jedną metamorfozę. W początkowym okresie swojej twórczości zaznaczył się radykalnym dyletantyzmem, intelektualnym i uczuciowym. Wówczas był rzecznikiem „kultu jaźni”, bałwochwalcą własnej indywidualności, własnego „ja”, które uważał za jedyną nieurojoną rzeczywistość. W tym czasie, w utworze p. t. *Pod okiem barbarzyńców*, wykazywał ile to przeszkód piętrzy się na drodze jednostki spragnionej autonomii wewnętrznej, jak czyha na nią świat zewnętrzny (barbarzyńcy), nadto jak trzeba być czujnym

i wyćwiczonym, by odpierać zamachy owego „barbarzyństwa” na całość i swobodę jaźni naszej. W *Człowieku Wolnym* i *Ogrodzie Bereniki*, następnych powieściach swoich, rozwija Barrès dalej doktrynę indywidualistyczną, podając rozmaite sposoby, wiodące do wzmoczenia w jednostce ludzkiej, zajętej uprawą własnej jaźni, zdolności użycia, do dostarczenia jej najwyszukańszych rozkoszy i wzruszeń umysłowo-uczuciowych, wreszcie do pogodzenia i zharmonizowania życia kontemplacyjnego z obowiązkami i koniecznościami życia czynnego.

Utwory powyższe są doskonałym brewiarzem dyletantyzmu metodycznego, który skłonności i dążenia swoje jasno sobie uświadamia i opracowuje sposoby, umożliwiające zupełne ich urzeczywistnienie.

Na kartach tego brewiarza odbiły się stany duszy, upodobania umysłowe i aspiracje moralne wielu jednostek współczesnych, dotkniętych nadmiarem kultury, nadmiarem rozwoju intelektualnego i wrażliwości jednostek, których równowaga wewnętrzna co chwila jest nadwerężana masą sprzecznych uczuć, idei niestałych, dążeń niepewnych — lęgnących się w ich sercach zachwianych. Starają się one, poszukując pewniejszej podstawy bytu, skupić wszelkie energie żywotne na tem, co jest najbardziej niemi, na własnem „ja,” poufnem i niezależnem, niedającym się ujarzmić światu zewnętrznemu, jego powszednim sprawom i zobowiązaniom, przesądom życiowym i pospolitościom wszelkiego rodzaju. Jednakże i na tem stanowisku długo utrzymać się nie mogą: nowe zagadnienia powstają na ich drodze,

kolizye ze światem burzą harmonię wewnętrzną, pierzchają słowem nadzieje życia nierozdwojonego, zgodnego z ich myślą i wrażliwością.

Próbował nieraz Barrès godzić podobne sprzeczności — paradoksami i subtelnem mędrkowaniem usuwał antagonizmy, rozwiązywał zawile problemy psychiczne, bronił się od złudzeń i zawodów, raz ironią, znów inny litością i współczuciem (nawet), na nic to wszakże się nie zdało: — niedostateczność ćwiczenia i powiększania energii życiowych, wyłącznie na użytek własnego „ja” — występowała coraz jawniej, coraz natarczywiej.

Jeszcze raz starał się indywidualizmowi bezwzględnemu uczynić zadość w powieści „*Wróg praw*,” jeszcze raz próbował ulubioną doktrynę oświecić z innej strony, w końcu zachwiał się i wszedł na inną drogę.

Niezadowolenie osobiste z postulatów etyki „wolnego człowieka,” nieuznającego więzów zewnętrznych i stosunków, ograniczających autonomię jednostki, łącznie z oddziaływaniami życia politycznego i społecznego Francji dzisiejszej, dokonało zwrotu w poglądach Barrès'a na stosunek jednostki do ogółu, do społeczności własnej, kazało mu szukać innych sposobów wzbogacenia własnej jaźni — ćwiczenia jej rozmaitych energii, tym razem nietylko na użytek osobisty.

Niedawny wyznawca etyki egoistycznej, doszedł do przekonania, że kochać siebie samego, to znaczy także poślubić ducha istot, które nas poprzedziły na świecie, to starać się uprawiać siły przekazane nam przez zmarłych; prócz tego doszedł on

do wniosku, że energia nasza będzie wówczas tylko pełna chwały i piękna, gdy będzie zużywana z pożytkiem jakiejś zbiorowości narodowej.

Zmiana poglądów i aspiracji wywołuje odpowiednią zmianę w twórczości Barrès'a. Już teraz — w tym drugim, wyraźnym okresie swojej działalności pisarskiej — tworzy rzeczy, podyktowane troską o dobro społeczeństwa własnego, wywołane obawą o przyszłe jego losy, chęcią poznania przyczyn obniżających życie zbiorowe narodu. Tak powstają powieści: *Les Déracinés*, *Appel au Soldat*, *Leurs figures* i t. p.

W powieściach tych odtwarza Barrès historię współczesną Francji, opisuje sceny i wypadki bieżącego życia polityczno-społecznego, wprowadza ludzi rzeczywistych, sprawców i kierowników nawy narodowej. Historia i fikcja złączone tu są razem, w żywiole dydaktycznym, publicystycznym rozpląwa się zmyślenie, poezja, — artyzm nagina się do celów realnych, do zagadnień żywotnych, których rozwiązaniu bądź oświetleniu poświęca autor długie i ożywione rozprawy.

W powieści *Wyrwani z gruntu ojczystego* rozprawy podobne, motywowane poglądy i rozumowania samego autora zajmują sporo miejsca i stanowią punkt ciężkości dzieła. Zwalcza tu Barrès namiętnie rozmaite wadliwości urzędzeń państwowych Francji dzisiejszej, głównie systemu szkolnego, który nie uwzględnia odrębności prowincjonalnych i „z lekkim sercem — jak powiada — odrywa swych uczniów od gruntu ojczystego i od grupy społecznej, z którą wszystko ich wiąże, ażeby podnieść te

młode umysły na wyżyny abstrakcyi, ponad przesady życiowe." Jest on bowiem zdania, że jednostka ludzka tylko we właściwym sobie, dziedzicznym środowisku, dochodzi do zupełnego rozwoju władz swoich. Jest on również wrogiem centralizmu państwowego, upośledzającego życie prowincyi i występuje przeciw zgubnym wpływom sztucznego życia stolicy, gdzie młode pokolenia oddychają atmosferą złożoną wszystkich ludów i ras.

W poglądach Barrès'a dużo jest jednostronności, tezy, które rozwija, grzeszą doktryneryzmem, zbyt nieraz zacieśnia on pojęcie ojczyzny do cnót tradycyjnych danej części całego kraju i granic jednej prowincyi, nie mniej w wywodach jego sporo jest rzeczy zdrowych i płodnych, w krytyce przyjętych sposobów nauczania—sporo trafności i głębokiego zrozumienia strat ponoszonych przez naród. (Tu, między innymi, mam na względzie walkę z wyobrażeniem „człowieka abstrakcyjnego," wszędzie i zawsze jednakowego, niezwiązanego niczem z historią, z rasą, do której należy, ze środowiskiem najbliższem, którego jest wytworem).

Bądź jak bądź, w dziele Barrès'a poruszone zostały zagadnienia pierwszorzędnej doniosłości dla życia każdego społeczeństwa; próby ich rozwiązania są często niedostateczne, niekiedy paradoksalne nie podobna im jednak odmówić daru budzenia myśli i wstrząsania duszy.

Nieźródnany stylista występuje tu często (np. w ustępach poświęconych Napoleonowi I., W. Hugo, H. Taine'owi i t. p.), myśliciel wciąż przypomi-

na się czytelnikowi, obywatel kraju wreszcie zachęca do czynnego udziału w sprawach, od których zależy jego przyszłość¹⁾.

¹⁾ W literaturze naszej mało zajmowano się M. Barès'em. Najzupełniejszą charakterystykę jego osoby i talentu podał Jan Lorentowicz w pięknym studyum, drukowanem w *Ateneum* (czerwiec, 1903 r.).

Wł. Jabłonowski.

ROZDZIAŁ I.

Liceum w Nancy.

W październiku roku 1879 silne wzruszenie ogarnęło uczniów klasy filozofii liceum w Nancy. Nowy profesor, Paweł Bouteiller, zewnętrznym wyglądem, dźwiękiem głosu i wymową przewyższył wszystko, co wymarzyć mogli o wzniosłości i potędze mistrza.

Dotąd przeżywali tylko początkowe zasady przedmiotów szkolnych, dziś zaś dano im bodziec najsilniejszy: idee współczesne.

Liceista odbiera od organizmu zbiorowego, którego część stanowi, pewne wady i zalety, oraz pojęcie zupełnie odrębne o ideale człowieka. Jedynym celem takiego chłopaka jest wytworzenie w otaczających go ludziach korzystnego mniemania o sobie.

Miotani obawą śmieszności, liceiści przy dzisiejszym systemie pedagogicznym rozwijają nadmiernie jedną cechę charakterystyczną, mianowicie próżność.

Jedyną ich zaletą, wynagradzającą wadę powyższą, jest poczucie koleżeństwa. Za najgłówniejszy przymiot „dobrego kolegi” uważa się uchylanie

się od dyscypliny szkolnej, nienawidzonej przez wszystkich. Ci nawet, którzy przed nią uchylają czoła, rumieniają się za swe posłuszeństwo.

Na przestrzeni całej Francji rozległe licea, przypominające koszary i klasztory, zamykają w swych murach zbiór jednostek zbuntowanych przeciw narzuconym prawom, raczej zsolidaryzowanych niewolników, walczących siłą i podstępem, niż ludzi wolnych, organizujących się według jakiejś zasady przyjętej dobrowolnie. Poczucie honoru utożsamia się z pogardą dyscypliny. Po za tem chłopaków tych cechuje zupełna nieznanomość życia rzeczywistego.

Oddaleni od miejsc rodzinnych i skazani na ciągle tylko przebywanie ze sobą, nabierają o życiu, jego celach i warunkach pojęć opłakanych.

Paweł Bouteiller po wejściu do klasy zasiadł na katedrze i przeglądał książkę tak długo, aż uznał, że każdy z uczniów miał już dosyć czasu na przygotowanie się do wykładu; wtedy podniósł powieki.

W sali panowała cisza zupełna. Od pierwszej chwili widocznem było, że młody nauczyciel należy do kategorii ludzi, którzy odrazu stają się panami położenia.

Wzrostu średniego, cerę miał bezbarwną, właściwą ludziom prowadzącym życie zamknięte, oczy lekko zaczerwienione, jakby zmęczone.

Skłonność do refleksyi i praca umysłowa wyryły na tej twarzy wyraz powagi i skupienia. Najczęściej patrzył w ziemię, a jeżeli podnosił oczy na ucznia, miażdżył go potęgą swego spojrzenia i nie potrzebował nigdy uciekać się do kary. Wywierał urok dziwny i umiał się odwołać do poczucia godności osobistej. Na wstępie powiedział słów kilka na temat wysokiego pojęcia, jakie miał o swem zadaniu: przybył po to, aby ich wykształcić na ludzi i obywateli. Lecz oni również mieli do spełnienia

obowiązki wielkie, obowiązki względem patriotyzmu i solidarności. Niektórzy chcieli notować jego słowa—zabronił stanowczo:

— To, co mówię, nie wchodzi w zakres programu szkolnego, niepotrzebne do egzaminu, ale dużo ważniejsze w życiu od dyplomu; powinniście bowiem zastanowić się wszyscy, jakie węzły łączą ludzi z sobą, ażebyście jaśniej zrozumieli godność osobistą...

Tu jeden z uczniów, Alfred Renandin, wybuchnął śmiechem: nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl, że on, liceista, może mieć jakąś godność osobistą.

Profesor umilkł natychmiast. Na twarzy jego zjawiał się wyraz tak zimny i nieubłagany, że nikt z uczniów nie ośmielił się nawet spojrzeć na winowajcę.

Wreszcie po długim milczeniu przemówił:

— Panowie, nie uznaję żadnych kar — mojem zdaniem, są one rzeczą niegodną i nauczyciela i uczniów—lecz ci, którzy naruszają porządek, do którego tu mamy prawo wszyscy, niezwłocznie opuszczają salę. Niech więc ten, który się zachował niewłaściwie, wyjdzie z klasy!

Przeciwko Renandinowi zwróciła się niechęć wszystkich kolegów: rzecz dotąd niesłychana!

Odtąd Racadot i Monchefrin, którzy siedzieli obok siebie i lubili się bardzo, dokazywali tylko podczas lekcji historii, geografii, przyrody i języków nowożytnych

W końcu pierwszego tygodnia zaszedł wypadek niemniej znamienny.

Stosownie do przyjętego zwyczaju dwaj bedlowie przyszli do klasy dla odczytania stopni.

Paweł Bouteiller, w surducie zapiętym na wszystkie guziki, z obojętnym wyrazem twarzy stanął trochę na uboczu. Uczniowie zauważyli, że tendencyjnie starał się nie zwracać uwagi na dy-

gnitarzy administracji. Traktował ich pogardliwie.

Tem właśnie rozentuzyzmował zbuntowanych dzieciaków.

Patrzyli na niego, jak na brata starszego, człowieka wszechpotężnego. Zachowaniem się przypomniawszy im profesora matematyki, który dnia pewnego jednym kopnięciem nogi zamknął gwałtownie drzwi lekko otwarte przez jakiegoś bedla. Opinia ogółu z najwyższem uznaniem przyjmowała podobne objawy niezależności. Podczas rekreacji młodzi wykrzykiwali:

— Bedel! Cóż to za figura! Policyant!

Po tem zażściu Bouteiller może im głosić, co tylko zechce o poszanowaniu prawa, o dyscyplinie społecznej. W imię swej wyższości umysłowej pogardził zwierzchnikami hierarchicznymi.

Tymczasem bedlowie naradzali się z sobą:

— Zachowanie się jego potwierdza moje wiadomości. Niewątpliwie ma silną protekcję.

— Czyją naprzykład?

— Może nawet Gambetty! — brzmiała cicha odpowiedź.

Tym chłopakom biednym, nieokrzesanym, cynicznym, przyzwyczajonym do obawiania się nauczycieli, a w najlepszym razie do gardzenia nimi, Bouteiller wydał się uosobieniem rozumu i potęgi umysłowej.

Ich zapał, nie mający dotąd ujścia, otoczył profesora aureolą niezwykłą. Maurycy Rosmerspacher, Henryk Gallant de Saint-Phlin, Franciszek Aurel, Jerzy Suret - Lefort, Alfred Renandin, Honorusz Racadot, Antoni Monchefrin, cała ta gromada wstępująca w życie i jeszcze nieróżniczkowana, na „filozofów” paryzkich wywarłaby wrażenie zacofanej.

Chociaż ich dusze nurtuje już poczucie siły męskiej, z mowy i ruchów są jeszcze zupełnemi dziećmi. Rozwój jednostki odbywa się na prowincji.

cyi bardzo powoli, być może jednak, że młodzi ludzie, biorąc w spuściznie cechy swych przodków, spędzających życie w zaciszu wiejskiem, zdala od gwaru stolicy i jej przyjemności, mają większą żądzę wiedzy i silniejszą wrażliwość, niż młodzież paryzka, trochę już wyczerpana fizycznie i rozprasza jąca swą ciekawość na rozrywki niedzielne.

Młode dzikusy wsłuchują się chciwie w słowa profesora, czatują na nie; z początku obserwują go z lekką nieufnością, wreszcie oswajają się zupełnie, dzięki rosnącemu nieustannie uwielbieniu.

Młodość ma instynkty małpie: naśladują więc jego ruchy i całe zachowanie się, zachwycają się porządkiem i czystością. Wkrótce nawet w całym liceum zaprzestano używać perfum, ponieważ Paweł Bouteiller, nie mający najłżejszego pociągu do elegancyi, nie używał ich nigdy.

Stał się dla nich uosobieniem wszystkich pojęć nowożytnych o wzniosłości. Liceiści z czasów Pierwszego Cesarstwa słyszeli huk armat pod Marengo i widzieli niekiedy wielkiego bohatera przejeżdżającego pośpiesznie przez miasto; ci zaś chłopcy wzrastali już po wojnie, w atmosferze przesyczonej myślą o klęsce Francyi, wśród walki Rzeczypospolitej ze stronnictwami dynastycznymi. Instynktowo symbolem odporności ojczyzny i chlubą jej stała się dla nich republikańska, patriotyczna postać Wiktora Hugo. Starzy profesorowie, wykładający w klasach niższych, odmawiali mu talentu; w klasie retoryki zaczęto mu już przyznawać pewne zalety. Niesprawiedliwość ta dreszczem oburzenia przejmowała liceistów już 1879 roku. W parę tygodni po przybyciu do Nancy, Bouteiller przyniósł im do klasy *Legendę wieków* i odczytał wspaniały *Hymn do ziemi*, odsłaniając młodym, dziewiczym umysłem wielkie tajniki melancholii poetyckiej.

Jakiż wspaniały materyał przedstawia gro-

madka dorastających chłopaków, odosobnionych od świata, żądnych wiedzy, pełnych ufności! Każdym swym czynem, nawet najmniej znaczącym, Bouteiller urabiał ich na swe podobieństwo. Sława jego wzrastała szybko. Rodzice uczniów zapragnęli się z nim poznać. Zniechęcił wszystkich chłodnym przyjęciem; chciał, ażeby szanowano jego czas. Zdziwienie było powszechne, gdy razu pewnego po lekcyi zapytał jednego z eksternów, Żyda, syna radcy miejskiego:

— Czy ojciec pański będzie dzisiaj w klubie?

Kiedy zaś babka Henryka Galant de Saint-Phlin pragnęła z nim pomówić, przyjął ją stojąc, bez surduta, w pokoju niesprzątniętym. Tym razem było to coś więcej, niż chęć usunięcia się od towarzystwa, była to niegrzeczność, urządzona z premedytacją.

Gallant de Saint-Phlin, chłopak obdarzony umysłem bystrym, bez cienia zarozumiałości i złościwości, cierpiał bardzo nad tym wypadkiem; babka stanowczo odtąd nie chciała podzielać jego uwielbienia dla sławnego profesora, a koledzy upokarzali go nieraz przypominaniem owej niefortunnej wizyty. Dostał nawet lekkiego rozstroju nerwowego, który potęgował niezwykle wrażliwość jego czulej duszy, szlachetnej i chwiejnej. Miotany potrzebą serdecznych zwierzeń i wylania, poszukiwał sympatyj wszystkich kolegów.

Różnił się od nich bardzo. Wstąpił do liceum do klasy retoryki; przedtem uczył się w domu swej babki pod kierunkiem nauczyciela; życie rodzinne w ładnej posiadłości wiejskiej wywarło silny wpływ na jego naturę i usposobienie, tak, że po półtorarocznym pobycie w liceum wydawał się kolegom nowicyuszem. Zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do życia rzeczywistego; rzeczywistością bowiem była dla niego miłość rodziny, miłość przyrody, długie przechadzki po lesistych okolicach Argonne,

nie zaś zwyczaje lub przepisy licealne. Nie pojmował zupełnie ustanowionej przez konwenans odległości między uczniami i profesorem; często ku ucieście całej klasy zwracał się do profesora z pytaniami i uwagami. Bouteiller go nie lubił.

W umysłach tych chłopaków, pochodzących ze wszystkich krańców Lotaryngii, zakorzenione było głębokie poczucie równości chłopca francuskiego. Zrozumieli natychmiast, że Bouteiller zachował się tak impertynencko względem babki ich kolegi dlatego, że rodzina Saint-Phlinów z dawien dawna należała do obozu wrogiego Rzeczypospolitej. Wieść o tym wypadku rozniosła się szeroko po całym liceum.

Uniwersytet jest potężnym narzędziem w rękach państwa do urabiania umysłów; niegdyś wpał uczenie poświęcenia dla Cesarstwa, dla Bourbonów, dla domu Orleańskiego, dla Napoleona III-go, w 1879—1880 głosił chwałę Rzeczypospolitej. W każdej epoce zadaniem jego było upiększenie ustanowionego porządku rzeczy.

W siedmnastym roku życia można się buntować w duchu przeciw swym nauczycielom; pomimo to, pogląd na rzeczy i osobistości pozostaje ten, który oni narzucali. Wyobraźnia, której oni dostarczają pokarmu, przygotowuje się do ich systemu. Uczniowie w liceach są republikaninami; w zakładach prowadzonych przez księży, reakcyonistami i klerykałami. Jerzy Suret-Lefort, który ukończył kolegium duchowne, nie lubił Rzeczypospolitej.

Niewątpliwie, zadrasnęli go nieraz koledzy, stojący na wyższym poziomie elegancji, urodzenia i majątku; pomimo to, w ordynarnem otoczeniu liceum zapominał o arogancji tamtych—arogancji, która u dzieciaków dwunastoletnich równa się tylko

ich drażliwości—i dumny z tego, że był w środowisku lepszym, krytykował ostro ujemne strony wychowania republikańskiego.

Początkowo obraz Pawła Bouteiller zlał się w umysłach jego uczniów z dwoma najważniejszymi pojęciami, panującymi nad Francją: z Wiktorem Hugo i Rzeczpospolitą bohaterską. Nie zatrzymał się jednak długo na tem stanowisku: skrócił z pewnem lekceważeniem filozofię uniwersytecką, aby tem większy nacisk położyć i więcej czasu poświęcić historyi filozofii. Chciał podnieść swych uczniów ponad uczucia narodowe, na poziom czystego rozumu, na wyżyny ludzkości.

Już w pierwszych wykładach, kiedy mówił o Wiktorze Hugo, czasem o Gambecie, kiedy wyrządzając niegrzeczność pani de Saint-Phlin stawał na stanowisku demokracji, chlubiącego się tem, że wyszedł z łona ludu, stał się dla swych uczniów wcieleniem nowożytnego ducha narodowego; dzisiaj, kiedy przechadzając się po klasie, głosi im zasady filozofów, szczególnie, gdy rozkazuje odłożyć na bok pióra, ażeby łatwiej skupić mogli uwagę, wydaje się im, że to wszechświat przemawia przez jego usta: ludzkość opowiada swe marzenia, świat odkrywa swe prawa.

W końcu listopada, kiedy im zaczął tłumaczyć zasady wielkich myślicieli szkoły jońskiej, chcąc tam odnaleźć pojęcie nauki nowożytnej, kiedy głosem pełnym i dźwięcznym dowodził, jak wschodnią doktrynę wcieleń i metempsychozy, wykładaną niegdyś w świątyniach i w szkołach filozoficznych Grecji, stwierdzają teorie nowożytne, wiążące losy człowieka z wielkimi przemianami, odbywającymi się w przyrodzie, z prawami życia powszechnego, te wielkie zagadnienia, ten zwrot do przeszłości dawnych wieków upoiły tych chłopaków poezją, graniczącą z przerażeniem. Zgodność re-

ligii przeszłości z wynikami badań akademii paryskiej i berlińskiej nadawała głoszonym zasadom wartość pewników. Dla tych dzieciaków nie istniały już sale ani podwórza szkolne, tylko rozległe, nieprzewidziane, wstrząsające całą ich istotą wewnętrzną horyzonty myśli! Słowa padały z ust profesora z siłą i wyrazistością tematu muzycznego, zaznajamiając ich z głównymi prawdami, głoszonymi przez filozofów; prawdy zmieniały się co tydzień, zależnie od teorii, będącej przedmiotem wykładu, a oni tracili głowy wobec mnogości, wspaniałości i sprzeczności systematów.

Bouteiller pospieszył ustalić ich pojęcia. Zdecydowany wyznawca Kanta, podał im prawdę według przepisu swego mistrza. Świat jest woskiem, na którym umysł nasz wyciska swe piętno. Umysł nasz postrzega świat w kategoriach przestrzeni, czasu i przyczyny. Umysł nasz twierdzi: „Istnieje przestrzeń, czas, związek przyczynowy;” jest to tylko jego własne odbicie. Nie mamy możliwości sprawdzenia, czy kategorie te odpowiadają rzeczywistości.

W grudniu, kiedy na świecie panowała mgła gęsta, a przygniatające wrażenie lekcji metafizyki potęgowały jeszcze rdzawe, mdłe światelka, rozplywające się po klasie, Maurycy Roemerspacher napisał do rodziców list o granicach poznania, list tchnący rozpaczą i zamętem pojęć. Podobne chwile przeżywali inni.

W wieku przełomowym należało im podać zasady postępowania proste i jasne; profesor zaś wybitnego umysłu i świetnej wymowy odsłonił im teorie najsprzeczniejsze, nieprzeparte trudności, które pociągały długi szereg umysłów nieskończenie subtelnym, pragnących poznać prawdę bezwzględną, a błakających się w błędnym kole gęstych mroków.

Bouteiller zatrzymał się czas dłuższy na teo-

ryi sceptycyzmu bezwzględne; po feryach zaś noworocznych, przy pomocy Kanta i przez odwołanie się do uczucia, zamierzał przywrócić w sercach swych uczniów zachwiane podstawy moralności i zgodności pewników. Nie poszli jednak za nim.

Daremnie przeszedł sam siebie, komentując im wzniosłą zasadę: „Dwie rzeczy napełniają duszę zachwytem i uwielbieniem, uczucia te ciągle się odradzają i potęgują w miarę tego, im częściej myśl nasza do nich powraca, im więcej się w nich zagłębia: niebo gwiazdziste ponad nami i prawo moralne wewnątrz nas.”

Inne jednak uczucia budzi w duszy Franciszka Sturela, widok sklepienia usianego gwiazdami. W sypialni, leżąc na łóżku koło okna, wpatruje się w niebo, nim sen nie uspokoi wstrząsających nim wrażeń i całą duszą rwie się do gwiazdy najjaśniejszej; wie on z biografii Napoleona, że wszyscy ludzie ambitni, zakochani, wielcy poeci mieli zawsze swoją gwiazdę; płacze z obawy, żeby jego życie nie upłynęło w cieniu, pragnąłby u światów niebieskich podchwycić tajemnicę miłości i sławy. W przestrzenie niebios rzuca okrzyk dusz egzaltowanych: „Czy się spełnią moje marzenia?”

Formuje je w ten sposób:

— Czy dorównam kiedykolwiek genjuszowi Bouteiller?

Ambicya, połączona z romantyczną melancją, stanowi główny podkład duchowy dzisiejszej młodzieży; zdobycze burżuazyi złamały granice społeczne, otwierając dostęp do wszystkich stanowisk. Bouteiller w mniemaniu, że rozwija w swych uczniach poczucie obowiązku, popchnął ich z większym jeszcze zapalem na drogę, na którą wchodzi dzisiaj wszyscy młodzi Francuzi. Czytania rozegzaltowują ich jeszcze bardziej, nie rozwijając poczucia społecznego.

W każdym liceum znajdują się cztery małe biblioteki, ułożone odpowiednio do wieku uczniów. W klasie filozofii zapoznają się z teoryami autorów wolnomyślnych w oświeceniu ich słabych przeciwników. Pionierzy nowych idei, krytykowani, czasem nawet znieważani przez wydawców szkolnych, ukazują się umysłom uczniów jako duchy buntownicze, zapoznane i przez to silniej jeszcze oddziałują na ich wyobraźnię. Czytają przy świetle gazu, w pokoju źle przewietrzanym, przy złej wentylacji, w chorobliwej atmosferze przymusu, rozdrażnienia, prostactwa. Krew się zapala w ich żyłach. Świeże powietrze, swobodny horyzont, młodość, spędzona w harmonijnem połączeniu interesów i uczuć naturalnych, nadałyby tym książkom znaczenie inne, niż to, którego nabierają w ciasnych murach liceum.

Ze słów profesora i z przeczytanych książek zatrzymujemy to tylko, co instynkt nasz uznaje za naszą własność, przyswojone pojęcia tłómaczymy z dziwną samodzielnością. Gdy nauczyciel zbija jakąś teorię, często słowa jego przebrzmiewają bez echa, a potępiona doktryna rozwija się dalej i potęguje w umysłach chciwych światła. Gwałtowne wzruszenia myślowe tych chłopaków nie wypowiedają się jeszcze w czynach. Bouteiller, który z wymowną natarczywością stara się im narzucać ideę obowiązku, spoczywającą w duszy sumienia każdego człowieka i dowodzącą istnienia Boga, nigdy nie raczy wysłuchać ich stłumionego, cichego protestu. Niewątpliwie byłby zdumiony, gdyby mógł się przekonać, jakie myśli nurtują te młode umysły. Z zapalem spełnia rolę siewcy, nie troszcząc się o to, co się staje z rzucaniem przez niego ziarnem.

Ażebymóż przewidzieć żniwo, należy zbadać dokładnie grunt; Bouteiller zadanie to lekceważy. Wyznawca Kanta nie zdaje sobie sprawy, że wznie-

sienie się na wysoki poziom kultury, wyzwolenie się z ciasnych pojęć i interesów rodzinnego zakątka dla służenia całej Francji, całej ludzkości, przedstawia potęgę olbrzymią; potęga ta nakazuje wychowawcy pewien obowiązek, a mianowicie: obowiązek zrozumienia wszystkich warunków życiowych, które w każdym środowisku są inne.

Przed poznaniem warunków życiowych swych uczniów, czyż nie powinien Bouteiller zwrócić uwagi na ogólne cechy charakteru lotaryńskiego? Bez tego naraża się na niebezpieczeństwo podania im strawy duchowej, której przyswoić nie będą zdolni. Czyż nie widzi potrzeb, które należałoby uprzedzić, przyzwyczajęń, któreby można tolerować, wad i zalet, któreby się dały zużytkować? Niema idei wrodzonych, a jednak pewne, niepochwytne odrębności duchowe tych Lotaryńczyków wpływają na pewien, im tylko właściwy sposób rozumowania i wytwarzania sądów. Jakżeby rozwój tych skłonności wrodzonych urozmaicił i spotęgował energię narodową!.. Ale Bouteiller tego nie rozumie. Nie przychodzi mu na myśl przystosować systemu nauczania do charakteru Lotaryńczyków i do ich właściwości umysłowych!

Z lekkim sercem odrywa swych uczniów od gruntu ojczystego i od grupy społecznej, z którą wszystko ich wiąże, ażeby podnieść te młode umysły na wyżyny abstrakcyi, ponad przesady życiowe; on przecież także wzrastał na gruncie obcym, pozbawiony otoczenia swojskiego, wolny od przesądów miejscowych

Syn robotnika z Lille, już w ósmym roku życia zwrócił na siebie uwagę rozwiniętym nad wiek umysłem i wielką pracowitością; otrzymał stypendyum, które pobierał aż do ukończenia liceum; szkołę normalną ukończył jako pierwszy uczeń.

Oderwany w dzieciństwie od środowiska natu-

ralnego, nawet wakacje spędzał w liceum—sierota, którego wszystkie popędy uczuciowe znajdowały ujście w zdobywaniu pochwał nauczycieli, jest on wytworem pedagogicznym, dzieckiem czystego rozumu, obcym zupełnie wszelkim zwyczajom, opartym na tradycji miejscowej lub rodzinnej, oderwanym od życia, zawieszonym w przestrzeni. Swoje obyczaje, przekonania, sympatye wybrał, obmyślił i postanowił sam.

Dlatego wydaje mu się zupełnie naturalnem, że umiejętny kierunek może podnieść na wyższy poziom życie każdej jednostki, dając jej jakieś pole do działania, jakiś cel do osiągnięcia. Czemużby te zasady, które wpłynęły na ukształtowanie jego umysłu i charakteru, miały być nieodpowiednie dla innych?

Bouteiller wie, że jednostka musi podlegać społeczeństwu, wie również, co jest dla tego społeczeństwa najkorzystniejszym. Sądzi, że jego obowiązkiem jest sumienne sprawowanie roli administratora, a obowiązek tej gromadki polega na posłuszeństwie mądrej administracji.

Niedorzecznością nawet byłoby przypuszczenie, że taki Bouteiller, który się oparł na Kancie i który swych pewników nie sprawdza — podobnie jak człowiek wierzący nie sprawdza prawdy objawionej—delegat stronnictwa politycznego może tracić czas na rozważanie następstw swego systemu nauczania, albo zastanawiać się nad niebezpieczeństwem, mogącym wyniknąć z wprowadzenia na manowce kilkunastu młodych ludzi. Obowiązek swój wypełnia ściśle, uważając go jako rozkaz otrzymany od państwa. Jest to sierżant-instruktor, zaznajamiający rekrutów z przepisami ustanowionymi przez zwierzchność. Sumiennie rozdaje im kajety, zredagowane przed ośmiu laty, według których wykładał w Nicy i w Brescie, tak jak dzisiaj wykłada

w Nancy. Stanowczo człowiek ten nie lekceważy służby publicznej, za którą jest odpowiedzialny!

Bouteiller buduje podstawy przyszłej władzy, wypaczając dusze lotaryńskie, a równocześnie przygotowuje sobie obszerniejsze pole działania, którego jest tak spragniony i któremu podołać może. Po za Sturelem, Roemerspacherem, Suret-Lefortem, Renandinem itd. widzi Gambettę. Na marginesach ćwiczeń szkolnych wypisuje nieraz wskazówki, którymi się posługiwał znakomity mówca w rozprawach o nauczaniu publicznem. Gambetta, którego ciekawość polityczna nie знаła granic, byłby chciał poznać wszystkich Francuzów. Bouteiller posyłał mu raporty o usposobieniu umysłów w departamencie Meurthe i Moselle. Ztąd wynikły liczne przenoszenia i odwoływania urzędników.

Knowania swe otaczał tajemnicą. Zażądał wydalenia z liceum portyera, nazwiskiem Faufournot; był to typ oryginalny, bonapartysta zajadły, który bawił wielu, nie gorszył nikogo.

Daremnie inni profesorowie, zdjęci litością, wstawiali się za starym weteranem, przedstawiając go jako sympatycznego głupca. Nie pomogło nic i biedny portyer musiał opuścić liceum, wraz z dwunastoletnim synem Ludwikiem, który dzięki wygnaniu ojca utracił stypendyum. Był to chłopak łagodny i bardzo nerwowy; koledzy, odprowadzając go do furtki w chłodny wieczór zimowy, żegnali ze łzami. Grono profesorów potępiło wydalenie Faufournot, podejrzewając w tym surowym wyroku zwierzchności udział Bouteillera; wszyscy jednak uczniowie przeczyli temu stanowczo, albo też uważali czyn powyższy za dowód nieubłaganego poczucia obowiązku.

Rola denuncyatora nie mąciła spokoju jego sumienia; było ono przejęte całkowicie zasadą moralną, wyrozumowaną w gabinecie i nigdy nie pod-

dawaną w wątpliwość. Kiedy był jeszcze uczniem, jeden z jego kolegów ukradł drugiemu zegarek; złapany na gorącym uczynku, łzami i prośbami uzyskał przebaczenie poszkodowanego; ale Bouteiller doniósł o całym wypadku bedlowi, żądając wydale-
nia przestępcy.

Z zupełnym spokojem ducha opierał całe swe postępowanie oraz system nauczania na zasadzie Kanta, którą formułował w ten sposób: „Powin-
nem zawsze postępować tak, ażeby czyny moje mo-
gły służyć za prawidło ogólne.”

W powyższej zasadzie etycznej tkwi pierwia-
stek stoicyzmu, ale zarazem i pierwiastek wielkiej
pychy,—wynika z niej bowiem, że można stworzyć
prawo, któreby się dawało zastosować do wszyst-
kich ludzi, oraz zarodek nietolerancyi fanatycznej,
wynalezienie bowiem zasady wspólnej dla wszystkich
ludzi zdradza chęć ujarznienia tych ludzi w imię
ich własnego dobra, wreszcie zupełna nieznamość
praw jednostki i wszystkich stron życia różnorod-
nych, odmiennych, wrodzonych, rozpraszających
się w kierunkach najrozmnitszych.

Ta etyka surowa wychodzi na korzyść profe-
sora. Intrygami swemi oddaje wielkie usługi wpły-
wowym osobistościom w Paryżu. Gorliwość sek-
ciarska zdobywa mu względy Gambetty, który nieu-
stannie werbował ludzi.

Pewnego dnia, w maju, młody profesor wszedł
na katedrę bledszy, uroczystszy i surowszy niż zwy-
kle. Milczał długo, wreszcie podniósł oczy na uczniów,
których ogarnął nagle dziwny niepokój.

— Panowie—zaczął wreszcie — dzisiejszej no-
cy stoczyłem jedną z najcięższych walk wewnętrz-
nych, jakie przebywałem dotychczas, chociaż prze-
żyłem rok 1871-szy, kiedy się zatracalo poczucie
obowiązku, zciemniało się poczucie miłości ojczy-
zny i idei ludzkości. W duszy mej walczyły dwa

obowiązki. Rząd Rzeczypospolitej powołuje mnie do Paryża. Czy powinienem przyjąć tę nominację? Czy mogę porzucić umysły, do których się przywiązałem z korzyścią?

Nie potrzebuję chyba dodawać, że myśl o awansie nie zaważyła ani chwili w tej walce wewnętrznej. Możecie panowie oddać sprawiedliwość człowiekowi, który od kilku miesięcy jest kierownikiem waszych umysłów, że pragnie on takiego stanowiska, na którym mógłby przynieść maksimum korzyści.

Ścisłe jednak mówiąc, czy mogę być kompetentnym sędzią swej użyteczności? Jeżeli rząd Rzeczypospolitej w ten właśnie sposób pragnie zużytkować moje zdolności, czyż nie powinienem uchylić głowy przed jego wyrokiem? Czyż argumenty, przemawiające za wyrzeczeniem się Paryża, nie tchnęłyby, bezwiednym może, egoizmem? Tak, wykonaliśmy już najtrudniejszą część naszego zadania. Poznaliśmy siebie i nauczyliśmy się oceniać wzajemnie. Teraz mieliśmy się rozkoszować podniosłą atmosferą wyżyn ducha ludzkiego. W początkach naszej pracy wspólnej zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad filozofami szkoły jońskiej; przyznaję, że trudno jest niezmiernie przejść pobieżnie dyalogi Sokratesa. Po przestudyowaniu helenizmu zamierzaliśmy przejrzeć z mniejszą już dokładnością kultury innych narodów, wybitne wprawdzie, ale nie mające związku z naszym życiem. Wtedy zaledwie mieliśmy ogarnąć horyzonty rozległe i ostateczne myśli ludzkiej, której fazy określiłem już kilkakrotnie: Zobaczylibyśmy, jak Kant dochodzi do sceptycyzmu bezwzględnego, a potem wraca do zasady pewników, twierdząc: „Istnieje rzeczywistość, a jest nią prawo moralne.” Wspaniałe horyzonty, nieprawdaż panowie? Niestety, nie możemy ich przebywać razem; sądzę jednak, że dzięki moim staraniom, wrócicie tam nieraz.

Pewność niezbita, że zostając z wami doznałbym wielkiej przyjemności, rzuca cień na to moje życzenie. Obowiązek zazwyczaj ukazuje się w postaci surowszej. Strzeżmy się, ażeby egoizm nie zasłonił przed nami prawdy.

Czyż zadanie moje w Paryżu nie będzie o wiele trudniejszym? Czyż nie znajdę tam umysłów, potrzebujących mojej rady, pomocy? Los tej młodzieży w waszych spoczywa rękach. Co do mnie, gotów jestem ponieść ofiarę. Nocy dzisiejszej nie zaznałem chwili spoczynku dlatego tylko, że musiałem się zdecydować na bolesne rozstanie z wami. Do was należy teraz wypowiedzenie słowa ostatecznego: czy posiadacie dosyć energii, ażeby w imię dobra większości poświęcić niezaprzeczoną korzyść osobistą, jaką stanowiłoby dla was przygotowywanie się do egzaminów pod kierunkiem tego samego przewodnika.

Będziemy więc głosowali. Głosujcie z najzupełniejszą swobodą; uprzedzam, że zastosuję się do zdania większości i przekonam się zarazem, czy jesteście już ludźmi zdolnymi poświęcić dla idei obowiązku przyjemność osobistą.

Niech ci, którzy gotowi są uchylić głowy przed postanowieniem rządu, podniosą ręce do góry! Wszyscy spojrzeli na siebie i zgodnie podnieśli ręce do góry. Wtedy Paweł Bouteiller rzekł:

— A teraz próba odwrotna. Niech podniosą ręce ci, którzy protestują w duchu przeciwko memu odjazdowi!

Jeden tylko Henryk Gallant de Saint-Phlin podniósł rękę, kilku uczniów przez służalczość, a może pod wpływem gorącej przemowy profesora zwróciło się do Saint-Phlina z szyderczemi okrzykami. Na rozkaz Bouteillera umilkli natychmiast.

— Pan Henryk de Saint Phlin skorzystał z przysługującego mu prawa. Poproszę go tylko o wyjaśnienie motywu, który go skłonił do protestu

jedyne w całej klasie, jak to konstatuje z zadowoleniem.

Saint-Phlin, z lekkim rumieńcem na bladej zwykle twarzy powstał, według przyjętego zwyczaju, i rzekł z pewnem zakłopotaniem:

— Sądzę, że do Paryża mógłby pojechać profesor, który ma być w Nancy; w ten sposób u nas nicby się nie zmieniło.

Argument chociaż wypowiedziany z wielką nieśmiałością, był tak przekonywający, że mógłby zbić z tropu każdego, tylko nie Pawła Bouteiller, który odpowiedział natychmiast swym pięknym, niskim głosem:

— Wzrusza mnie niezmiernie żal pański z powodu mego odjazdu, panie de Saint-Phlin, ale wierzę mi pan, że słuszność leży po naszej stronie; wobec obowiązku nie należy mędrkować zbyt wiele; nie powinny również nasze skłonności osobiste wchodzić w grę, gdy idzie o sprawę użyteczności powszechnej. Przypomnijcie sobie, panowie, zasadę, na której opieramy naszą moralność. Tyleśmy ją razy formułowali! Należy postępować zawsze tak, ażeby czyny nasze mogły służyć za przykład dla innych. Powinniśmy być posłuszni prawom naszej ojczyzny i rozporządzeniom naszych zwierzchników bezpośrednich. Pojadę więc do Paryża, dokąd mnie powołuje minister oświaty. Porzucam was, ale życie nas nie rozdzieli; nie stracę was z oczu; będę śledził za waszą działalnością na stanowiskach, na które was powołają zdolności wrodzone, ambicja, albo rozporządzenie władzy prawowitej. Przestajecie być moimi uczniami, ale będziecie przyjaciółmi. Będę zawsze bardzo szczęśliwy, gdy który z was zechce mnie odwiedzić.

Przed odjazdem chciałbym raz jeszcze okazać się dla was użytecznym. Pozostawmy na stronie wykład dzisiejszy, odrzućmy na chwilę wszelką myśl

o egzaminie: możecie go oczekiwać z całym spokojem. Chciałbym przenieść się z wami w przyszłość nieco dalszą i na podstawie waszych zdolności zawyrokować na jakim polu najkorzystniej pracować możecie dla dobra państwa.

Zszedł z katedry i, przechadzając się przed ławkami, przemawiał tonem proroka do tych dzieciaków, drżących ze zmieszania i dumy.

Niezwykły ten człowiek, istotnie, przypominał czarodzieja z czasów dawniejszych, ale z wyglądem nowożytnym. Posiadał wszystkie warunki niezbędne: powagę spojrzenia, intonację wieszczą i dar obserwacji psychologicznej.

Na młode umysły wywierał wrażenie filozofa, a w gruncie rzeczy był tylko dobrym administratorem; trochę niska jego dusza przejawiała się w tem, że mówił dużo o stanowiskach, jakie z czasem zajmą mogą jego uczniowie, a nic prawie nie wspominał o ich istocie duchowej. Widział w nich narzędzia do zużytkowania, a nie jednostki, które należało rozwijać.

— Pan, panie Roemerspacher, powinienes wstąpić do szkoły normalnej. Masz pan zamiłowanie do pracy, mało wyobraźni, dużo rozsądku i równowagi umysłowej.

— Panu również, panie Sturel, radziłbym szkołę normalną. Posiadasz pan zdolności wybitne, umysł bystry i subtelny, mógłbyś się poświęcić literaturze; zadanie jednak wychowawców współczesnych polega na wykształceniu generacji republikańskiej. W obecnej chwili niepotrzeba nam umysłów wybitnych: na taki zbytek mogą sobie pozwolić tylko zwycięzcy. Mógłbyś więc pan zostać doskonałym sędzią. Przy pańskim wykształceniu, majątku, stosunkach rodzinnych i darze słowa mógłbyś z łatwością zrobić karierę i pracować z korzyścią dla społeczeństwa.

— Pan zaś, panie de Saint-Phlin — tu cała klasa zajęła stanowisko wyczekujące, gotowa wybuchnąć śmiechem — przy pierwszej sposobności powinienbyś wstąpić do szkoły Saint-Cyr.

Henryk Gallant de Saint-Phlin odpowiedział z całą naiwnością:

— Babka moja sobie tego nie życzy.

Bouteiller się uśmiechnął; wykonał ręką ruch, który miał oznaczać: — O, mógłbyś mi tego nie mówić, mój chłopcze! — Na wszystkich ławkach uczniowie pokładali się od śmiechu, ale Bouteiller uspokoił ich w jednej chwili.

— W takim razie, panie de Saint-Phlin, najlepiej pan zrobisz pozostając na wsi i pracując w swoim majątku. Od czasu do czasu możesz pan pojechać do Paryża, aby nie odbiedz zbyt daleko od nowych warunków życia, od społeczeństwa współczesnego i nie zatracać poczucia zupełnej od tegoż społeczeństwa zależności. Wolałbym wprowadzić dla pana szkołę Saint-Cyr; nabrałbyś pan tam więcej rozwagi, nauczyłbyś się systematyczności i poszanowania dyscypliny... Ostatecznie nie wątpię, że będziesz pan zawsze człowiekiem porządnym.

Nie raczył nawet wysłuchać odpowiedzi Saint-Phlina. Chłopak ten, sierota, wychowany był przez babkę w rodowej posiadłości wiejskiej, którą starszuszka zarządzała osobiście. Sądziła ona zupełnie słusznie, że i wnuk mógłby pracować uczciwie i pożytecznie na gruncie ojczystym. Warunki życia tego zakątka Francji i obowiązki Henryka rozumiała lepiej, niż ten filozof koczujący, który się troszczył jedynie o przysporzenie wiernych sług państwu, gardząc jednostkami, przyczepionymi do ogniska rodzinnego. Wszelako przez poczucie sprawiedliwości nie chciał wystawiać Saint-Phlina na kpiny kolegów i rzekł:

— Nie śmiecie się, panowie! Pan de Saint-

Phlin jest dobrym Francuzem. Ojczyzna może nań liczyć w potrzebie!

I zwrócił się do siedzącego obok Honoryusza Racadot:

— Pan posiadasz dobrą pamięć, dużo uporu i poszanowania karności. Umysł pański jest więcej gruntowny, niż bystry. Jeżeli w naznaczonym terminie nie będziesz pan mógł złożyć egzaminów do szkoły normalnej, dobrzebyś pan zrobił, starając się o stopień profesora gramatyki. W każdym razie, niezależnie od tego, jakiemu zawodowi pan się poświęcis, będziesz zawsze urzędnikiem wybornym, niezachwianym na stanowisku, pożytecznym dla zwierzchników, wyróżnianym za zasługi rzeczywiste.

Wreszcie zatrzymał się przed Suret-Lefortem, którego umysł poważny cenił najwyżej.

— Pan, panie Suret-Lefort, powinienes bezwarunkowo studyować prawo i zostać adwokatem. Jestem przekonany, że nie będziesz pan marnował zdolności na zwykłe pieniactwo, że nie pochłoną cię sprawy prywatne, chociażby najuczciwsze... Jeżeli z czasem, wzbogacony doświadczeniem osobistym i obdarzony zaufaniem współobywateli, weźmiesz udział w wielkich rozprawach narodu wolnego, przypuszczam, że popierać będziesz doktryny społeczne, stanowiące istotę filozofii takiej, jaką się starałem w was wpoić, że staniesz w obronie rządu, prawa moralnego i jego wpływu na czyny ludzkie.

W ten sposób przemawiał do każdego z uczniów. Oni nie spuszczaali z niego oczu, rozkoszując się dźwiękiem głosu, zachwycając powagą rozlaną na pięknej twarzy, wsłuchując się w słowa chciwiej, niż gdyby mieli przed sobą bohatera tragedii... „Jedzie do Paryża!... Jak prędko awansuje... taki młody!... a ja, czy będę miał życie podobne?...” Przez pół roku zalecał im nieustannie podporządkowanie potrzeb osobistych potrzebom państwa, kult prawa,

a oto obraz jego zwycięzki zapanował nad temi dzieciakami, urabiając ich na jego podobieństwo, opanowując wolę.

Wreszcie zatrzymał się przed ławką, na której siedzieli stypendyści: Renaudin i Mouchefrin... Zrozumiał, prawdopodobnie, że niełatwo jest przepowiedzieć przyszłość tych chłopaków. Wiedział dobrze, iż między studjami uniwersyteckimi a urzędami płatnemi leży przepaść, którą ubogim przeskoczyć bardzo trudno. Postanowił więc przemówić do nich na końcu i wrócił na katedrę:

— Panowie, odezwał się po chwili, może pomiędzy wami znajdują się tacy, których nie oceniłem należycie; niech ci mi wybaczą. Ostatnie swe słowa chciałem zwrócić do tych z pomiędzy was, których urodzenie postawiło na niższym szczeblu towarzyskim i którzy wykształcenie swe zawdzięczają inicjatywie społeczeństwa. Ale społeczeństwo kierowało się w tym razie tylko poczuciem sprawiedliwości: dziedzictwo duchowe, nagromadzone usilną pracą myślową pokoleń, nie może być wyłącznym przywilejem bogatych; do tej podstawy społecznej każda jednostka posiada prawa równe i zupełne; ci jednak, którzy pobierają nauki za pieniądze państwa, powinni służyć Rzeczypospolitej z większą jeszcze gorliwością i poświęceniem... Panie Renaudin! panie Mouchefrin! niech was przyszłość nie przeraża: wszystko w życiu można zdobyć uczciwą pracą i wytrwałością. Chociaż stanowisko moje w społeczeństwie jest bardzo skromne, chlubię się, że zdobyłem je własną zasługą. Ja również byłem stypendystą. Dlatego los wasz, panowie, obchodzi mnie więcej, niż los innych. Nie mogąc pożegnać wszystkich podaniem ręki, do was, Renaudin i Mouchefrin, zwracam się w tej ciężkiej, ostatniej chwili z serdecznym uściskiem dłoni.

Czy dostrzegł na ich twarzach zawód? Może

zrozumiał, że ukazując się ich oczom i umysłom jak młody bóg zwycięstwa, ofiarowywał im zbyt mało? mnąc w rękę kapelusz, z teką pod pachą zwrócił się do nich raz jeszcze z gorącą przemową, wyrażając nadzieję, że zawsze i wszędzie zachowają się tak, jak przystało wiernym sługom państwa i dzielnym Francuzom.

O, tak! niewątpliwie Francuzami byli ci rozentuzymowani młodzieńcy, z palcami zawałanemi atramentem, w skromnych kurtkach uczniowskich. Wzruszeni, zelektryzowani wymową uwielbianego mistrza i całkowicie pod jego wpływem, wołali jednogłośnie:

— Niech żyje Francya! Niech żyje Rzeczpospolita! Francya! Rzeczpospolita! Państwo!...

I cóż z tego, że im tylokrotnie powtarzano te słowa? To tylko frazeologia administracyjna. Prawdziwie dobry administrator stara się przywiązać człowieka do gruntu ojczystego, zachęca go do pozostania w środowisku odpowiedniem, z którym go łączy tradycja; następnie zaś, jeżeli się tego okaże potrzeba, stara się go umieścić w jakiejś grupie i związać jego interesy osobiste z interesami organizmu zbiorowego. Lecz dzisiaj wychowują młodych Francuzów w ten sposób, jak gdyby z czasem mieli być pozbawieni ojczyzny. Obawiają się widocznie, żeby ta ojczyzna nie stała się dla nich czemś niezbędnem. Jeszcze nie dorośli, a już szkoła zrywa węzły łączące ich z tradycją miejscową. Bouteiller nie powiedział do swych uczniów:

— Starajcie się zająć miejsca w szeregach narodowych! Wstępujcie w ślady waszych przodków!.. Inaczej łatwo zboczyć na manowce... Suret-Lefort i Saint-Phlin, zwróćcie uwagę na upadek Baru... Monchefrin, czy zauważyłeś, że dzięki inicjatywie jednego tylko człowieka, pana Lorin, rozwinęło się tak wspaniale górnictwo w zagłębiu Longwy? Roe-

merspacher, podobno warzelnie soli nad rzeką Seille chyla się do upadku?"

Barrois, dorzecze Seille, okręg Longwy, Wogezy nadają Lotaryngii właściwości odrębne. Ale uniwersytet gardzi niemi, ignorując najwięcej pochwytnie cechy życia francuskiego. Uczniowie, wzrosli w zamknięciu klasztorne, karmieni wizją faktów urzędowych i postaciami kilku wielkich ludzi, do bakalaureatu nie rozumieją wcale, że rasa ich ojczyzny jest rasą odrębną, że ziemia ich to coś rzeczywistego, że czemś trwalszem i rzeczywistszem od ziemi i rasy jest duch każdej małej części ojczyzny. Duch ten jest najlepszem narzędziem wyzwolenia jej synów.

Bouteiller popełnił błąd wielki, nie oddając pierwszeństwa formom myśli francuskiej. Importowane prawdy egzotyczne wprowadzają zamęt do naszych pojęć. Prawdziwie zbawienne mogą być tylko myśli, zaczerpnięte z głębin narodowych.

Bouteiller, zaznajamiając swych uczniów z filozofią heleńską i klasyfikując systematy, nie zapatrywał się na nie z punktu widzenia francuskiego, ale stawał zawsze na gruncie systematu komentowanego. W ten sposób wykształcił swych uczniów na obywateli ludzkości, na wyzwolenców, adeptów czystego rozumu. Na takie wyżyny wznieść się może tylko kilka jednostek w przeciągu stulecia. Na tym poziomie stanął z czasem Goethe, ale ten pierwiej jeszcze czuł się Niemcem w każdym celu. Jakiż punkt oparcia dla uczuć patryotycznych dał młodym Lotaryńczykom Bouteiller?

Twierdzenie dziecinne trochę, że Francya jest „sławną zwyciężoną,” niezdolne jest podtrzymać uczucia narodowego, któremu odebrano podstawy terytoryalne i duchowe.

Wielki działacz, pragnący dla dobra państwa zniwelować odrębności indywidualne, opuścił Nancy,

stworzywszy jednostki, których on tylko jest łącznikiem i punktem środkowym. Liceiści przypominali różnobarwne jaskrawe baloniki, które kupiec utrzymuje w ręku za pomocą cienkich nitek, ale które dążą do ulecenia w górę i rozproszenia się bez celu.

Podczas rekreacji, która nastąpiła zaraz po tej godzinie pamiętnej, wrażliwy Sturel, Suret-Lefort, naśladujący wszystkie ruchy mistrza, Racadot, Monchefrin, naiwny Saint-Phlin, przebiegły Renaudin i rozsądny Roemerspacher odłączyli się od reszty rówieśników, tworząc grupę osobną, bardzo ożywioną, na którą koledzy spoglądali z podziwem i zazdrością. Istotnie, duchowo przerastali oni o głowę swych towarzyszków; nie ulegało wątpliwości, że w życiu zajmą stanowiska przodujące, podczas gdy reszta, złożona z jednostek przeciętnych, zleje się z szarą masą ogółu, nie odgrywając w szerszym życiu roli wybitniejszej. Tych siedmiu, wyróżnionych przez profesora i obdarzonych umysłami wybitnymi, zdolnymi do wytwarzania sądów indywidualnych i przekształcania odbieranych wrażeń na własny dorobek duchowy, zjednoczyło się w grupę osobną.

Grupy takie spotykamy dosyć często. Przeważnie powstają one bez wymiany słów, bez zawierania umowy, na podstawie jakichś interesów wspólnych. Podobnie około 1830 roku dokoła Wiktora Hugo zgromadzili się jego przyjaciele, związani wspólnem uwielbieniem dla wielkiego poety; stronników księcia prezydenta łączyła sława, otaczająca aureolą rozgłosne jego nazwisko; wielbiciele Gambetty skupili się dokoła tego działacza politycznego, porwani jego popularnością.

O czem marzą ci Lotaryńczycy, brutalni i subtelni, marzyciele i rozważni? Oto przybył do nich Paweł Bouteiller, przyjaciel Gambetty, demokrata wydelegowany przez ludzi, których zadaniem jest

stworzenie silnej partii demokratycznej, wzmocnienie węzłów społecznych. Głosił im miłość ludzkości, potem znaczenie kolektywizmu narodowego. „Jednostka, twierdził, ma tyle tylko wartości, o ile się umie poświęcić dla gromady...” Mówił z takim przejęciem się, że oczy tych chłopaków napełniały się łzami, ale wzruszał ich sam widok bohatera, nie zaś głoszone przez niego zasady. Skutek nieprzewidziany, a jednak zaprzeczyc się nie dający: mistrz, ujarzmiając umysły i wolę tych chłopaków, chciał rzucić ich pod stopy państwa, tymczasem wpływ jego osoby okazał się silniejszym niż potęga słów.

— Jakiż on piękny!—mówili w duchu—jak błogo uwielbiać takiego mistrza!... Gdybyśmy mogli dorównać mu z czasem!... Taki młody, a już go powołują do Paryża! Godzien jest tego, by rządzić całą Francją! Jego tylko obraz, jego władza duchowa złączyła ich w grupę, z własnego popędu kształtują się ci młodzi adepci na podobieństwo owego ideału. Oderwani od gruntu ojczyzstego, od społeczeństwa Lotaryngii, od ognisk rodzinnych, z kąd mają czerpać poczucie konieczności pracy dla dobra ogółu? Przedstawiają tylko materyał na wielkich ludzi, podobnie jak ich mistrz, a uwielbienie dla Bouteiller'a jest ich jedynem uczuciem społecznem.

Od chwili, gdy pod pozorem obowiązku rozbudzono ich ambycję, żaden z tych młodych ludzi nie chce pozostać na ziemi rodzinnej, prawie z jednaką wzgardą odrzucają propozycję przyłączenia się do jakiegokolwiek środowiska korporacyjnego. Każdy obrany zawód byłby dla nich tylko rzemiosłem, praktykowanem niechętnie dla zdobycia kawałka chleba. Chcą pozostać indywidualistami. Opuścić miejsca, gdzie się dużo przeżyło, przecierpiało, przekochało! Rozpocząć życie nowe!... O tak, niekiedy może to być wyzwoleniem... Ale ci młodzi u wstępu do życia

cały zapas swych uczuć skierowują do rzeczy nieznanych: dla miasta, którego nie widzieli nigdy, dla społeczeństwa, które dotąd było przed nimi zamknięte, dla zajęć obcych im zupełnie. W samych sobie noszą pierwiastek zagłady: dążą do przekształcenia swej natury prawdziwej, do oderwania się od gruntu ojczystego. W końcu maja 1880-go roku Paweł Bouteiller odjechał do Paryża. Popchnął w świat młode siły, ale dając im impuls, nie umiał zdjąć bielma z ich oczu.

Równocześnie stary Faufournot z małym synkiem opuszczali Nancy. Z rozpaczą w duszy skierowali się również do stolicy, ażeby tam walczyć daremnie o kawałek chleba. Cały czas do końca roku szkolnego spędzili nasi znajomi na bezmyślnem przygotowywaniu się do egzaminów, które zdali bardzo dobrze. Po otrzymaniu matury rozjechali się wszyscy do ognisk rodzinnych. Posiedli swobodę, ale nie owo szczęście, o którym marzyli.

Minęło lato, a później jesień, prześliczna na wschodzie Francji. Zaden z nich jednak, z wyjątkiem Saint-Phlina, nie odczuwał piękna przyrody. Zamknięci w ciasnych murach przez lat dziesięć przyzwyczaili się patrzeć tylko w głąb własnej istoty.

Wychowanie, zacierając w nich poczucie narodowe, t. j. przywiązanie do przeszłości rodzinnego zakątka i chęć do nawiązania tradycji, rozwinęło energię. Energia ta skierowała się wyłącznie do pracy umysłowej.

Całą duszą rwali się do Paryża. Paryż!... Paryż!... Słowo magiczne! miejsce spotkania się wszystkich jednostek wybitnych, kres ludzkości, ojczyzna ducha, dokąd ich woła głos przeznaczenia.

Sturela i Saint-Phlina uwolniono od służby wojskowej jako jedynaków. Renaudinowi odroczone termin z powodu słabej budowy. Nie miano jednak tych względów dla Mouchefrina, który wątpił,

trochę ułomną postacią i szpetotą twarzy przywodził na myśl gnoma. On więc, Roemerspacher, Racadot i Suret-Lefort służyli w wojsku jako wolontaryusze.

Tam się zapoznali z rozpustą i pijaństwem, ale nowe życie nie zatarło wpływu Bouteillera. Obraz mistrza pogłębiał się coraz bardziej w ich duszach, potęgując pragnienie wyjazdu do Paryża. Wreszcie uzyskali zezwolenie. Rodzice, wyprawiając ich w świat, kierowali się uczuciami bardzo różnemi. Pani Gallant de Saint-Phlin pragnęła jedynie, aby wnuk się utrzymał na tym poziomie towarzyskim, na którym stali jego przodkowie.

Rodzice Sturela i Roemerspachera marzyli, ażeby synowie ich wznieśli się choć o szczebel wyżej w hierarchii społecznej. Fotograf zaś Mouchefrin, doradca prywatny Suret-Lefort, pani Renaudin, uboga wdowa i poczciwy Racadot, kupiec drzewny z Custines, przejęci byli myślą wyłączną, aby ich synowie, którzy odebrali wykształcenie staranne, stworzyli sobie dobrobyt i zamożność.

O biedna Lotaryngio, kraino bogata i urodzajna! Czyż zasłużyłaś na to, aby cię synowie twoi opuszczali tak tłumnie? Jakaż pustkę stworzy ich odjazd! A jednak miałybyś prawo żądać, aby dzieci twoje pracowały na glebie ojczystej. Jak nadmiernych wysiłków wymagają od ciebie! Masz wytworzyć nowe zastępy, wzamian za dzielnych synów, którzy gardząc tobą, ciągną do Paryża, do szczęśliwego, nigdy nienasyconego Paryża.

ROZDZIAŁ II.

W Paryżu.

Franciszek Sturel przybył do Paryża 31-go grudnia 1882 roku, t. j. w dniu śmierci Gambetty.

Jakaż to chwila wspaniała dla ukazania się światu! Jak gdyby siła jakaś wyższa wydała śmierci rozkaz: „Wymiataj! zrób miejsce innym! oto nowy zastęp przybywa z Lotaryngii!”

Siedmiu młodych ludzi, pełnych życia i werwy, wstępuje w szranki. Jednostki silne, żadne czynu, dotąd nieskrystalizowane, obdarzone zdolnością do przystosowywania się, wyobraźnią bujną, nieźrównoważoną i temperamentem czułym, cechującym niewinność, w której drzemią potęgi ukryte.

Franciszek Sturel miał lat dziewiętnaście! Dziewiętnaście! Jak pięknie i dźwięcznie brzmi to słowo! Młody chłopak nie myślał jeszcze o używaniu życia, chociaż dręczył się srodze, że dwa lata zmarnował na wsi, zdala od ludzi, w towarzystwie matki i dwóch ciotecznych babek. Za ich to wolą, w samotnej ustroni wiejskiej przygotowywał się do złożenia pierwszych egzaminów z zakresu prawa. Wreszcie na jednej z odległych, monottonnych przechadzek, które od lat najmłodszych odbywał z matką po równinach ojczystych, uzyskał zezwolenie na wyjazd do Paryża dla ukończenia studyów.

Ojciec Franciszka, pomimo wyłącznej namiętności do polowania, musiał ze względu na swe stanowisko zapisać się do towarzystwa rolniczego; zaczął gorliwie podnosić kulturę ziemi, ale działalność jego w tym kierunku przyniosła tylko rezultaty ujemne i dochód roczny spadł z trzydziestu tysięcy na dwanaście. Czwartą część tego dochodu przeznaczyła matka ukochanemu synowi. Dowiedziawszy się, że pani Alison, żona właściciela huty szklanej w Lotaryngii, wychwała bardzo jeden z pensyonatów paryzkich na lewym brzegu Sekwany, postanowiła, że Franciszek zamieszka tam właśnie; będzie bowiem miał zapewnione przyzwoite utrzymanie, a ona sama, gdy zechce odwiedzić syna, zamieszka obok niego. Franciszek nie spostrzegł

wcale, że troskliwość macierzyńska ogranicza nieco jego swobodę. Od pięciu dni już mieszkał w willi Coulonvaux, niewiele jednak mógłby o niej powiedzieć. Jest to jedyny gmach starożytny przy ulicy Sainte-Beuve. Przed nim rozciągał się obszerny dziedziniec; łączy się on z ogrodem zarośniętym starymi drzewami i otaczającym willę dokoła. Sale jadalne i sale przyjęć mieściły się na parterze, na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się pokoje, wynajmowane najczęściej kanciastym Angielkom z ruchami mężczyźni, spędzającym w Paryżu kilka miesięcy w roku, różnym starym panom i starym paniom bez wdzięku i elegancji, wreszcie mieszkało tam jakieś małżeństwo, znudzone prowadzeniem domu, i pani Alison z córką. Z młodych ludzi był tylko Franciszek Sturel.

Młodzież pełna ognia i dystynkcji pozyskuje z łatwością sympatyę ludzi starszych, szczególnież względy kobiet. Ale Franciszek nie zdaje sobie sprawy z uroku, jaki wywiera na swe otoczenie; zresztą nie dba o to zupełnie. Pomimo umysłu śmiałego aż do zuchwalstwa, w zachowaniu się swem jest nieśmiałym, prawie dzikim. W duszy jego budzą się i rozwijają uczucia nowe, nieznanne dotychczas, a pochłaniające go całkowicie.

Pożądanie zmysłowe, miłość sławy, jakaś melancholia nieokreślona miotają duszę tego rozbitka. Nieraz w przeciągu dwóch lat ostatnich, gdy w sennych marzeniach nawiedzały go wizye liceum, zrywał się z łóżka, wołając: „Jestem wolny, wolny!” Teraz dodaje: „Wolny i w Paryżu!”

Nie rozumie jednak swej potęgi istotnej. Powinienby głosić: „Mam lat dziewiętnaście!” Lat dziewiętnaście! Człowiek czuje się wtedy prawdziwym panem świata!...

Pierwsze dni pobytu w Paryżu Franciszek spędził w prawdziwym upojeniu. Z rozkoszą wdy-

chał zimne powietrze ulicy, a chłód, który nim wstrząsał, przekonywał go wyraźnie, że życie obecne, tak piękne i tak nowe nie jest urojeniem, lecz rzeczywistością. Pragnąłby w okrzyku głośnym wypowiedzieć cały ogrom swego szczęścia. Jednak nie Paryż to właściwie porwał jego duszę, ale samotność. Samotność, która go upaja więcej nawet niż miłość! O jak gorąco samotności tej pożądał! Marzył o niej jeszcze wtedy, gdy go więziły ciasne ściany kolegium w Neufchâteau; rozkosz, której doznaje dzisiaj, przeszła wszelkie jego oczekiwania. Ulice, ogrody publiczne, skwery, wreszcie własny jego pokój są dlań źródłem rozkoszy, przepelniających młode serce wdzięcznością. Nadeszła więc chwila, kiedy będzie mógł się oddać pracy nad sobą; otrząsnął już ze swych stóp proch pustyni lotaryńskiej, gdzie wołania jego przebrzmiewały bez echa; znajduje się w mieście upragnionem, gdzie pełno przygód niespodziewanych, gdzie ślepy traf kieruje życiem, a śmiałość często popłaca.

W rozmyślaniach swych, pożądaniami, w wyborze pochłanianych książek, Franciszek nie troszczył się o żadną moralność; pragnął tylko za jakąbądź cenę pograżyć się w spienionych nurtach, które toczyło przed nim życie olbrzymiego miasta...

6-go stycznia, we czwartek wieczorem, dzwonek obiadowy przerwał mu czytanie książki tak zajmującej, że postanowił ją zabrać z sobą do sali jadalnej. Wywarło to na obecnych wrażenie jak najgorsze. Biesiadnicy, przerywając sobie wzajemnie, z zapalem rozprawiali o wielkim wypadku dnia dzisiejszego: pogrzeb Gambetty.. wspaniałość pochodu żałobnego... strata niepowetowana, którą ponosi Francya... wyrazy te co chwila obijały się o uszy Franciszka, on jednak nie podnosił oczu od książki. Obojętność ta gorszyła wszystkich. Pani Coulonvaux czuła się w obowiązku zwrócić się do chłopaka z przestrogą macierzyńską:

— W pańskim wieku, panie Sturel, więcej zajmuje romans, niż kwestye poważne.

— Wszystkie te dusze niewolnicze—pomyślał Franciszek słuźalczo hołdują pamięci Gambetty!

Odciął się po chwili wahania:

— O pani, czytam książkę wspaniałą.

Natychmiast jednak ogarnęła go obawa śmieśności, przywykł bowiem do tego, że w liceum żywość odczuwania uważała się za coś komicznego, wywoływała drwiny. Dodał więc pospiesznie.

— Przeciwno tej książce żadna kobieta powstawać nie powinna.

W oczach jego błyszczał ogień zapалу, który mu zdobył sympatyę wszystkich kobiet. Zniżył głos, chcąc wytkómaczyć młodej sąsiadce znaczenie *Nowej Heloizy*, ale gdy spostrzegł, że zwrócił na siebie uwagę całego otoczenia, zarumienił się lekko.

Pani Coulonvaux, osoba trochę ciężka pod względem fizycznym i duchowym, należała do kategorii ludzi, których ogół nazywa godnemi szacunku. Istotnie, zasługuje na szacunek, ponieważ sama szanuje bez krytyki dzielnych agentów policyjnych, nieposzlakowanychh sędowników, wybitnych i sławnych członków akademiii, „niezrównany” teatr dramatyczny, szkoły rządowe, profesorów uniwersytetu, Legię honorową, całą „śmietankę” umysłową i towarzyską, uważając za wartość istotną cały ten szczyt społeczny i epitety, ustalone w pojęciach tak zwanych ludzi ucziwych.

Podobny światopogląd wart jest tyle, co i inne, a ma tę przewagę, że znakomicie ułatwia rolę administracyi; drażni on jednak młodych ludzi, którzy zachowali jeszcze nieznośne przyzwyczajenie dzieciaków, żądających zawsze i wszędzie szczerości, logiki i prawdy.

Pani Coulonvaux jest w gruncie rzeczy bardzo przeciętną, poczciwą osobą, uginającą się pod

ciężarem swych obowiązków i niebardzo się rachującą ze słowami; Sturel zaś, dzięki swej młodości, uznaje tylko drogi proste, zawsze gotów stanąć w obronie swych przekonań i walczyć o słowa.

— Przyznasz pan jednak, zaczęła znowu pani Coulonvaux — że Gambetta to wielki człowiek. Tylko ludzie wartości wyjątkowej zajmować mogą stanowiska tak wybitne.

Sturel gotów już był zgodzić się na pierwszą połowę jej zdania, mianowicie uznać wielkość Gambetty; usłyszawszy jednak, że każda jednostka piastująca urząd wysoki godną jest tej roli, zapłonął oburzeniem, przez pogardę nie raczył odpowiedzieć ani słowa.

Administracya kraju, zorganizowana przez Gambettę, a wzmocniona przez Ferrego, który zmian żadnych nie zaprowadzał, trwa dotąd i trwać będzie długo. Przeciętna publiczność, zgromadzona za stołem jadalnym, nie myli się więc wcale, stwierdzając wielkie znaczenie świeżo zgasłego działacza politycznego: był on bowiem przedstawicielem siły. Ale sądu swego nie formułują samodzielnie; wypowiadają go bez podstaw dostatecznych. Gotowi są przypisywać to samo znaczenie wszystkim jednostkom dzierżącym władzę...

I czyż nie jest to z ich strony dowodem wielkiego rozsądku? Nie chcą wiedzieć o niczem, co leży po za sferą ich interesów osobistych: byleby tylko byli zabezpieczeni od nędzy i cierpień przestają się troszczyć o społeczeństwo i rząd... Zresztą nie znają się nawet na tem; urodzili się do posłuszeństwa.

Lecz z punktu widzenia obiektywnego Sturel ma również słuszość. Nie należy on do kategorii ludzi, uznających fakty dokonane. Posiada umysł krytyczny, poddający kontroli wszystkie osobistości,

które naturalną siłą rzeczy, wskutek zbiegu okoliczności stanęły na czele narodu lub stronnictwa.

Ale brak zaufania we własne siły, wrodzona nieśmiałość, zakrawająca na pogardę, a może też nieumiejętność sformułowania swych przekonań przeszkadza mu wypowiedzieć słowami wobec szerszej publiczności wszystkie myśli, przepełniające jego duszę. Zresztą świat cały może grzebać Gambette; Franciszkowi w dniu 6-go stycznia objawił się Jan Jakób Rousseau.

Pani Coulonvaux pomyślała, że młody jej lokator należy do obozu konserwatywnego, a ponieważ szanowała przekonania cudze, zrobiła znak innym, żeby pozostawiono go w spokoju.

Wobec tego jednak, że mogła być matką tego ładnego chłopaka i lubiła jego oczy, płonące wzruszeniem, wkrótce zwróciła się do niego znowu:

— Panie Sturel—zagadnęła—w zeszły czwartek wyszedłeś pan z domu, sądzę jednak, że dzisiaj zechcesz pan pozostać z nami, nieprawdaż?

Czwartek był to dzień przyjęć w willi. Często nawet tańczono.

Sturel, ku wielkiej irytacji pani Coulonvaux, odparł, że dzisiaj także zmuszony jest wyjść na miasto.

— Jeżeli jednak panie poproszą pana o prze-
tańczenie z niemi?..

— Tańczyć nie umiem.

Ależ—pomyślała pani Coulonvaux—to prostak.

Pomimo to w głosie jej brzmiało pewne po-
błażanie:

— To tak łatwo się nauczyć. Kwestya kilku lekcyi. Taniec jest tak niezbędnym w roku dwudziestym, jak wist w trzydziestym.

— Uważam taniec za rzecz bardzo śmieszna—
oświadczył Sturel, podrażniony protekcyjonalnym to-
nem pani Coulonvaux.

Szorstka odpowiedź pozbawiła go sympaty całego otoczenia.

Młody chłopak nigdy dotąd nie kochał, ale odczuwał silnie wszelkie wrażenia; rozbijała wyobraźnia powiększała najdrobniejsze wypadki; poprostu nie umiał się zdobyć na ton lekki i obojętność, niezbędne przy zwykłej salonowej rozmowie.

Wysiłkiem woli tłumił nieśmiałość wrodzoną, przybierając obojętny i lodowaty wyraz twarzy, świadczący, zdaniem Cabanisa, o wielkich zdolnościach umysłowych; najdrobniejsze szczegóły mogły podrażnić jego dumę, albo obudzić entuzjazm. Jakieś słowo nieznaczące, jakiś drobny ruch interlokutora wywoływał z łatwością pogardę lub zachwył Franciszka. Drżący z upokorzenia zwrócił się znowu do książki, ale litery skakały mu przed oczami. Instynkt wewnętrzny ostrzegł go o złem wrażeniu, jakie wywarł na otaczających; podniósł oczy i pochwycił porozumiewające spojrzenia, które zamieniali ze sobą współbiednicy. Spojrzenia te zdawały się mówić: „Jakiż to zuchwały młodzieniaszek!” Popatrzył na nich hardo, jak gdyby rzucając wyzwanie. Od tej chwili obudził dla siebie szacunek.

Tylko młoda sąsiadka spoglądała na niego badawczo najpiękniejszymi oczami pod słońcem; we wzroku jej wyczytał dużo przyjaźni obok wielkiej ochoty do śmiechu. Ta śliczna, siedemnastoletnia dziewczyna przypominała obrazy Granville'a. Drobna i kształtna główka poruszała się wdzięcznie na białej szyi, jak kwiat na szypułce. Wiotka jej postać czarowała przechodnia, jakby żądając podpory i opieki. Dziewczyna pociągnęła ku sobie Sturela wdziękiem trochę dzieciennym, on bowiem w głębi swej duszy uważał siebie również za dziecko; kiedy rozmowa ogólna skierowała się na tory inne, zwrócił

się do niej w sposób dziwnie prosty i naturalny, którego urok działał dobrze:

— A jednak, niech pani nie sądzi tak jak tamci, że jestem zupełnie nieczułym na przyjemności, których mógłbym doznać w salonie.

W oczach jego, obok nieśmiałości zwykłej, palił się jakiś ogień wewnętrzny, a kiedy wymawiał słowo „tamci,” w głosie brzmiała mu duma, która porwała młodą dziewczynę.

Fanciszek Sturel wywierał często wrażenie człowieka, który na ziemię spadł z księżyca. I teraz naprzykład spogląda na śliczną dziewczynę z upodobaniem, uśmiecha się do niej przyjaźnie, pociągnięty dziwną sympatją, ale nie troszczy się bynajmniej o jej imię i nazwisko.

Już od pięciu dni mieszka w willi, a dotąd nie wie, że urocza sąsiadka nazywa się Teresa Alison i tak samo jak on pochodzi z Lotaryngii. Teraz jednak zrozumiał nagle, że chętnie będzie z nią mówił o sobie, o swej przyszłości.

Pani Alison była żoną przemysłowca, który się z nią obchodził brutalnie i pędził życie hulaszczcze. Nie starała się jednak o seperację z obawy zaszkodzenia swej córce. Spędzała tylko dziesięć miesięcy w roku na podróżach lub w Paryżu razem z młodziutką Teresą; ojciec na te wyjazdy zgadzał się chętnie, obecność bowiem córki w domu krępowała jego upodobania baszy.

Pani Alison przesiąknięta ideami małomiasteczkowemi, pędząc życie wędrowne troszczyła się jedynie o to, by nie dać powodu do plotek, na które tak łatwo narazić się może kobieta opuszczona. Woląла więc zamieszkać w pensyonacie, gdzie postępowanie jej widzieć mogli wszyscy, niż wynajmując mieszkanie prywatne, w któremby się czuła więcej osamotnioną...

Zresztą w pensyonacie łatwiej o znajomości,

które wpłynąć mogą na urobienie charakteru młodej dziewczyny... Wskutek tych rozumowań, trochę płytkich i dziecinnych, Teresa znalazła się w warunkach, które zmodyfikowały istotną naturę młodej dziewczyny.

Różnorodność wpływów zwyciężyła wrodzoną nieśmiałość, a nieustanna zmiana miejsca pobytu zredukowała do minimum przesady małomiasteczkowe; ciasne kółka towarzyskie na prowincyi spoglądałyby na nią nieufnie. A jednak byłoby to niesprawiedliwością. W gruncie rzeczy wszystkie te środowiska obce nie rzuciły na duszę młodej dziewczyny nawet tego lekkiego cienia, który w lecie nadaje twarzyczkom pań cerę cyganek.

Teresa zasługiwała raczej na podziw. Nie kępowana żadnymi więzami rodzinnymi pędziła życie swobodne w świetnych środowiskach kosmopolitycznych. Ileż odwagi, odporności i panowania nad sobą wymaga pobyt pod niebem coraz innem, w otoczeniu młodzieży bezczynnej, której jedynym celem życia jest gra na nerwach kobiet!

Ile zwycięstw niebezpiecznych odnieść musiała każdego sezonu, wędrując nieustannie po krainach tchnących rozkoszą, od Rivieri do brzegów modrego Dunaju! Zgubić ją mogła jedna chwila słabości, sekunda upojenia... Lecz ona zmieniała te ogniska niebezpieczne z obojętnością dziecka zaczepianego przez przechodniów, nie zwracając uwagi na niewłaściwe zachowanie się natrętów.

Czystość duszy, tak różna od nieświadomości, przebija się w jej oczach i ruchach. Średniego wzrostu, wysmukła i pełna wdzięku, umie pokazać piękne ramiona, małe rączki i nóżki, przypominające eleganckie wykwintne biblioty. Patrząc na te rączki trudno uwierzyć temu, co mówi: „za lat dziecinnych miałam zawsze ręce podrapane, bo łązałam z chłopcami po drzewach.”

Rozumie doskonale potęgę swego czaru. Twarzyczka jej o cerze jasnej, otoczona splotami kasztanowatych włosów, jaśnieje szczęściem i ufnością.

Szkoda tylko, że przebywając często w otoczeniu kosmopolitycznym, rozwinęła w sobie niebezpieczną zdolność przystosowywania się do każdego środowiska, zatracając potroszę swą indywidualność.

Niekiedy zdradzała przebłyski temperamentu, które widzimy tylko u kobiet, znających już życie i żądzę nowych wrażeń, nieodłączną od zblazowania się powodzeniem w świecie. W krótkiej rozmowie z Franciszkiem odczuła niejasno może głęboki urok tego chłopaka, złożonego z pożądań i wzgardy.

— A więc niech pan zostanie, proszę... lubię wprawdzie tańczyć, ale tylko z tymi, którzy tańczą równie dobrze jak ja, a tutaj tancerzy takich nie ma wcale. Pomówimy o pańskiej książce.

Zamiast odpowiedzi Franciszek przerzucił kilka kartek i podał ślicznej dziewczynie list 22-gi, list Julii do Saint-Preuxa: „O, mój drogi, jakże przykrem dla zakochanych jest zebranie liczniejszej! Co za męka patrzeć na siebie, zmuszając się do obojętności pozornej! Stokroć lepiej nie widzieć się wcale! Jednakże trudno zachować spokój wobec wzruszeń, miotających duszą? Jak myśleć o przedmiotach najróżnorodniejszych, kiedy myśl jedna jedyna zajmuje nas wyłącznie?”

Teresę zadziwił niespodziewany zwrot w rozmowie; młody chłopak, od sześciu dni siedzący obok niej przy stole, nie wypowiedział dotąd ani jednej grzeczności. Zwróciła książkę w milczeniu z chłodnym wyrazem twarzy. „Wszyscy tutaj dają mi dziś nauczki” — pomyślał chłopak i nie mówiąc ani słowa z wielkim spokojem wyrwał z książki powyższą stronicę:

— List ten nie miał szczęścia podobać się pani, więc go odrzucam.

Wstawano właśnie od stołu. Teresa odeszła wraz z matką, której spojrzenie baranie, trochę senne, podrażniło Franciszka.

Biedny chłopak, myślała Teresa, zniszczył książkę dzięki mojej zbytnej drażliwości. O, to nie jest wcale jakiś belfer przeciętny, jak mi się zdawało z początku.

Blaski płonące w jego oczach wyrwały z odrętwienia całe grono bezmyślnych, drzemiących za stołem.

Młody chłopak udał się do czytelnicy, gdzie wypożyczył *Nową Heloizę*. Przechodząc park Luksemburski, pogrążony w mrokach wieczornych, snuł nić marzeń romantycznych, przeplatając je kombinacjami natury praktycznej:

Należy często odczytywać *Nową Heloizę*, ażeby zrozumieć, jak pojmują umysły wybitne miłość... Wypożyczenie trzech tomów na trzy dni kosztowałoby mnie ośmnaście sous... Za tę cenę powinienem znaleźć u przekupnia jakiś egzemplarz możliwy... zniszczyłem całe dzieło, muszę je więc odkupić... To znów powtarzał głośno wspaniałe frazesy Julii z listu pośmiertnego: „Zegnaj, drogi przyjacielu! gdy oczy twe spoczną na tej kartce, robactwo wstrętne pożerać będzie twarz twej kochanki i to serce, które przestanie bić dla ciebie.”

Słowa te, pełne bolesnej pieśczoły, budzą w duszy młodzieńca dreszcz nieznany. Wyrazy autora, tak głęboko odczuwającego miłość, muzykę i samotność, powoli zacierają tchnący świeżością obraz dziewczyny, któremu brakuje pierwiastku romantycznego i który nie wystarcza nowicyuszowi, błakającemu się po omacku w tajemniczych przedścionkach miłości...

Przed wystawą Odeonu, gdzie mimo przeciągu tłumu studentów przy migocącym świetle gazu przeglądają książki nierozcięte, ktoś zaczął Franciszka. Sturel odłożył na bok egzemplarz Rousseau, odwrócił się i poznał Horacyusza Racadot. Dawny kolega na wstępie poprosił go o pożyczkę pięciu franków, a potem przeszedł do zwierzeń:

— Nie poznałbyś zupełnie Mouchefrina! Służąc w wojsku nauczył się pić niepomierne. W przeciągu ośmiu dni wydaliśmy pieniądze, przeznaczone na cały miesiąc.

W każdej skostniałej prawie od zimna ręce Racadot trzymał zmarznięte jabłko.

— Czy to cały twój obiad? — zapytał Sturel, próbując żartować.

— Ależ tak. Mouchefrin wstąpił z Leontyną do restauracyi, gdzie jadamy często. Dadzą mu na kredyt, a damę można wprowadzić zawsze. Gdybyśmy poszli we troje, odmówionoby z pewnością.— Leontyna to moje kochanka. Jabłko mam od niej.

Studenci Francuzi różnią się bardzo od młodzieży cudzoziemskiej, zamieszkującej znaną *Dzielnicę Łacińską*. Nie udają bogatych, nie wstydzą się ubóstwa, a czasem spotkać można i takich, którzy się popisują swoją nędzą.

Racadot jednak zaczął się rozwodzić szeroko i z upodobaniem nad stoma tysiącami franków, które odziedziczył po śmierci matki. Od miesiąca jest już pełnoletnim i pieniądze te potrafi od ojca wy dostać. Rok cały pracował już u rejenta w Pont-à-Monssou, a dzisiaj jest piątym dependentem w biurze rejentalnem na przedmieściu Saint-Germain. Wie dobrze, jak bez ryzyka umieścić kapitał, ażeby procentował dobrze.

Zapędził się tak dalece, że zaczął ubolewać nad osamotnieniem Sturela.

— Chodź ze mną dzisiaj... spotkasz dawnych

kolegów z Nancy; będzie poczciwy Mouchefrin, Renaudin, pisujący artykułiki, gdzie się uda i Suret-Lefort, który studjuje prawo. Mamy iść wszyscy razem o czwartej rano na stację wschodnią, na spotkanie Roemerspachera. Zabawimy się przez całą noc.

Duma, odziedziczona po przodkach, pochodzących z szanowanej burżuazyi, czyniła Franciszka niezdolnym do zrobienia pierwszego kroku, ale wrodzona delikatność nie pozwalała mu odtrącać ludzi, którzy się pierwsi do niego zwracali. Łatwo bardzo można go było zranić, ale i on sam obawiał się dotknąć innych. Pomimo pozornej skłonności do ustępstw, miał naturę niezależną, a w duszy jego wrzał bunt nieustanny, zdradzający się ożywioną grą niezwykle ruchliwej twarzy.

Poszli razem na ulicę Medicis, do piwiarni, gdzie się mieli zebrać wszyscy koledzy. Racadot obstał sobie natychmiast sałatę z ziemniaków.

Piwiarnia należała do kategorii najpodrzedniejszej; brudna, nędznie i brzydko umeblowana, z usługą hałaśliwą i pełną poufałości; panowała tam atmosfera nieznośna, gorąca i duszna od lamp gazowych. Czem wytłómaczyć ten fakt zdumiewający, że młodzi ludzie tak chętnie przebywają w podobnym otoczeniu? Chyba ostatecznym brakiem energii.

Uczęszczanie do podobnych instytucyj deprawuje silniej, niż inne występki; nie doznaje się tutaj ani rozkoszy, ani namiętności, tylko się nabywa złych przyzwyczajęń.

Wkrótce przybył Suret-Lefort, a zaraz po nim Renaudin, Mouchefrin i Leontyna. Wysoka blondynka, bezbarwna, z cerą, przypominającą herbatę z mlekiem, budziła niesmak we wszystkich; tylko Racadot pochylał się ku niej z twarzą rozpromienioną czułością pijaka.

Leontyna była żoną cukiernika z Verdun. Ra-

cadot, przebywając tam jako wolontaryusz, zdobył jej serce zuchwałą miną i mundurem artylerzysty; poszła więc za nim w świat, porzucając męża i rodzinne miasto. Teraz z zuchwałą arogancją, właściwą kobietom jej sfery, opowiadała wielce nieciekawę historyjkę o stolikach wirujących.

Rozpoczęła od chwili poznania Racadota. Było to w kawiarni, którą utrzymywała w Verdun, podczas seansu spirytystycznego.

— Wyobraźcie sobie, że podczas drugiego seansu stolik nazwał go nierogatem stworzeniem... Strasznie byłam zła. Honoryusz mógł posądzić, że to ja naumyślnie potrącałam stolik.

— Ależ co znowu! wiedziałem, że byłaś na to za dobrze wychowaną — odparł Racadot z jakimś dzikim uśmiechem czułości.

Renaudin w przystępie wielkiego zadowolenia zapiał jak kogut. Po raz ostatni w życiu zaczęli się wszyscy śmiać i dokazywać jak szkolne żaki.

— Gdyby się tutaj znajdował Bouteiller — rzekł Sturel do Renaudina — raz jeszcze wyrzuciłby cię za drzwi!

Na wspomnienie Bouteillera wszystkie twarze spoważniały: w każdym z nich odżyło gorące pragnienie zobaczenia się z profesorem.

Suret-Lefort w dniu przyjazdu do Paryża rzucił mu swą kartę wraz z listem: Szanowny i drogi mistrzu, nie chcę mu zabierać drogiego czasu i korzystając z upoważnienia danego wszystkim uczniom w Nancy, odkładam zaszczyt złożenia panu mego uszanowania aż do chwili, kiedy zajdzie istotna tego potrzeba. Stosownie do rady, udzielonej mi łaskawie przez Pana, studuję prawo...

Zamilczał jednak przed kolegami o tym liście i chcąc zmienić przedmiot rozmowy, zapytał:

— Czy byliście na pogrzebie Gambetty? Ja się przyłączyłem do delegatów „Konferencji Molé.”

— Konferencya Molé—rzekł Sturel—to przelewanie z pustego w próżne.

Ale Renaudin pochwalił Suret-Leforta za gorliwe uczęszczanie na posiedzenia *Konferencyi*, której członkami byli niegdyś prawie wszyscy dzisiejsi wybitni mężowie stanu.

Dyskusya zazwyczaj ustawała, kiedy reporter, „pisujący do wszystkich dzienników”, otwierał usta; zdawało się wszystkim, że razem z jego słowami zlewa się na nich mądrość Paryża. Chyba Nestor na wybrzeżu trojańskim cieszył się tak nieprzepar-tym urokiem.

Zadobrze już znał życie, aby się skarżyć na los: nie powiedział im więc ani słowa, że upadek dziennika *la Verité* strącił go w przepaść i odtąd żyć musi nędznie, umieszczając tu i owdzie jakieś artykułiki informacyjne, poruszające sprawy życia codziennego. Zresztą wierzył święcie, że ex-redaktor Portalis, którego wielbił bezgranicznie, wypłynie znowu na powierzchnię, jako redaktor jakiegoś innego dziennika. Wychudzoną twarz Renaudin'a pokrywała egzema, źle usposabiająca do niego na samym wstępie. Opinią cieszył się nieszczę-gólną.

Zapoznany pod względem fizycznym i moralnym, trochę cynik, znał dobrze życie.

Racadot zapytał go po cichu, o której godzinie przyjmuje Bouteiller.

— Czegoż ty chcesz od niego?

Mouchefrin i Racadot spojrzeli na siebie pytająco.

— Wobec Alfreda można mówić otwarcie — zaczął po chwili Racadot. — Widzisz, Mouchefrin chciałby zostać jego sekretarzem, chociażby bezpłatnym; towarzyszyłby mu wszędzie, przyjmowałby za niego wizyty; ja zaś, przy moich zdolnościach do

interesów, mógłbym działać w jego imieniu, być jego parawanem.

— Jakto?

— On nie posiada majątku, a głos ogółu twierdzi, że chce się poświęcić życiu politycznemu.

Reporterowi pomysł wydał się wspaniałym; Renaudin zaczął się śmiać głośno, chcąc zwrócić uwagę innych kolegów.

— Cicho — powstrzymał go Racadot — gdy się tamci dowiedzą, gotowi nas uprzedzić.

Ale Renaudin już mówił głośno, trochę błaznując:

— Szanowni panowie Racadot i Mouchefrin, jeżeli macie jakieś polecenia do Pawła Bouteillera, możecie je powierzyć szanownemu koledze Suret-Lefortowi: wielki człowiek bowiem, rozczulony jego listem, polecił mi zawiadomić go, że przyjmuje we wtorki od 11-ej do 12-ej

Wiadomość ta wywarła wrażenie piorunujące. Dla zamaskowania złego humoru Racadot i Mouchefrin zaczęli pokpiwać ze Sturela, że zamieszkał w pensyonacie.

Młody chłopak odpowiedział krótko, że czuje się bardzo zadowolonym z pobytu w willi Coulonvaux, ponieważ ma wygodne mieszkanie i dobre jedzenie. Cichy pokój w ustronnej dzielnicy, gdzie tyle chwil już przemarzył, wydał mu się przystającą rozkoszną wobec tej piwiarni, mrowiącej się od pospólstwa.

— Co do mnie — zaczął Suret-Lefort tonem zapożyczonym od uwielbianego Bouteillera — nie sądzę, żeby na wstępie do życia samotność mogła wpływać dodatnio. Jakiś polityk w chwili rozdrażnienia może się puścić w podróż samotną, chcąc uspokoić stargane nerwy, ale kto ma lat dwadzieścia powinien poznawać życie i wchodzić w świat.

— Ja sądzę wręcz przeciwnie — rzekł Sturel. —

Młodzież, rzucona na bruk paryzki, nie znajduje najczęściej właściwego terenu do używania życia; najkorzystniej więc robi zagłębiając się w siebie i badając swe zdolności.

Mouchefrin i Leontyna parsknęli śmiechem ironicznym, ale Suret-Lefort wyrzekł do nich sucho:

— Mouchefrin, zebrania nasze staną się zupełnie bezużyteczne, jeżeli wszystko obracać będziemy w żart.

— Głupstwo!—przerwał brutalnie Racadot — czyż to po raz pierwszy w życiu żartujemy ze Sturela?

— Tak było dawniej — odciął się Renaudin — ale dzisiaj spożywasz obiad tylko dzięki jemu, a przepowiadam, że w przyszłości i Mouchefrin nieraz się zwróci do niego z prośbą o pożyczkę.

Słowa te wywarły wrażenie. Stanowiska społeczne obecnych zaczęły się zarysowywać wyraźniej. Racadot i Mouchefrin uczyli się plebejuszami... Odzyskali zwykłą pewność siebie dopiero wtedy, gdy zaczęto zwiedzać razem najwięcej uczęszczane knajpy dzielnicy Łacińskiej.

I Suret-Lefort i Sturel, których trudno było wytrącić z równowagi, czuli się w tych norach bardzo niewyraźnie, z przyjemnością jednak, właściwą ich wiekowi, wzięli udział w nocnych awanturniczych wycieczkach kolegów.

Znajomości zawierały się tam łatwo; wesołość panowała hałaśliwa, a kiedy przyszła pora udania się na stację, Mouchefrin, podniecony śmiechem Leontyny i Racadota, wysunął się naprzód, zaczepiając przechodniów w sposób przypominający koszary. Na stację weszli z głośnym krzykiem i śmiechem. Kiedy przybył pociąg i przyjezdni tłoczyli się zaczęli u wyjścia, powstał zgiełk nieprzerwany, wreszcie spostrzeżono dobroduszną twarz Roemerspachera, otoczoną bujnemi, wijącemi się włosami. Z ma-

łą ręczną walizką, oślepiiony jaskrawem światłem zalewającym peron, Roemerspacher wydostał się z wagonu. Koledzy ustawili się w szeregu, a on, dostrajając się do ich wesołości i nie tracąc fantazyi, bez żadnego zdziwienia defilował przed nimi wśród głośnych okrzyków: „Niech żyje Roemerspacher!”; Mouchefrin zaś, podniecony alkoholem, wyskakiwał obok niego, naśladowując ruchy konia, nagle zakomenderował:

— Pół obrotu!... Do naszej dzielnicy!

Roemerspacher szedł uroczyście, otoczony gronem kolegów, trochę senny, ale przejęty ważnością chwili. Sercem bijącym mocno ze wzruszenia ogarniał cały Paryż. Szedł krokiem pewnym i lekkim, z duszą pełną wdzięczności dla przodków, którzy się przyłożyli do wzniesienia tego wielkiego miasta, aby on, Roemerspacher z Nomeny mógł z czasem wziąć udział w jego życiu. Dawni koledzy hałasowali dokoła jak dzikie zwierzaki, ale krzyki ich i tańce wydawały mu się niejasnym symbolem upojenia, tem nowem życiem, które się przed nim odsłaniać zaczęło. Wolno posuwał się naprzód, oparty o ramię Sturela, obaj młodzi i poważni. W tem zbliżeniu bratniem i w zgodnem tempie kroków miarowych przyrzekali sobie bez słów, że odtąd wspierać się będą wzajemnie, zrozumieli, że wspólnym ich celem jest dążenie do piękna i prawdy. Suret-Lefort, szczupły i sztywnie wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, szedł obok nich automatycznym krokiem żołnierza, wymachując dużemi rękami. Za nimi kroczył Renaudin z monoklem w oku i błazeńskim wyrazem twarzy, drwiący, jak zawsze, ale szczęśliwy ze spotkania się w Paryżu z dawnymi kolegami.

— Jacy oni poważni... jacy poważni... jak prawdziwi wieśniacy.

Racadot i Leontyna z naiwną radością zachwycali się conceptami Mouchefrina.

Na bulwarze Saint-Michel wszyscy wstąpili do knajpy, znajdującej się na rogu ulicy Medicis. Kilkadziesiąt osób tłoczyło się razem z nimi. Roemerspacher skinął, że chce przemówić. Zapanowała cisza.

— Panowie... nie sądzicie, że pójde za przykładem Gil Blasa — gdy się zatrzymał w pierwszej oberży podczas swej wycieczki. — Przyjęcie wasze wzrusza mnie nad wszelki wyraz, nie mam jednak zamiaru częstować was ponczem, na co możecie rachowali w głębi duszy.

— Doskonale! — wykrzyknęli przyjaciele.

A on, zwracając się do Sturela, dodał:

— Usuń się trochę, Franciszku!

Siadł obok niego i nie zwracając uwagi na otaczający gwar, zapytał:

— No i cóż? Jak ci się podoba Paryż? Czy wielki? Czy wspaniały?

— I większy i piękniejszy, niż wyobrażaliśmy sobie.

— Ale przeładowany! — rzucił ironicznie Renaudin.

Każdy z nich pod wpływem żywej ciekawości. przybysza zaczął opowiadanie o pierwszych wrażeniach, doznanych w Paryżu; zwierzenia te pozwalały im zajrzeć w głąb własnej istoty i sprawiały wielką przyjemność. Zdawało się, że każdy z nich chce wybrnąć z zamętu pojęć nieustalonych, które były dorobkiem duchowym chaotycznego okresu życia w liceum.

— Po rozstaniu się z wami chciałbym się przespać parę godzin — mówił znów Roemerspacher — musicie mi wskazać jakiś pokój w najludniejszej dzielnicy miasta, z oknami wychodzącymi na ulicę; chciałbym się upoić gwarem stolicy. Sko-

ro tylko miasto zbudzi się ze snu, kupię natychmiast biały kajecik, vel przewodnik, i zacznę zwiedzać olbrzymie mrowisko ludzi, gmachów, pomników, pojęć, ażeby się mózdz tutaj zorientować co-prędzej. Przyszła chwila, kiedy musieliśmy wylecieć z gniazda i próbować wzlotów samodzielnych.

— Mniejsza o to — odparł Sturel. — Co do mnie, najwięcej się cieszę z tego, że jestem tutaj zupełnym panem siebie. Od sześciu dni pociąga mnie najbardziej...

— Już wiem co! — przerwał Roemerspacher i dodał jakiś tłusty koncept, widząc jednak grymas na twarzy przyjaciela, chciał zatrzeć złe wrażenie i położył serdecznie rękę na jego ramieniu. Odgadł, że Franciszek zamało miał równowagi duchowej, ażeby mózdz pogodzić myśli poważniejsze ze swawolnemi żartami młodości.

Po chwili zaczął znów:

— Czy byłeś u profesora Bouteillera?

— Nie mam zamiaru prosić go o nic — odparł dumnie Sturel.

I zaczął się rozwódzić nad tem, że dotąd najwięcej go zaciekawiały w Paryżu galerie Odeonu.

Renaudin wzruszył ramionami:

— Dzisiaj nawet mogłeś mieć widok dużo więcej pouczający, niż wszystkie stare szpargały; ale nie raczyłeś pójść na pogrzeb Gambetty!...

— Ach, to było wspaniałe! — wyrwała się Leontyna.

— Każdy może patrzeć na przedstawienia paryzkie, ale nie każdy potrafi zrozumieć ich znaczenie — ciągnął dalej Renaudin wzgardliwym tonem „paryżanina”, wracającego do rodzinnej wioski. — Przyjaciele zmarłego przez długie jeszcze lata trzymać będą w swych rękach ster Rzeczypospolitej. Ponowili zobowiązania, zaprzysiężone w ostatnich latach cesarstwa. Jakich potrzeba warunków, walk,

zbiegu okoliczności pomyślnych, ażeby pozwolili nowej generacji wziąć udział w rządach?

— A ja was zapewniam — zawołał Mouche-frin — że Bouteiller zostanie deputowanym przed upływem lat pięciu.

— To znaczy, że będzie się wysługiwał w przeciągu lat czterech!... Chciałbym, żebyście mnie zrozumieli: nie twierdzę bynajmniej, że przyjaciele Gambetty odmówią adwokatom wstępu do parlamentu; mówię tylko, że zatrzymają dla siebie najwyższe urzędy. Deputowany! Tytuł ten nosi pięćset osiemdziesięciu ludzi, czyż znajdziemy jednak chociaż pięćdziesięciu, wtajemniczonych w system parlamentarny?

— A czyż nie można zorganizować stronnictwa innego?... — zapytał Suret-Lefort. — Czyż nie ma haseł innych? Dlaczego tej ugodzie przestarzałej nie przeciwstawić ligi nowej?

Młody intrygant odgadywał intuicyjnie, że posuwając się naprzód ścieżką utartą, zbyt długo się idzie do celu; że praktyczniej byłoby iść na przebój, wystąpić w imię haseł nowych, ponieważ wpływ polityczny jest zawsze wartością zamienną.

— Jest socjalizm — odparł Renaudin — ale tam nie ma ludzi zdolnych, którzyby pociągnąć umieli kapitalistów i burżuazyę. Są tylko mówcy, których życie upływa na agitacji...

Nigdy się nie filozofuje tak chętnie, jak w dwudziestym roku i to około godziny czwartej rano. Nawet Leontyna przysłuchiwała się z ustami w pół otwartymi, oniemiała z wielkiego zachwyty.

Rozmowa przeskakiwała często z przedmiotu na przedmiot, jak zwykle podczas biesiad nocnych. Punktem wyjścia było najczęściej liceum w Nancy, wspólny teren, na którym się rozwijały, rozchodziły i jednoczyły różnorodne natury tych ludzi. Liceum przypominało dąb olbrzymi, którego pojedyncze ko-

nary i liście różnią się wprawdzie od siebie pewnymi właściwościami, ale których wzrost i życie znajduje się w zupełnej zależności od wspólnych, potężnych korzeni. Wizye senne, ukazujące się nam w nocy, trudno nieraz wyodrębnić od zjawisk życia rzeczywistego; dawni koledzy, uszczęśliwieni, że się znów odnaleźli po długim rozstaniu, marzą o stworzeniu organizmu zbiorowego, potężnego jak dąb; wyobrażają sobie, że siły intelektualne każdej jednostki, podobnie jak soki krążące w drzewie, odżywiać mogą cały ten organizm zbiorowy. Obraz ten wydawał się im bardzo prawdziwym i pociągał swą pięknnością moralną. Tylko starość lub zblazowanie nazwałoby kłamstwem pojęcie, które stworzyłoby braterstwo i zadowolenie, gdyby było prawdziwym. Ojcem duchowym tych młodych ludzi jest Bouteiller; nie należy się więc dziwić, że każdy z nich przypuszcza, iż stworzy sobie świat ducha podobny do świata innych kolegów. A jeżeli dzisiaj już dostrzegają w sobie pewne odcienia różne, nie mąci to bynajmniej ich spokoju. Nie przychodzi im nawet na myśl, że w przyszłości spryt Renaudina, ambicya Suret-Leforta, poetyczność Sturela, żądza wiedzy Roemerspachera mogą ich doprowadzić do starcia, a nawet rozdzielić zupełnie.

Dzisiaj konstatuja te odrębności z pewnym zachwytem, widząc w nich dowód, jak bardzo się rozwinęli w przeciągu dwóch lat ostatnich.. Przyglądają się sobie bacznie, w milczeniu pełnem zdumienia i ciekawości.

— Sturel! — wykrzyknął patetycznie Mouchefrin. — W imię potężnego Bouteillera! Oby nas zawsze miał w swej opiece! Proszę cię, daj mi swą portmonetkę.. Panowie, ażeby uczcić godnie Roemerspachera z Nomeny, który odtąd będzie się nazywał Roemerspacherem z Paryża, na zakończenie dzisiejszego wieczoru fundujemy rum. Wy-

krzyknijmy wszyscy: „Precz z Nancy! Niech żyje Paryż!”

I rozległ się krzyk, krzyk zdrady i odstępstwa! W nim zawarł ten chłopak zepsuty całą treść pierwszej połowy swego życia. A żaden z kolegów nie wystąpił z protestem! Ta wstrętna manifestacya była koniecznością, narzucił ją im swym wpływem Bouteiller. Okrzyk: „Precz z Nancy! Niech żyje Paryż!” był wyrazem potrzeby, którą każdy z nich uczuwał, potrzeby rzucenia się w wodę z zamkniętymi oczami. Piskliwe głosy dziewcząt, płocha werwa cyganeryi, zrządzenie pijaków, wszystko to razem wytwarzało jakiś ohydny zgiełk uznania, z jakim przyjęto ten toast wstrętny; wreszcie gospodarz knajpy zakończył wrzawę, wyrzucając wszystkich gości za drzwi.

Ranek był chłodny, szarawy; stróże zamiatali ulice, a wiatr potęgował wzniesione przez nich tumany brudnego kurzu. Młodzi Lotaryńcy, przechodząc z dusznej, gorącej knajpy do lodowatej atmosfery zimowego brzasku, brudni i spoceni, w ubraniach pomiętych, czuli się bardzo niewyraźnie; ale wrażenie to, któreby im mogło zepsuć humor w trzydziestym piątym roku życia, dzisiaj nie zmniejszyło ich werwy ani wesołości.

Porwano walizkę Roemerspachera i wśród nieustannych conceptów, którym uroku dodawała młodość i lekkie upojenie, odprowadzano go gremialnie do hotelu Cujas, znajdującego się wprost hotelu Saint-Quentin, gdzie mieszkał niegdyś Rousseau, Balzac i jego bohaterowie, George Sand, Vallès.

Sturel skierował się przez park Luksemburski na ulicę Sainte-Beuve, trzymając egzemplarz *Nowej Heloizy* pod pachą. W drodze spostrzegł się, że Mouchefrin nie zwrócił mu portmonetki z dwustu frankami i nie podał swego adresu.

ROZDZIAŁ III.

Miłostki Franciszka Sturel.

Sturel nie kładł się wcale, ale zaczął odczytywać ulubione ustępy z *Nowej Heloizy*. Wypadki nocy ubiegłej roznieciły w jego duszy ambycję i przyjaźń. Rousseau wtajemniczał go w życie uczuciowe i zmysłowe. Horyzont myślowy się rozszerzył. Chciał panować nad mężczyznami i darzyć pieczęcią kobiet.

Podczas śniadania był trochę senny, ale zajął z apetytem i milczał zawzięcie. Pani Alison i Teresa były na mieście. Próbowano go zaczepiać, podobnie jak dnia wczorajszego, ale odciął się tak ostro, że dano mu pokój. Zresztą ciekawość bezczynnego ogółu zwróciła się w kierunku nowej mieszkanki, o której pani Coulonvaux opowiadała szeptem:

—Azyatka... czy też Turczynka!... nikt tego dobrze nie wie... w każdym razie osoba niezmiernie dystyngowana, z najlepszej rodziny, wdowa, kuzynka ambasadora Wielkiej Porty w Petersburgu, pani Astiné Aravian.

Była to osoba mniej więcej trzydziestoletnia, z cerą bardzo białą, włosami czarnymi i oczami szafirowymi. Dosyć wysoka, twarz miała owalną z rysami nieco ostremi; ciemne brwi zakreślały gęste łuki, zrastające się prawie nad czołem. Przybywała z Konstantynopola; kilkodniowa podróż w wagonie nadała jej twarzy wyraz lekkiego znużenia w stopniu najbardziej niepokojącym.

Podkrążone oczy młodego chłopca przypomniały jej zapewne jakieś miłe chwile z przeszłości, przyglądała mu się bowiem z wielką przychylnością.

ścią, nie zwracając uwagi na szept i grzeczności pani Coulonvaux. Wstając od stołu, zwróciła się do niego z wielką naturalnością, przypominającą mu swobodę koleżeńską i, pomimo, że nie był jej przedstawionym, zapytała:

— Jakaż to jest książka, dla której, zdaniem tych państwa, wyrzekł się pan wczoraj obiadu?

I nie czekając odpowiedzi, dodała:

— Dzisiaj po południu nie mam żadnego zajęcia... Możeby książka, która nie pozwoliła panu spokojnie spożyć obiadu, rozproszyła moją senność.

Sturel pośpieszył zanieść jej *Nową Heloizę*. Apartament młodej kobiety zarzucony był walizkami, sukniami, kapeluszami i zdobną we wstążki i koronki bielizną; wśród tego chaosu tu i owdzie świeciło się mnóstwo biblotów wschodnich, okrągłe srebrne lusterka, amulety zawieszane na łańcuszkach, lekkie, przejrzyste welony, o barwach żywych i miękkich.

— Przyglądasz się pan moim strojom — zaczęła — memu arsenałowi. Przybywam z Konstantynopola.. a właściwie potroszę zewsząd. Ale nie obawiaj się pan, potrafię się też ustroić jak laleczka paryzka.

— Zdaje mi się — pomyślał Franciszek lekko podrażniony — że ona mnie uważa za głupca, który nigdy nic nie widział... tymczasem wyobraźnia moja przewyższa z pewnością jej doświadczenie.

Pozostał jednak, bo pani Astiné była piękna, a w pokoju unosiła się odurzająca woń perfum. Podobnie mucha nie może się oddalić od kawałka cukru.

Pani Astiné wzięła książkę dwoma palcami i przyglądała się okładce, która zdawała się budzić w niej pewien niesmak. Po chwili zaczęła rozmo-

wę, uogólniając w bardzo grzecznej formie swe wrażenia:

— Jeszcze nigdy w życiu nie natrafiłam na budę, któraby tak czuć było pleśnią, jak ten pensjonat!... Zostanę tutaj sześć tygodni, to jest tyle czasu, ile go potrzeba na zainstalowanie się gdzieindziej. Co tu jednak może robić młody mężczyzna?

Sturel nie słuchał jej wcale trochę oszołomiony bezsennością, podniecony dobrym obiadem i zbyt gorącym ogniem, płonącym na kominku. Atmosfera pokoju zdawała się przesiąknięta jakąś dziwną, nieokreśloną pieśczętą.

Astiné zaczęła mu pokazywać turkusy, zwane „nieśmiertelnemi”, ponieważ nigdy nie nabierają zielonej barwy. Miała ich wielką ilość; stanowiły dar jakiegoś księcia perskiego. Pochodzenie tych klejnotów więcej zachwycało Sturela, niż cudny ich błękit. Zapalili wonne cygaretki, a piękna kobieta powtarzała anegdotki krążące o pani Coulonvaux, a zasłyszane już dzisiaj od mieszkańców pensjonatu.

Obrazowość opowiadania, pewność siebie i akcent cudzoziemski ratowały te opowiadania od ordynarności; zdradzało się w nich jednak upodobanie do obniżania wartości osób innych, każdy ruch młodej kobiety obudzał we Franciszku coraz większy niepokój i pewne zakłopotanie; wreszcie kiedy stanęła tuż obok niego, pochwycił ją w objęcia i przycisnął do piersi, szepcząc cicho:

— Przebac, przebac! — zupełnie jak ulicznik, któremu się zachciało ciastka i który nie umiejąc zapanować nad swą chętką, wyciąga po nie rękę.

Piękna kobieta nie opierała się wcale, ścisnął ją więc coraz silniej. Wreszcie, gdy się uspokoił nieco, rzekła do niego głosem dźwięcznym lekko

stłumionym, bez najlżejszego zakłopotania na pięknej twarzyczce:

— Jakiż z pana dzieciak!

Uśmiechnęła się lekko i nie chcąc go onieśmielać, dodała:

— Drzwi były otwarte.

Poprosiła go, ażeby na nią zaczekał, a sama przeszła do pokoju sąsiedniego. Rzucił się na fotel, pograżając się w rozmyślaniach na temat niezwykłej istoty, dla której na świecie zdawało się nie istnieć nic po za jej przyjemnością. Po chwili wróciła urocza, jak fantastyczna postać z bajki, osłonięta zwojem przezroczych muślinów i zarzuciła mu ręce na szyję...

Po tysiącnych uściskach Astiné prosiła młodzieńca, by jej podarował *Nową Heloizę*, mówiąc, że chce zachować tę książkę jako wielką osobliwość, ponieważ na całym Wschodzie, słynnym ze swych brudów, nie napotkała nigdzie nic tak obrzydliwego.

— Tak — rzekł poważnie, chociaż w głębi duszy bardzo ubawiony — wygląd zewnętrzny tej książki wistocie jest opłakany, ale wyrwę dla pani najpiękniejszą stronicę, którą pani może zachować na pamiątkę w jakimś romansie ulubionym.

I wyrwał list 407 i 417: „Wymówki, które czyni kochankowi Julia za to, że pod wpływem wina przemawiał do niej brutalnie i zachowywał się niewłaściwie. Usprawiedliwianie się St. Preux”.

W dwie godziny później Ormianka wrzuciła do ognia otrzymaną pamiątkę, nie troszcząc się bynajmniej o jej treść.

W tym samym czasie Teresa Alison z żalem wyrzucała sobie, że nie przyjęła kartek, które jej Franciszek ofiarowywał.

Pani Alison postanowiła jadać z córką w swo-

im pokoju. Wiadomość ta zirytowała Franciszka. Całą duszą rwał się do używania życia, a wśród innych rozrywek pożądał towarzyski odpowiedniej mu wiekiem.

W parę dni później, przebiegając szybkim krokiem schody, spotkał Teresę; zatrzymał się natchmiast i bez tchu prawie zapytał:

— Czy pani już nigdy nie przyjdzie do table d'hôte?

— Może to pana skłoni — odparła wesoło — do uczęszczania na czwartki pani Coulonvaux.

Przyszedł i czekał na nią, ale daremnie; nie pokazała się wcale. Niejasne i trochę szalone nadzieje, któremi się karmił przez kilka dni, zastąpił smutek.

— A więc zadrwiła ze mnie? A może tylko lekceważy?

W młodości wyobraźnia, niedoświadczenie i nieśmiałość potęguje zazwyczaj obrazy powodzenia i doznanych nieszczęść. Franciszek przed udaniem się na schadzki z Ormianką postanowił wybrnąć z fałszywego położenia i raniutko już napisał do Teresy:

„Pani, byłem wczoraj wieczorem w salonie. Pociżbym miał ukrywać, że wyszedłem ztamtąd głęboko zasmucony? Przyznaję, że pani miała najzupełniejsze prawo przełożyć wszelką inną przyjemność nad spełnienie obietnicy łaskawie danej człowiekowi, który zanadto gorąco odczuwa piękność, wdzięk i zawód, ażeby potrafił wyrazić słowami to wszystko, co uczuwa w tej chwili.

Franciszek Sturel.”

— Doprawdy znalazłem się w błędnem kole — rzekł do siebie, zaklejając kopertę — odgrywam rolę wdychającego wielbiciela.

Skoro tylko pani Alison wyszła na miasto, kazał natychmiast odnieść list do pokoju Teresy.

W willi interesowano się niezmiernie wszelkimi szczegółami, odnoszącemi się do stałych mieszkańców i udzielano sobie wzajemnie wszelkich wiadomości, nie szczędząc komentarzy. Pokojowa panny Alison, czesząc ją zrana, rzekła:

— Dużo mówią u nas o tej pani, Turczynce. Podobno największemi względami obdarza młodego studenta.

Teresa więc, otrzymując bilet Franciszka, wiedziała już o jego stosunku z Ormianką. Zdziwiła się, że młody chłopak, nie mający wcale miny lowelasa, chce prowadzić grę podwójną. Podrażniło to jej kokieteryę i wyobraźnię, nie wzruszając głębiej duszy marzycielskiej i szlachetnej. Postanowiła rozkochać go w sobie dla zabawki i pod wpływem tej myśli napisała do niego kilka słów, które miały później zaważyć na szali ich stosunku:

„Panie, byłoby dużo smutniejszem, gdybym ja, przychodząc do salonu, nie zastała tam pana. Ułożyliśmy się przecież w ten sposób, że to pan będzie tam oczekiwał na mnie. Łaskawość moja, o której pan wspomina, polegała na tem, że przyjęłam zobowiązanie pańskie. Teraz do pana samego należy gorliwem uczęszczaniem na czwartki dowieść mi, że pan zrozumiał jedyną umowę, jaka istnieć może między nami, umowę, która oddaje pana bez żadnych zastrzeżeń na usługi Teresy Alison.”

Podziękowanie Sturela młoda dziewczyna pozostawiła bez odpowiedzi; następnego czwartku również nie przyszła do salonu; ale w tydzień później poświęciła mu cały wieczór, absorbując go całkowicie, tak, że ani na chwilę nie mógł się zbliżyć do pani Astiné. Uśmiechnięta, przyjacielska, mówiła dużo o sobie, zapytywała o jego sprawy osobiste, prowadząc całą rozmowę w tonie swobodnym

i wesołym, w którym ktoś doświadczeńszy od niego z łatwością byłby dostrzegł pewne zdenerwowanie.

Długie wieczory zimowe spędzał Franciszek przy boku pięknej Ormianki, wsłuchując się z chciwością w jej zwierzenia. Opowiadała mu o Konstantynopolu, Petersburgu, Tyflisie i wybrzeżach zachodniej Azji, z kąd była rodem.

— Rodzina moja — mówiła — pochodzi z Cylicyi. Doliną Eufratu i oazami Mezopotamii przodkowie moi przybyli do Persyi, a ztamtąd do Indyi, z kąd nas wyгнаła rewolucya. Długi czas błąkali się po piaszczystych pustyniach Syryi. Ujrzałam światło dzienne w jednym z miast jońskich. Ojciec mój osiedlił się ostatecznie w Konstantynopolu.

Doliny Eufratu i Tygru, użyźniające niegdysraj ziemski—Babilon, Niniwa, Indye, Jonia. — Nazwy te wzruszają Franciszka głęboko. Z dźwiękiem tych słów wiążą się wspomnienia nietylko historyczne, ale i legendowe. Stanowią one nić wspaniałą, wiążącą jego terażniejszość z marzeniami i podaniami przeszłości.

Astiné pochodzi z Azji, z krain tajemniczych i odurzających, podobnych do pięknych niewolnic okrytych zasłoną.

Wpatrując się w oczy ukochanej, Franciszek nie szuka tam głębin miłości, ale pragnie wyczytać tajemnice karawany, ciągnącej przez pustynię.

Upajając się wonią jej ciała, nie doznaje zachwyty kochanka, ale pogrąża się raczej w jakimś upojeniu, pełnem melancholii, smutku i upokorzenia, podobny do barbarzyńca u progu wspaniałej świątyni azyatyckiej.

W dziewiętnastym roku życia kochanek myśli najczęściej z dumą: „Gdy moja ukochana pojawi się w operze, tłumy mężczyzn przyglądają się jej

z zachwytem i zazdrosczą temu, którego ona wybrała.”

Franciszek zaś mówił do siebie: „Posiadam kobietę, pochodzącą z Niniwy, urodzoną w Jonii.“ Przypominając zachwyty Bouteillera nad filozofami jońskimi, rozegzaltowywał się jeszcze więcej.

Mówiła chętnie i dużo, z akcentem cudzoziemskim, używając wyrazów żargonu paryzkiego w sposób trochę naiwny i zajmujący, jak Szecherazada u wezgowia sułtana, przeplatając nieraz swe opowieści wybuchami uniesień miłosnych.

— Mówiłam ci już—zaczęła któregoś razu — że rodzina moja pochodzi z Armenii (*areo* znaczy słońce) i należy do rodów najwybitniejszych. Imię moje „Astiné” pochodzi od nazwy bogini Artithy, t. j. Venus, której przodkowie moi, mieszkający wokolicach jeziora Van, poświęcili wierzchołki gór. Ja się urodziłam w Jonii. Najwcześniejszem wspomnieniem mojego dzieciństwa jest ucieczka z kraju wskutek zamieszek wewnętrznych; pamiętam siebie na ręku matki jadącej na wielbłądzie; matka moja umarła wśród tej tułaczki.

Pamiętam również, że jeszcze przed ucieczką matka moja, piękna i młoda, deklamowała nieraz wyjątki z *Gulistanu*, gdzie zawsze była mowa o różach, jaśminach i słowikach; ja zaś bawiłam się u jej stóp ładnymi pudełkami, zdobnymi w wizerunki pięknych rycerzy, goniących po zielonej murawie cudne, czarnookie dziewczęce.

Pewnego razu ojciec mój, radca stanu, zamieszkały w Konstantynopolu, wezwany został do pałacu sułtana. W kilka godzin później po powrocie do swego mieszkania nad brzegiem Bosforu skonał w strasznych konwulsjach. Brat mój, osypany podarkami, przyłączony został do ambasady petersburskiej.

Pojechałam z nim razem. Miałam wtedy lat

14 i dwa lata spędziłam nad Newą. W 16-m roku nie rozumiałam jeszcze, jak pięknem może być życie, ale domyślałam się już wielu rzeczy, uzupełniając luki wyobraźnią. Puszczalam chętnie wodze upodobaniom romantycznym i komponowałam ciągle niestworzone historie. Nigdy nie mówiłam prawdy i to życie podwójne bawiło mnie niezmiernie. Wreszcie stryj mój, głowa naszego rodu, wzbogacony eksploatacją źródeł nafty na Kaukazie i zamieszkały w Petersburgu, postanowił wysłać mnie do Tyflisu do mego drugiego brata...

Opowiadała mu o żalu, z jakim opuszczała Petersburg, o łzach tłumionych, o strojach, które pozabierała z sobą, o wrażeniu, jakie jej piękność, młodość i samotność wywierały na wszystkich podróźnych podczas długiego przejazdu przez Rosyę, wreszcie o przybyciu na Kaukaz.

— Około godziny 10-tej pociąg przybył do Władykaukazu, położonego u stóp wysokiej góry. Zimno było przejmujące, noc jasna i przejrzysta, jak gdyby oświetlona blaskiem, padającym od biało pomalowanych domów.

Najpierw rzuciły mi się w oczy ciemne cyprysy, wśród których ujrzałam sylwetkę młodego człowieka. Domyśliłam się, że to był mój brat, i chociaż nie widziałam go od lat pięciu, doznałam silnego rozczarowania, tak bardzo bowiem podobały mi się przygody podróży, od których obecność brata miała mnie uwolnić. Rozczarowanie to, łącznie ze zmęczeniem, wycisnęło mi łzy z oczu.

Noc spędziliśmy w hotelu. W ciepłym powietrzu unosiła się przejmująca woń kwiatów. Do późnej nocy stałam w oknie, wpatrując się z zachwytem w rozciągającą się przedemną fantastyczną panoramę cmentarza.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy powozem w głąb Kaukazu traktem wojenno-gruzińskim. Zwiedziłam

dużo świata, ale nic podobnie wspaniałego nie widziałam nigdzie. Ani Szwajcarya, ani wzgórze Toledo nie mogą się równać z wąwozami Darielu. Ile tam powietrza, ile grozy w krajobrazach i legendach. Jakże bladą, pedantyczną i małomieszczańską wydaje mi się twoja Nowa Heloiza wobec miłosnych poematów Persyi! Bohaterowie Balzaca wobec górali Szamila wyglądają jak komiwojażerowie. Gołąbka z arki Noego, męka Prometeusza, oto wspomnienia, któreśmy przeżywali, przebywając krańce monarchii Aleksandra Wielkiego; wążka drożyna wiodła nas brzegiem straszliwych przepaści wśród krajobrazów, których groza i potęga wrażyła mi się w pamięć na zawsze. Nic dziwnego, że dziś blademi i bezbarwnemi wydają mi się dramaty, których tragizm was przeraża.

Na górze Kazbek obległy nas dzieciaki, chcące nam przemocą sprzedać kryształy ametystu. Gdy wieczór zapadał, cały krajobraz z wybitnym charakterem feodalnym, księżyc rzucający blade promienie na granitowe ściany przepaści, tu i owdzie nieruchomo stojący Gruzini w turbanach — wszystko to razem tworzyło tak dziwną patetyczną mieszaninę Wschodu i wieków średnich, że chwilami doznawałam wrażenia, jak gdyby ostrze puginału rozbójnika dotykało mego ściśnionego serca. Wstąpiliśmy w dolinę Dagiestanu, tonącą w powodzi kwiatów. Przebywaliśmy góry tak wysokie, że krew rzucała się nam z nosa. W Mtzkhet, stolicy Dżengisa — który, mojem zdaniem — przewyższa znacznie waszego Napoleona — brat mój oznajmił mi, że się zbliżamy do Tyflisu.

Przy tej sposobności zaczął mi opowiadać o swem życiu rodzinnem. Dowiedziałam się, że według zwyczaju miejscowego, punkt honoru Ormian wymaga, ażeby cała rodzina zamieszkała pod jednym dachem; brat mój zatem, jego żona, dzieci,

dwie siostry żony ze swemi mężami i rodziną mieszkali w jednym domu.. W trakcie tego opowiadania wjechaliśmy znów na górę, mijając cmentarz, z którego dochodziło nas wycie szakali, i przez wąskie ulice starożytnego miasta przybyliśmy na stację pocztową.

Tam otoczyły nas kobiety, ubrane po europejsku, albo też w strojach narodowych, z dużemi kolicami i długimi welonami; większość trzymała za ręce niesforne dzieciaki; cały ten tłum z krzykiem i hałasem rzucił się na spotkanie, witając mnie z wielką czułością. Zabrano mój bagaż i po chwili ruszyliśmy wszyscy ku domowi rodzinnemu, mijając budynki niskie, otoczone balkonami i werandami, spotykając mężczyzn najpiękniejszych w świecie.

Umierałam prawie ze zmęczenia i głodu. Z radością ujrzałam w ogromnej sali stół, zastawiony obficie: była tam pieczeń barania z rożną, ryż z pomidorami i wiśniami, ser kozi i dwanaście gatunków owoców. Wino krajowe podano w dużej srebrnej wazie, z kąd czerpał je każdy za pomocą dużej łyżki...

Po strasznych upałach podróży dziwnie miłym był ten wypoczynek wśród jasnej księżycowej nocy. Siedzieliśmy na tarasie, urządzonej na płaskim dachu, aż do drugiej czy trzeciej rano. Na sąsiednich dachach znajdowały się również tarasy, gdzie także czuwali ludzie. Wreszcie służba przyniosła materace i wszyscy zasnęliśmy na świeżem powietrzu.

Tyflis rozrzucony jest na zboczach góry i na dnie głębokiego wąwozu. Bulwary ulic nowożytnych wysadzono topolami, ale starożytna część miasta jest bardzo skupiona i ciasna, przypomina Kordowę, cuchnącą i zarazem wonną; oddycha się tu zapachem zgnilizny i róż. Miasto, otoczone dokoła ogrodami owocowemi, przerywana rzeka Kura, bardzo bystra

i szeroka; cały krajobraz zamyka łańcuch gór Kaukaskich przybierających barwę lila-różową, czarną, pomarańczową, zależnie od pory dnia.

— Pragniesz może wiedzieć, w jaki sposób spędzaliśmy czas? Od samego rana wszyscy mężczyźni, wojskowi, lekarze, inżynierowie itp. udają się do swych zajęć, kobiety zaś pozostają w domu, prawie zupełnie nieubrane. Wzbudzałam zachwyt ogólny swemi tualetami eleganckimi, przystrojonymi haftami.

W otoczeniu dzieci i licznej służby, nie ruszając się z miejsca, piliśmy kawę i sorbety. O pierwszej podają obiad, a po obiedzie znowu siesta do godziny szóstej. Okienice pozamykane; państwo, dzieci, służba, psy — wszystko pogrąża się we śnie. O szóstej cały dom się budzi; czasem koło ósmej idziemy do ogrodu publicznego na muzykę; niekiedy znowu w powozach zaprzężonych ładnymi końmi udajemy się do ogrodów, położonych za miastem. Ubijają ziemię z obawy skorpionów, przykrywają ją dywanami, na których siadamy wszyscy, zrywamy przepyszne owoce i spożywamy je w wielkiej ilości; można też dostać i kawy. O zachodzie słońca widok gór jest najwspanialszy; nawet ludzie najmniej wrażliwi, wzruszeni ciszą wieczorną, pogrążają się w głębokim milczeniu.

Najulubieńszą rozrywką Gruzinek są kąpiele. Wszystkie kobiety, stanowiące rodzinę, zapraszają sąsiadki i wyruszają w pięciu lub w sześciu powozach. W ten dzień tylko mężczyźni pozostają w domu. Łazienki, otoczone drzewami migdałowymi i orzechowemi, od niepamiętnych czasów urządzone są w pobliżu źródeł siarczanych, gdzie zbierają się Persowie zarażeni trądem i muzułmanie czyniący ablucye. Persowie noszą długie brody i malują paznogie na czerwono. W sąsiedniej oberży, będącej właściwie dawnym klasztorem, gromadzą się

co sobotę liczni pielgrzymi. Składają w ofierze kościołowi barany, które później, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa, sami spożywają. Młodzież miejscowa urządza tam często przejażdżki konne.

W kabinach jest zawsze mnóstwo myszy, ponieważ każdy przychodzi do kąpieli z zapasami żywności. Możesz więc sobie wyobrazić, z jaką obawą każda z nas wkładała suknie!..

Po wyjściu z kąpieli wszyscy zasiadają do jedzenia; pieką na miejscu połędwicę barania, podają owoce i wino; potem znowu wracają do wody—kąpiel ta trwa od 12-ej w południe do 8-ej wieczorem. Wreszcie wracają do Tyflisu bardzo gwarnie. Jest to dzień wielkiego święta.

Drugą rozrywkę kobiet stanowi gra w domino w domach gry, gdzie wstęp kosztuje dziesięć kopiejek. W pokoju ustawia się pięć lub sześć stołów; ziarnka bobu służą jako żetony! Niemasz nawet pojęcia, jak strasznie kręcą te wszystkie kobiety! O, jakże te pokoje urządzone z wielką prostotą, z oknami zasłoniętymi od palących promieni słońca, w których kobiety popijają sorbety i grają w domino, różnią się od salonu pani Coulonvaux we czwartki; a jednak ręczę, że w takim domu gry, przy wązkiej, brudnej, spalonej od słońca uliczce starego miasta, gdzie się zbiera najlepsze towarzystwo miejscowe, czułbyś się daleko szczęśliwszym, niż na ulicy Sainte-Beuve, pracując pod okiem śmiesznej mieszczanki, ażeby zostać w przyszłości urzędnikiem lub rejentem; brak mi bowiem słów na odmalowanie tej swobody, bogactwa, prostoty i zupełnego braku inicjatywy, które cechują życie kaukaskie.

— A jednak — rzekł Franciszek—który czuł się trochę odpowiedzialnym za Europę w obec Azji, jabym nie lubił drzemać całymi dniami, jak kobiety seraju.

— Mój drogi, chociaż lubię twe oczy, szczególnie wtedy, gdy błysnie w nich iskra gniewu, w gruncie rzeczy nie znamy się wcale. Nie zbadałam twych upodobań... Dużo ludzi lubi płynąć przez życie, jak sterlet w Wołdze, ginący w gęstej masie innych sterletów, albo dojrzewać w słońcu jak winogrono, tonące w masie innych winogron. Całe miliony Ormian spędzają życie w ten sposób, bez żadnych wypadków wybitnych, bez innych wzruszeń, prócz odrobiny smutku z powodu kobiety... Lecz mogłabym ci zanucić również pieśń swobody Kamar-Katiby, a wtedybyś zrozumiał to, co mi opowiadał ojciec za mych lat dzieciennych: Pewnego razu udał się on wraz z moją matką do Erywanii; z głębi obszernej równiny na dalekim horyzoncie ujrzeli olbrzymi Ararat, świętą górę Ormian, u stóp której stoczyli tyle walk o niepodległość. Matka moja, bardzo sentymentalna, tonęła we łzach na myśl, że już nigdy w życiu nie ujrzy tego wspaniałego widoku...

Przypuszczam, że ciebie zachwycą Byron. Otóż ten, kto nie chce płynąć przez życie, jak sterlet z prądem Wołgi, mógłby zawsze u stóp Araratu odegrać tę rolę, jaką odegrał Byron w dziejach Grecji...

Gdybyś walczył za wolność Armenii, mógłbyś porwać cały naród, który umie jeszcze bawić się nadziejami, otaczać sławą i wynagradzać zasługi.. Doznawałbyś niebezpieczeństw prawdziwych. Wśród odmiennego zupełnie klimatu znalazłbyś inne typy, niewyczerpane bogactwo życia, wytwarzające bohaterów, piękne kobiety, kwiaty, owoce, zwierzęta, których istnienie jest bardzo krótkie, ale dla których walka o byt nie jest jedyną treścią istnienia.

Opowiadania Astiné wlewały w żyły młodego człowieka jakiś pierwiastek trujący, zasadę nową, mającą spacyć jego normalny pogląd na życie.

Duszę jego nurtowało odtąd nietylko pożądanie rozkoszy urojonych, niesmak do życia codziennego, ale zbudziło się w niej jeszcze jakieś uczucie nowe, wpływające ujemnie na całe usposobienie.

Nieufność uczniaka, maltretowanego w liceum, egzaltacya siedemnastoletniego młodzieńca, któremu z ponad książek szkolnych zabłysła gwiazda poezyi, marzenia o życiu i śmierci w pierwszą noc letnią, kiedy dusza jego zerwała pęta niewoli, niepokoje metafizyczne, zaszczerpione słowami uwielbianego Bouteillera—wszystkie te pierwiastki i wiele innych jeszcze miały wewnętrzną istotą Franciszka. Usposobienie marzycielskie odziedziczył po matce. Opowiadania Astiné oderwały go od drobiazgów życia codziennego, otaczając atmosferą zupełnie odmienną, która przyśpieszyła skryształizowanie jego marzeń.

W pierwszej chwili mógł przypuszczać wzrost siły wewnętrznej. Uspiona energia zawrzała w jego żyłach. Ale słowa Astiné przenikały do tego organizmu niezrównoważonego, jak pierwiastki obce i niebezpieczne.

Sturel, pod wpływem denerwującego oddziaływania Azyi, wyobraził sobie, że się jego horyzont myślowy rozszerzył. Ale było to tylko złudzenie! Te wielkie wstrząśnienia nie stanowiły nadwyżki duchowej: nieokreślone uczucia, które go pochłonięły obecnie, a których zarodki istniały już może w jego duszy oddawna, odwróciły go od rzeczywistości, a przynajmniej od poczucia interesów życia francuskiego.

Gdy minęło pierwsze upojenie zmysłowe, odnalazł w swej duszy jakiś pierwiastek obcy, jakby kwintesencję marzeń melancholijnych, jakby osad śmierci. Nic dziwnego, że powiew z ojczyzny Złotego Runa wstrząsnął do głębi romantyczną duszą młodzieńca szlachetnego, który wzrastał w ciasnych

murach szkolnych, a którego siły nie znalazły ujścia naturalnego w zapasach życiowych lub miłości. Słowiki z wylupionemi oczami śpiewają na wiosnę z największym liryzmem... Starożytne miasto Wschodu, ukryte w cieniu kwietnych sadów, oparte o cmentarz, stało się odtąd ojczyzną jego snów, krainą zaczarowanych skarbów. Z odwiecznych pustyń Wschodu dochodziły go dźwięczne tony poezyj, odczytywanych niegdyś w kolegium podczas nocy bezsennych, tony, przypominające tęskny śpiew muezzina o zmroku.

Zatruta czara, podana ręką pięknej kobiety, działała tem silniej, że dusza Franciszka mało miała odporności. Jego dziedziczne siły życiowe osłabiało systematycznie.

Byłby mógł wprawdzie stawić czoło niebezpieczeństwu, gdyby się od dziecka wychowywał na gruncie ojczystym, wśród odpowiednich sobie właściwości psychicznych. Ale wykształcenie uniwersyteckie wprowadziło go na poziom czystego rozumu. Umysł silny, oparty na podstawach pewnych, może wprawdzie wznieść się po za obręb swej ciasnej ojczyzny, środowiska i rasy, ogarniając cywilizację obcą, nigdy jednak nie może złączyć w jedną całość pierwiastków najzupełniej odmiennych. Dziecko Neufchateau, prowincyi wojskowej, gdzie panuje karność surowa, mogłoby przyswoić helenizm, ale nie może oddychać bezkarnie atmosferą rozsypanej w gruzy cywilizacji azyatyckiej, ani upajać się wybujałemi marzeniami Wschodu.

Pewnego razu, gdy pani Astiné zajrzała głębiej do duszy Franciszka, on się zamyślił długo.

— A — rzekła tonem pieścizotliwym, ale z lekkim odcieniem wzgardy — zdaje mi się, że odgrywam rolę mentorki.

Zbladł na to słowo.

Ludzie silni są zawsze samotni. Piękna ko-

bieta, rzucająca w objęcia młodego Lotaryńczyka całą rozkosz Wschodu, nie znalazła u jego boku zachwyków, które dawała sama. Gwałtowność jej napełniała go przerażeniem. Odurzony łaskami królowej, uciekał czempredzej by zdala od niej napawać się jej darami. Te same właściwości cudzoziemki, które go zachwyciły, raniły go jednocześnie.

Od pani Aravian wziął wszystko, czem go obdarzyć mogła i zwrócił się do Teresy. Pociągała go urocza twarzyczka i wdzięczna postać młodej dziewczyny. Przytem uśmiechała mu się myśl, że zdoła nad nią zapanować. Mniejsza o to, że doświadczenie i potęga namiętności Ormianki były czemś więcej niezwykłym, niż wdzięk młodego zwierzątka, cechujący chwiejną, niewyrobiałą dziewczynę. Młody mężczyzna lubi zawsze imponować.

Co czwartek nie odstępuje ani na chwilę panny Alison. Lubie uniesienie i zapal, tak często dźwięczący w jej głosie, ruchy tchnące urokiem młodości. Ona również chce kształcić tego młodzieńca, który bynajmniej na współczucie nie zasługuje. Teresa walczy bronią swego wieku, świeżemi ustami, jasnym spojrzeniem i pewną zaciętością, właściwą istotom tak młodym jak ona.

— Mogłabym panu wybaczyć wszystkich przyjaciół, chociaż nie umięją się wcale ubierać—mówiła, uśmiechając się na wspomnienie Suret-Lefort'a i Roemerspachera, których widziała kiedyś; są to mężczyźni, którzy mogą mieć pewną wartość, ale ta Ormianka, Turczynka, czy Persyanka?!..

— A pani zgodziłaby się usunąć pana do Nelles?—odciął się ze wzgardą, zaakcentowaną jeszcze silniej.

Baron de Nelles jest jednym z gości, uczęszczających stale na czwartki pani Coulonvaux. Ma lat dwadzieścia osiem i służy w ministerjum spraw zagranicznych. Zachował wszystkie przesady ka-

stowe, wszystkie dzieciństwa nedorzeczne, nie dające się usprawiedliwić poszanowaniem tradycji, a które wybacza się łatwo tylko wesołym i uroczym kobietom światowym. Ten duży mężczyzna z głową podobną do stangreta Anglika, z uśmiechem zadowolenia na bezmyślnej twarzy, odznacza się dziwną służalczością względem wszystkiego, co ma jakieś znaczenie w społeczeństwie. Zartuje chętnie z kobiet, należących do obozu republikańskiego, ale zachwyca się głęboko Juliuszem Ferry. Zamało ma inteligencyi, ażeby zrozumieć, że interes nie jest jedynym motorem świata, że często ustąpić musi miejsca namiętnościom silnym, a nawet uczuciom szlachetnym.

Chcąc podrażnić Franciszka młoda dziewczyna odpowiada:

— Przeciwnie, szukam właśnie dwóch innych takich, jak baron de Nelles!... W Nicei, w Karlsbadzie miałam zawsze trzech adjutantów!... Pan nie jeździ konno, pan się nudzi w teatrze! Jedyną zaletą takich ludzi, jak baron, jest ich przystojność. Przypuszczam, że pan nie jest tak śmieszny, żeby być zazdrosnym o podobnych figurantów.

A kiedy jej zaczął tłumaczyć, dlaczego pan de Nelles tak bardzo mu się niepodoba, dodała:

— Chciałabym, żeby się panowie z sobą zaprzyjaźnili. On jest prawie tak inteligentny, jak my...

W gruncie rzeczy inteligencya pana de Nelles objawiała się w tem tylko, że przy każdej sposobności obsypywał Teresę komplementami. Raziły one gust prowincjonalny i subtelność Franciszka, ale zachwycały Teresę, dodawały jej więcej ożywienia, blasku i pociągającej lekkomyślności. Osiemnastoletnia dziewczyna popisuje się dzwicznym głosem, uśmiechem promiennym, nieznaną życiu i pewnością siebie, podobnie jak paw rozpostar-

tym ogonem, mieniającym się barwnie w słońcu wiosennem.

Okoliczności ułatwiły Franciszkowi jego postępowanie.

Po trzech tygodniach pani Astiné, jak zamierzała pierwotnie, opuściła willę i nie ukazała się w niej nigdy więcej. Ziewała w salonie pani Coulonvaux, ponieważ na Kaukazie bywała w towarzystwach więcej barwnych, gdzie błyszczeli księżęta gruzińscy, zgrabni i piękni głupcy, hojni, chociaż zrujnowani, obsypujący kobiety podarkami. Sturel kilka razy na tydzień odwiedzał panią Astiné i zawsze z równą ciekawością przysłuchiwał się jej opowiadaniom.

Unikał starannie wszelkiej sposobności, przy którejby Teresa mogła usłyszeć, albo wymówić imię Ormianki. Tak bardzo pragnął, ażeby wszystkie istoty, usposobione dla niego przyjaźnie, żyły z sobą w zgodzie! Marzenie karmi się urojeniem! Można jednak wybaczyć, gdy ktoś w dwudziestym roku życia wierzy w dobrą wiarę kobiet, które mu przysięgają, że tylko dobro jego mają na celu.

ROZDZIAŁ IV.

Proletaryat maturzystów.

Przez cały rok 1883 młodzi Lotaryńczycy chciwie przyswajali sobie, odpowiednio do wrodzonego usposobienia, cywilizację, poglądy i obyczaje, wśród których się znaleźli.

Dzielnica Łacińska ze swem nagromadzeniem szkół, niby formacja napływowa wielkiej rzeki umarłych, tworzy jakby Ararat, górę zbawienia, gdzie

naród skupia się wewnątrznie i stawia czoło najazdowi. Ojczyzna potrzebuje takiego punktu stałego: to jej sumienie, zdolne do samoanalizy i rozwoju, bez zatracania przytem tradycyi lub jej poczucia.

Na tej wyniosłości pięknie się przedstawia Panteon, próba kultu należnego ceniom wielkich ludzi, istotny punkt zbieżny wszystkich składników narodowości, bo mównica, cmentarz i geniusze są jedynie rzeczywistą treścią ojczyzny.

Dlaczegoż więc wrażliwy Sturel, pracowity Roemerspacher, Saint-Phlin, Suret-Lefort, Racadot, Renaudin i Mouchefrin, którzy nie odczuli Lotaryngii w Neufchâteau, Nomény, Varennes, na pochyłości wzgórze Panteonu pozostają jeszcze obcymi dla Francyi?

Liceum w Nancy przecięło ich przyrodzone węzły społeczne; uniwersytet paryzki nie zdołał stworzyć nowych spoidel, najwłaściwszych pojęciom wrodzonym, czyli — mówiąc dokładniej — skłonnościom organicznym. Oddychali atmosferą, złożoną wszystkich ludów i ras. Od rozgłośnych profesorów i z olbrzymich bibliotek brali mieszaninę przeróżnych twierdzeń i zaprzeczeń. Lecz kto im zdoła wskazać metodę tworzenia więcej, niż uczonych — ludzi potrzebnych Francyi?

Każdy z nich nosi w sobie duszę młodego Lotaryńczyka i obecnie jest tylko jednostką samotną.

Uznają odpowiedzialność tylko względem siebie samych; pocóżby mieli pracować dla społeczeństwa francuskiego, którego nie znają, lub dla grup, z którymi ich nie łączy żaden interes? Określeni i wyraźni tylko dzięki swej wielkiej młodości i tej poezyi, którą zbudził w ich duszach Bouteiller, błą-

dzą po dzielnicy Łacińskiej, wśród jej jarmarku umysłowego, bez żadnej nici przewodniej, wolni jak zwierzęta leśne.

Wolność! Ona jest ich zbawicielką jedyną.

Alboż to się wcale nie da naprawić, że w dwudziestym roku życia wyrwani zostali z gruntu ojczystego?

Zorientują się niebawem i, dzięki swej krzepkości, przetrwają przesilenie. Instynkt społeczny popycha ich do szukania swej roli w życiu ogólnem. Po szeregu niepewnych, pierwszych kroków, znajdą wreszcie stanowisko, odpowiadające indywidualnościom, jakie przedstawiali po zerwaniu z duchem lotaryńskim. Na nieszczęście, dzielnica, zamieszкана przez młodzież, nie stanowi miasta...

W sztucznem życiu szkolnem młodzieńcy, spotykając się jedynie z innymi młodzieńcami, nie osiągną nawet tak drobnego rezultatu, jakim jest dobór duchowy: dzielnica Łacińska rozdrabnia, rozpyla...

Istotnie, chyba tylko umysły niezdolne do uchwycenia skojarzeń życiowych mogłyby nie dojrzeć złych warunków, w których się porusza i osłabia młodzież francuska, kwiat narodu, nie mogąc się przeistoczyć w obywateli. Ale jak intensywnie natomiast wyzyskuje okoliczności sprzyjające!

Z jaką energią młodzi Lotaryńczycy wchłaniają w siebie zatruwające lub pożywne pierwiastki, których im dostarcza środowisko!

Spojrzyjmy na dzikiego Sturela, jak umiał skorzystać ze swego pensjonatu i z bibliotek, aby się wznieść na wyższy szczebel życia! Mniej korzysta z wykładów; opracowuje znośnie referat prawniczy, lecz nie słucha systematycznie żadnego przedmiotu.

Saint-Phlin, nie krępując się określonym ter-

minem, a więc niezbyt poważnie przygotowuje tezę na stopień literacki. Z powodu stosunków rodzinnych wszedł w porozumienie z kółkami robotniczymi i mawiał nieraz do siebie: „Urodzenie i majątek dają mi siłę, którą taki Mouchefrin lub Racadot mogliby zdobyć z trudnością. Warstwy wyższe mają przed sobą zadanie społeczne: muszą spełniać czynność opiekuńczą, poświęcić się dobru ogólnemu, a przedewszystkiem interesom ludu.” Wobec takich zapatrywań nie dogadzał mu wykład prawa, podawany w postaci formuł abstrakcyjnych, oderwanych od czasu, przyczyn i miejsca: odczuwał potrzebę traktowania pewnych pojęć jako czegoś żywego, co się rodzi i rozwija pod wpływem wewnętrznych i zewnętrznych czynników. Zrażała go metoda czysto dyalektyczna, nawet nie zabarwiona filozofią. Tęsknił do wykładu prawa na podstawach historycznych, gdzieby zamiast przedstawiania kodeksu, jako zbioru nieodwołalnych paragrafów, starano się badać początki instytucyj społecznych, zrozumieć ich żywotność, przewidzieć przyszłość i uczynić w ten sposób naukę prawa częścią socjologii.

Podobna krytyka niema wartości w oczach Suret-Leforta, który uważa swe studia prawnicze za praktykę sądową, a egzaminy za uwolnienie się ze służby; poddaje się więc temu procederowi z rozsądnym spokojem, bez niepotrzebnych i nudnych dyskusyj. Już w pierwszym tygodniu pobytu w Paryżu odkrył *konferencyę Molé*, a w r. 1883 należał na dobre do wszystkich głośniejszych intryg wyborczych.

Najpoważniej pracuje Roemerspacher. Pomiń, że pilnie słuchał medycyny, znalazł czas na systematyczne czytanie, czytał zaś krytycznie, streszczając i porządkując w umyśle nabytą wiedzę.

Renaudin trwał w rzemiośle reporterskiem;

umiał patrzeć i słuchać; nawet w rozmowach z kolegami zastosowywał z pożytkiem zobopólnym badawczość i refleksję.

Co się tyczy grubego Racadota, który jest dependentem w biurze rejenta, i małego Mouchefrina, który się tytułuje bezprawnie „studentem medycyny,” obaj obracają się przeważnie w towarzystwie drugorzędnych literacików i dziewcząt upadłych. Nieszczególnie korzystają ze swobody, będącej jedynym celem ich marzeń i jedynym środkiem zbawienia!...

Ale cóż ma począć Mouchefrin, mając zaledwie 30 franków na dwa miesiące? Byłby prawdziwym bohaterem, gdyby się prowadził uczciwie. Miał nadzieję utrzymywać się z lekcyj. Z początku hulał trochę na wspólkę z Racadotem; pod koniec miesiąca, gdy fundusze się wyczerpały i gdy trzeba było opłacić komorne, zaczął się starać o lekcye...

Racadot nie lękał się pracy. Po całodziennym pisanie w biurze gotów był po zniżonej cenie spieniężyć coś ze swej łaciny, greki, historii lub geografii. Obaj więc udali się do Bouteillera.

W małej salce jadalnej, do której ich wprowadziła służąca, zastali już cztery osoby oczekujące. Profesor przestrzegał ściśle kolei, sam dawał znak gościom i wprowadzał każdego do gabinetu. Za pierwszym razem, gdy otworzył drzwi, młodzieńcy powstali; smutno im się zrobiło, nie otrzymawszy nawet spojrzenia mistrza. Zauważyli ten sam, dobrze znany surdut, bladość twarzy i charakterystyczne odrzucanie głowy. Wreszcie przyszła kolej i na nich. Bouteiller podał każdemu rękę, a gdy usiedli, zapytał z prostotą:

— Panie Racadot, panie Mouchefrin, w czym mogę być wam użytecznym?

W tej samej chwili służąca postawiła przed

nim na tacy filiżankę kawy, dwa jaja i szklanę wody.

— Pozwólcie, że słuchając was, spożyję śniadanie.

Mouchefrin zaczął mówić o kłopotliwym położeniu swoim i swego kolegi; wyznał obawy i niepokój o przyszłość; wreszcie prosił o pomoc w znalezieniu lekcji prywatnych.

— Panowie—odrzekł Bouteiller—sumienie nie pozwala mi przychylić się do waszej prośby. Wszelkie wskazówki, dane przezemnie uczniom co do wyboru korepetytora, byłyby pewnym naciskiem. Żałuję bardzo.

Nie szczędził im słów zachęty, sam za nich odpowiadał, wreszcie powstał:

— Panowie — zakończył — gdybyście zechcieli kiedykolwiek podzielić ze mną śniadanie, znajdziecie tu zawsze przyjaciela.

Mouchefrin i Racadot spojrzeli na dwa małe jaja, obrzucili wzrokiem ciepły i zaciszny gabinet, pełen pism, książek i notatek, następnie wysoką, poważną i szlachetną postać profesora. Chcieli mu powiedzieć, że będą jego popychadłami, że potrafią służyć wiernie i z oddaniem... Ale pojęli niebawem, że ten pewny siebie, pochłonięty różnorodną pracą i zafrasowany człowiek, musi już mieć wyręczycieli i protegowanych. Przejrzeli teraz dokładnie, że są dla niego niczem. Wyszli więc, kłaniając się bardzo niezręcznie, przepraszając i dziękując pokornie.

Rodzice i uczniowie, nie bez słuszności zresztą, nie mając zaufania do nauczycieli nieznanych, wolą takiego, który uczy w domu przyjaciela, lub jest polecony przez odźwiernego ich domu.

Racadot i Mouchefrin udali się do biur stręczycielskich. W różnych ponurych oficynach oczekiwali nieraz godzinami całemi w długie wieczoro-

ry zimowe, tak smutne dla młodych i osamotnionych biedaków. Podstarzały jegomość zapisywał nazwisko, godność i kwalifikacye klienta, poczem oświadczał, że nie ma nic do zaoferowania, że zwracają się do niego przeważnie osoby, poszukujące wychowawców lub nauczycieli do wszystkiego, do małych pensyjek na prowincyi.

Młodzieńcy udawali się do innego biura, wracali raz i drugi, powtarzając sobie, że powodzenie należy do wytrwałych... Wytrwałym, istotnie, właściciel biura wskaże jakiś odległy adres, ale tam dowiedzą się, że wakans już zajęty. W niektórych kantorach przyjmowano ich z otwartymi rękami:

— Ile lat pan sobie liczy? Dwadzieścia... Ależ to doskonale... Maturzysta!... Student prawa!... medycyny!... Jakże w porę pan przychodzi!...

To zdumiewające... Winszują mu pomyślnego zdarzenia. Za uiszczeniem dwudziestu franków wpisowego wskażą adres... Na zakończenie jakiś wspólnik, oczywiście, przyjmuje go i z żalem oświadcza, że przed chwilą właśnie zawarł umowę z nauczycielem.

Racadot—przezorniejszy — prędko dał za wygranę; trzymał się swego rejenta i szukał innych źródeł dochodu. Mouchefrin nie mógł zapłacić komornego za drugi miesiąc i wyprowadził się cichaczem — cóż miał czynić!—do małego pokoiku przy ulicy Cujas. Znalazł nakoniec nędzną posadę profesora w szkole Batignolskiej. Po powrocie do domu, zmęczony kładł się na łóżko i myślał tylko o kartoflach, które sam sobie musiał ugotować.

Po skończonym kwartale, otrzymawszy należność zaledwie za miesiąc jeden, poprosił o resztę. Spotkał się z odmową i musiał opuścić posadę. I znowu trzeba było zmykać ukradkiem z pokoiku przy ulicy Cujas na ulicę Ecole de Médecine. Za-

czał dawać lekcye cudzoziemcom po dwadzieścia sous za godzinę. Ale uczniowie nie należeli do pilnych. Uciekając z mieszkania do mieszkania, porozpraszał resztki bielizny i ubrania.

Nieszczęśliwy chłopak coraz częściej zaczął odwiedzać kolegów, zastając ich nieraz przy śniadaniu, skarżył się, że już od dwu dni nic nie jadł i nie palił, że nie ma żadnej wiadomości od ojca, ani pieniędzy na opłacenie wpisu. Racadot, chociaż mniej pogrążony w nędzy, musiał także zaprzestać studyów. Nie było innego wyjścia. Pomimo to, obaj nie chcą usłuchać nakazujących ostrzeżeń losu i uparcie trzymają się swej godności akademików.

W ósmym dziesiątku dziewiętnastego wieku było 750-ciu licencyatów na wydziale literatury i nauk ścisłych, oczekujących na posady w szkołach; dyplom swój uważają za rewers wydany przez państwo. A ileż miejsc jest do rozdania? Sześć na rok. Jakież to wymowne! Racadot i Mouchefrin używają całej swej energii, aby prowadzić dalej studia i czują się niesłychanie skrzywdzeni, nie mogąc, pomimo ostatecznych wysiłków, powiększyć grona tych kandydatów na urojone posady. Uparcie wyciągają ręce po stopnie i tytuły akademickie, które im nie dadzą nic. Dzięki temu wszystkiemu biorą udział w tworzeniu się warstwy społecznej. Jest nią zupełnie odrębna klasa, która zaczęła powstawać w 1882—1883 latach: proletaryat maturzystów.

Racadot i Mouchefrin należą nawet do jego lewicy, czyli do odłamu najbardziej podrażnionych i nieszczęśliwych.

Jak mieszkańcy kurnika znęcają się nad chorem kurczęciem, aby je dobić lub wyrzucić, tak każda grupa ludzka dąży do pozbycia się najslab-

szych członków. Nie znaczy to, żeby Romerspacher i Sturel chcieli odepchnąć Racadota i Mouchefrina przez odrazę do ich nędzy. Poprosto warunki życia uniwersyteckiego muszą zmiażdżyć biedaków.

Ale Racadot i Mouchefrin bronią się rozpaczliwie. Oddzieleni od swych miejsc rodzimych i od całego społeczeństwa, po prawo do życia odwołują się do swobody, która jest jednocześnie przyczyną ich powolnego konania. Zbłąkani w pustyni paryzkiej, jak Robinson na wyspie, liczą jedynie na swą zręczność. Gdybyż posiadali zmysł praktyczny Robinsona! Komórka macierzysta przestała im dostarczać pokarmu, muszą więc znaleźć sposób wyżywienia się kosztem swego środowiska.

Jeżeli ono jest zatrute, źle wyjdą na tym!

W owym czasie główny interes życia dzielnicy Łacińskiej stanowiły wyścigi i piwiarnie z usługą kobiecą.

Gruby Racadot, narażając się na utratę swej posady u reagenta, co niedzielę, a niekiedy i w dnie powszednie wdrapywał się na omnibus z rogu ulicy Soufflet. Za pomocą Leontyny zbierał od dziewcząt trochę grosza i grywał w totalizatora. Uda wało mu się nieźle. Rozporządzając większym kapitałem, mógłby robić lepsze interesy. Na polu pracy biurowej nie widział przed sobą żadnej przyszłości. Zaczął się uparcie domagać zapisu i coraz częściej pisywał do ojca. Stary Racadot przeczuwał, że trzeba się będzie rozstać z 30,000 franków, lecz nie chciało mu się ryzykować ich na Paryż. Namawiał syna do przyspieszenia powrotu; rejent miejscowy poszukuje uzdolnionego sekretarza i ofiarowuje 1,800 franków rocznie. Ale Honoryusz nie przestaje twierdzić, że szczęście jest wyrobem paryzkim i że nie należy rachować na usługę lo-

su w okręgu Toul albo Pont-à Mousson. Probował kusić ojca.

Opowiadał mu o nieryzykownych i łatwych zyskach, jakie przynosi pośredniczenie w kupnie i sprzedaży papierów giełdowych.

— Pozwól mi samemu — pisał — robić obrót memi 30,000 franków. Gdybym miał pieniądze i dzięki temu więcej powagi i znaczenia, mógłbym otrzymać miejsce trzeciego dependenta w biurze. Wobec powiększonej w ten sposób płacy i zysków z gry na giełdzie, mogę żyć dobrze, nie naruszając kapitału. W razie potrzeby mógłbym ci nawet przyjść z pomocą.

Stokroć więcej niż hipodromy oddziaływały na dojrzewanie młodych Lotaryńczyków piwiarnie, ogromnie podówczas uczęszczane.

Wszystkie odcienia wolnej miłości miały przytułek w tych knajpach olbrzymich, mieszczących się przy ulicach Ecole, Monsieur le Prince, Vaugirard. Powodzenie łatwo się tłómaczy. Większa część studentów to mieszkańcy ciasnych, ciemnych i źle ogrzanych pokoików; zresztą, właściwy młodości wstręt do przebywania w domu sprawia, że poszukując ruchu i koleżeństwa, tłoczą się po kawiarniach.

Uczęszczają tam również niektórzy subtelni artyści. Na gruncie kawiarni przekształcała się prozodya francuska, a wzruszające nas dzisiaj „okrzyki duszy” stosowały się do dziewcząt posługujących.

Przyciśnięty ubóstwem, Racadot ujrzał się zmuszonym umieścić w jednym z podobnych zakładów swoją Leontynę. Bardzo brzydka, z trudnością została przyjęta do najpodrzedniejszej piwiarni, gdzie kręciły się pokorne dziewczęta, zmykają-

ce od cięższych obowiązków kucharki po domach prywatnych.

Na przekór ogólnie krążącej legendzie, pierwsze lata młodości, szczególnie po miastach, są brzydkie. Człowiek nie zdołał jeszcze urządzić sobie życia takiego, na jakie zasługuje; krepują go rozrywki i towarzystwa, których sam nie wybierał. Nieprędko dopiero otoczy się jak szczęśliwy mięczak—skorupą własną.

Młodemu chłopakowi najludniejsze miasto wydaje się pustem; nie wie, gdzie i jak zaspokoić piękne porywy swych zmysłów i uczuć. Świat i towarzystwo nie dostarcza żadnej pomocy młodzieńcom, którzy, jak naprzykład Roemerspacher, pomimo niepospolitej inteligencji, odznaczają się ciężkimi formami, przywiezionymi z prowincyi, i nieumiejętnością prowadzenia rozmowy. Znalazłszy się w salonie myślą raczej o swym układzie, niż o korzyśtanu z towarzystwa. Zresztą chociażby się pozbyli pierwszych wątpliwości, wiek ich nie budzi zaufania u kobiet.

Roemerspacher, Suret-Lefort i Saint-Phlin, wyjąwszy nadzwyczajne i nieoczekiwane okazy, musieli się zadowolnić najbardziej gminnymi kochankami, względem których popełnili w końcu zawsze jakąś podłostkę. I dla nich, jak dla większości dorastających chłopaków, koniecznością niemal było spędzić kilka godzin tygodniowo w towarzystwie kobiet. Wobec skromnych środków materyalnych zmuszeni byli porzestać na ordynarnym flircie knajpowym.

Suret-Lefort, który dążył do tego, ażeby się stać jednym z przywódców ludowych, pogardał kobietami, spotykanymi w kawiarniach, a raczej nie brał w rachubę ich istnienia. Przechodząc przez te niziny społecznej niedoli, nie widział nic dokoła

siebie. Namiętność do knowań politycznych ogarnęła go szybko, przybierając cechy i rozmiary manii. 21-letni chłopak znał geografję wyborczą jak stary kandydat, a te dziewczęta, które traktował z suchą grzecznością, niecierpliwiły go, jak służące zbyt poufałe.

Dla Racodota i Mouchefrina natomiast knajpa jest pałacem upragnionym i jedynym. Działa tu instynkt tonących, co unoszeni falami oceanu społecznego, szukają ocalenia, czepiając się jedni drugich, a także instynkt wygnańców, poszukujących się wzajemnie, aby obozować po bratersku. Dla nich knajpa nie stanowi—jak dla młodzieży szczęśliwej—miejsca godnego pogardy; jest raczej przytułkiem, do którego się wślizgują, aby znaleźć współczucie kobiety.

Racadot i Mouchefrin cierpią głód i nędzę, kaleczą i upadlają swoją młodość nie w imię celów podniosłych, lecz jedynie w nadziei zdobycia jakichkolwiek środków materyalnych. Dzikie zwierzęta na swobodzie — oto proletaryusze uniwersytetu.

Po roku życia paryzkiego Racadot i Mouchefrin nie wynieśli ze swej nędzy, a więc musieli na niej stracić. Należą teraz nie do demokracji wznoszącej się na wyżyny, lecz do arystokracji upadającej.

ROZDZIAŁ V.

Traf nieunikniony.

Niezależni materyalnie Roemerspacher i Saint-Phlin korzystali z najszlachetniejszej ze swobód:

mogli poszukiwać najwłaściwszego dla siebie pokarmu umysłowego. Oddali się namiętnie badaniu zjawisk duchowych, a przedewszystkiem sfery uczuć i stanów świadomości; roztrząsali sposoby służenia z pożytkiem wielkim celom ludzkości.

Saint-Phlin, w którym zlały się wpływy starego księstwa Baru i ekonomisty Le Playa, sądził, że należałoby wiele zapożyczyć z obyczajów przeszłości. Roemerspacher po za medycyną studyował poważnie historję; jego dzielność duchowa i fizyczna rozbudziła w nim pociąg do prądów nowoczesnych. Nie zgadzali się w swych wnioskach, lecz jak szermierze, którzy mają zwyczaj odbywać ćwiczenia wspólne, oddawali sobie wzajemne uznanie. W dysputach, które ogromnie lubili, posługiwali się jak wolnomularze językiem specjalnym, co prowadziło ich często do podejrzwania innych o brak inteligencji, mianowicie wtedy, gdy sami nie zdołali czegoś pojąć lub byli niezrozumianymi przez słuchaczy. U kresu rozprawy spostrzegali, że stworzeni do wyprowadzania wniosków odmiennych, zgadzali się pod względem metody. Po ukończeniu liceum nie tracili czasu; drobiazgowy i nazbyt dokładny Saint-Phlin, który niegdyś był przedmiotem żartów i śmiechu, obecnie zmuszał do szacunku. Pozbawieni zdolności do głębszej analizy, nie mogąc dostatecznie jasno uchwycić zmian, jakie rządy Gambetty zaprowadziły w układzie stosunków społecznych, młodzi ludzie odczuwali nieświadomie, iż Gambettyści zapewnili Francji trwałą rząd, administracyę, środki finansowe i ruch umysłowy.

— Cokolwiek uczynimy, aby wyzwolić swoją inteligencyę — mówił Roemerspacher — należy przyznać, że jesteśmy pogrążeni w gambettyzmie po uszy.

— Tak — odrzekł Saint-Phlin — Bouteiller

otworzył nam okna na Francję, wtedy „gdy olbrzymia bestya getulijska dźwigała na swym grzbiecie kosookiego wodza!...”

Poeta Leon Valade podniósł głowę i spojrział przychylnie na młodych ludzi, którzy wtręcali do rozmowy wyjątki z poezji klasycznej.

Dzięki hojnej uprzejmości Roemerspachera stół jego w kawiarni Woltera ściągał rozmaitych gości i stał się szczególnie interesującym. Nie widziano tam rysowników, malarzy ani rzeźbiarzy; przychodzili natomiast młodzi, jeszcze nie rozgłośni literaci i poeci, którzy, odbywając studia gimnazjalne w czasie, kiedy z programu szkolnego wyrzucono łacinę, przekształcili prozodę francuską.

Suret-Lefort często się do nich przyłączał. Jego pamięć niepospolita, dokładność i stanowczość wprawiały w podziw słuchaczy. Jakim tonem wyższości uniał powiedzieć, odstawiając szklanę piwa: „ja i moi przyjaciele polityczni sądzymy!...”

Do swych współwyznawców zaliczał Roemerspachera, ale lekcewał wywody filozoficzne, jakie ten wyborny historyk wyciągał ze sprawy Clemenceau, ulubionego przedmiotu dyskusji.

Renaudin, zawsze z monoklem, o ile się mógł wymknąć sprawom dziennikarskim, przynosił im plotki, krążące po korytarzach pałacu Bourbon i echa redakcyjne. Siła jego wyrażała się w tem, że podkopywał w kolegach poczucie szacunku dla władz; słabość jego polegała na tem, że odsłoniwszy jakąś intrygę, najczęściej sprzedaż wpływów i protekcji, co poniżało danego posła lub publicystę, kończył, przejęty uwielbieniem: „jaki on silny!”

W pierwszym roku Sturel rzadko przychodził do kawiarni Woltera. Wieczory spędzał zwykle u panny Alison, lub na ulicy Chateaubrianda u pani Astiné Aravian. Ormianka urządziła sobie sa-

lon na sposób wschodni: olbrzymie, niskie sofy bie-
 gły dokoła ściany; duży smyrneński dywan zaście-
 lał posadzkę; po środku stał piecyk przenośny,
 a nad nim zwieszał się z sufitu świecznik w złym
 guście, obciążony kryształami. W ścianach kazała
 wyźłobić małe nisze, nakształt perskich wnęków,
 gdzie umieszczała swe drobiazgi: naszyjniki z pereł
 i koralu, stare klejnoty, sztylety i paski wschodnie,
 wysadzone turkusami. Niektóre z tych przedmio-
 tów rozrzucone były po sofach: okrągłe żwiercia-
 delka, amulety w kształcie trójkąta, zawieszane na
 długich łańcuszkach, zasłony lekkie i różnobarwne.
 Wszędzie unosił się zapach jaśminu i róży, tak
 ulubiony na Wschodzie. Astiné wkładała niekiedy
 długą, spadającą do stóp, otwartą z przodu tunikę,
 z pod której ukazywała się powłoczysta suknia,
 ujęta w pasie srebrną taśmą, zdobną w rubiny.
 Ale przyjaciele zaczęli utrzymywać, że Paryż ma
 już dosyć turecczyny; zamknęła więc banalnie ory-
 ginalny salon, przyjmując poufalszych gości w ele-
 ganckim buduarze.

Sturel należał do rzędu tych ludzi, co w mia-
 rę swobodni, wykluczają ze swej wyobraźni nie-
 smaczne i płaskie zachcianki. Miał wstręt do niż-
 szych pokładów życia; takich zaś, co czerpią z tej
 sfery temat do aluzji i trywialnych żarcików, na-
 zywał poprostu nędznymi. Ta delikatność uczuć
 pozwalała mu obcować i przebywać z kobietami,
 jak z przyjaciółmi. Z natury skłonny do pewnej
 wyłączności i dumy, potęgował w sobie to usposo-
 bienie, ilekroć wspominał, że posiada uznanie dwu
 prawdziwie subtelnych kobiet. Roemerspacher, nie
 będąc właściwie trywialnym, tolerował wszakże w za-
 chowaniu się kolegów takie szczegóły, z których
 każdy byłby dotknął niemile przyjaciela Teresy
 Alison i Astiné Aravian. To też ci młodzieńcy
 nie poszukiwali się wzajemnie.

W listopadzie 1883 roku, po wakacjach, w czasie których cierpiał bardzo, nie otrzymując żadnego listu od Astiné, Sturel kazał się wieźć wprost z dworca na ulicę Chateaubrianda i tam się dowiedział, że już od dwu miesięcy młoda kobieta zniknęła z mieszkania. Wszystkie sprzęty ulokowała u tapicera i udała się do Marsylii, nie zostawiając żadnych zleceń ani adresu. Tak jaskółka wędrowna unosi się w powietrze i ginie bez śladu. Sturel wpadł w nastrój melancholijny i coraz częściej zaczął się ukazywać przy stoliku Roemerspachera.

Racadot i Mouchefrin, pewni, że zawsze znajdą tutaj szklanekę kawy i cygaretki, byli także częstymi gośćmi uprzejmego kolegi; Mouchefrin przyznawał się zwykle z zupełną otwartością, że od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach. Jednocześnie pociągał ich Renaudin, imponując swemi 300 frankami pensyi i budząc pewne nadzieje, że może im dostarczy z czasem jakiej posady sekretarza lub reportera.

I jakże wściekłą uczuli nienawiść, w jaką rozpacz zostali pogrążeni ci nieszczęśliwi, gdy pewnego wieczora, nie patrząc nawet w ich stronę, Renaudin rzekł, zwracając się do Sturela, Roemerspachera i Saint-Phlina:

— Jedna z gazet, do których pisuję, mianowicie *Prawdziwa Rzeczpospolita*, gotowa jest przyjąć za współpracowników młodych, nieznanych, byleby zdolnych ludzi. Jestto ustępstwo uczynione wskutek mych usilnych nalegań!... Jeżeli więc którykolwiek z was trzech ma jakiś artykuł, nadający się do druku, ja się zajmę jego umieszczeniem.

Mówił to nawpół stojąc, z twarzą rozpromienioną, z zapartym oddechem, jak ktoś, co przynosi wieść szczęśliwą i nieoczekiwaną, albo raczej

oczekiwaną z najwyższą niecierpliwością. Już od czasów licealnych, świadomie, lub też nie zdając sobie z tego sprawy, wszyscy oni pragną pisywać do dzienników. Propozycja Renaudina, to traf szczęśliwy, przygotowany przez konieczność.

Renaudin pierwszy z pomiędzy tych ludzi, odezwanych od życia, znalazł swoją korporację i, naturalnie, dąży do jej wzmocnienia, przyłączając cenionych przez siebie przyjaciół.

Korporację tę pojmuje w duchu swego mistrza Portalisa, którego zawsze ma nadzieję ujrzeć na czele jakiegoś dziennika, lub nawet rządu i którego sam stał się wiernym odbiciem.

Aby zrozumieć, co może zdziałać urok człowieka uważanego za ideał, trzeba widzieć Renaudina, gdy przy stole Roemerspachera, po wyliczeniu różnych nikczemności, popełnionych przez osoby wybitne, zaczyna mówić o swym przewodniku i woła, poprawiając monokl:

— O! ten dopiero, moi drodzy!...

Wędrowny reporter, patrzący szyderczo z pola swego monokla, posiada przecież jakieś wrodzone cechy urzędnika, pełnego uszanowania i gotowości do usług; jak ci kupcy paryzcy, których zręczny pochlebca zawsze potrafi ująć i wyzyskać, tak on ciałem i duszą oddany jest temu, którego uważa za orła. Plan i środki działania, głoszone przez Portalisa, stały się dla nieufornowanego młodzieńca jedyną prawdą żywotną, życiem samem. Młody Alfred Renaudin to ryba z mętnych wód Portalisa.

Jego uwielbienie dla intryg na polu finansowym i ambicji, uprawianych przez byłego kierownika „Prawdy”, razi Roemerspachera, Sturela i Saint-Phlina; Portalisowi przeciwstawiają Bouteillera, „którego wartość uznać muszą wszyscy”, a który przecież jest człowiekiem moralnym. Wtedy Re-

naudin usiłuje mu dowieść, że profesor tak samo się zapatruje na stosunek celu do środków, jak wielki dziennikarz. Żartuje i protekcyjnie nazywa ich poetami, którzy nie zdołają nigdy zmierzyć głębi spraw i zabiegów politycznych. Nie śmie jednak przytoczyć argumentu, który dla umysłu reportera—rozumiejącego tylko fakty, nie ducha—jest rozstrzygającym, mianowicie, że Bouteiller doradzał mu szpiegowanie na korzyść Gambetty.

W długim szeregu polityków, którzy w bieżącym okresie naszego parlamentaryzmu stale zdążają ku więzieniu w Mazas, wyróżnia się swym pokrojem balzakowskim typ Portalisa: człowiek ten posiada piękne imię, majątek, temperament, wszystkie dary kolebki; a jednak nieubłagana logika losu prowadzi go w końcu do więzienia poprawczego, ruiny i niesławy. Szukając zawsze i wszędzie tylko pieniędzy, nie zna zabawy i użycia. Jedyną radością jest mierzenie się z opinią mocą argumentów i ścieranie się z ludźmi na gruncie interesów. To wieczny sługa ambicyi.

Renaudin, pełen zachwytu i uznania dla biegłego rycerza polityki, marzył o tem, ażeby się uczeplić kół jego maszyny i pędzić zawrotnym pędem, nie wiedząc nawet napewno, w jakim podąży ona kierunku.

Dzięki swej ruchliwości zdołał sobie zapewnić miejsce zręcznego donosiciela, a łatwość, z jaką się pozbywał skrupułów moralności, pozwalała w nim przewidzieć niepośledniego działacza. Średnio wykształcony, nie umiejąc uporządkować wielu pojęć, zbliżał się stale i chętnie do Roemerspachera, Sturela, Suret-Loforta i Saint-Phlina w nadziei, że potrafi rozwinąć i zastosować te zasoby, które oni pozostawiają odłogiem.

Właśnie nadarzyła się po temu sposobność.

W 1884 roku spekulacye finansowe osłabły i *Prawdziwa Rzeczpospolita*, jeden z dzienników, do których pisywał Renaudin, zapadła w półsen, to jest zapełniano go codziennie wyciągami z innych pism, dodając za ledwie jeden lub parę artykułów literackich, naturalnie nie opłacanych. Sprytny Renaudin przeczuł, że jego przyjaciele i młodzi literaci z ich otoczenia potrafiliby pokierować dziennikiem, dodać mu życia i barwy, a Portalis i Girard, ujęci bezpłatnem współpracownictwem, mogliby się zainteresować gazetą i, kto wie, może jemu nawet powierzyć częściowy jej kierunek.

Trudno się dziwić, że młodzieńcy z zapalem przyjęli propozycyę kolegi. W mieście rodzinnem Lotaryńczycy pełniliby niewątpliwie coś użytecznego: ofiarowanoby im mandat do rady miejskiej, urządziliby orkiestrę, mogliby się zając porządkami miejskiemi, sprawą wodociągów, lub podatków dodatkowych. Natomiast w sztucznem mieście, jakie przedstawia dzielnica Łacińska, ci organizatorzy z urodzenia zajmą się *konferencyą Molé*, jak Suret-Lefort, będą krytykowali katalogi bibliotek, jak Roemerspacher, lub utoną w marzeniach, jak Sturel. Wobec tego jedyną przystanią dla istot podobnych jest dziennikarstwo, bo da im złudzenie, że czemś kierują, coś głoszą i rozstrzygają.

Roemerspacher zaraz zaczął szkicować artykuł o *Początkach Francyi współczesnej* Tainea. Zachwył pracowitego chłopaka dla tego filozofa dorównywa swem natężeniem uczuciu, jakie wynosi Renaudin z każdego echa rozmowy z Portalisem. Z takim samym zapalem, jak niegdyś uczniowie Platona, Roemerspacher i Renaudin, nieświadomi życia tęsknią za światłym mistrzem.

— Wybornie! — zawołał Renaudin — czy

uwierzysz, że ja, nie rozumiejąc ani słowa z tej literatury, jaką się zajmują twoi przyjaciele poeci, czytałem i pojąłem dzieła Tainea. One usprawiedliwiły w mych oczach pogardę dla naszego układu społecznego, pogardę, do której innemi drogami dochodzą moi koledzy ze zgromadzeń politycznych.

Roemerspacher nie podniósł tego zdania, jakkolwiek uderzyło go ono silnie.

A Renaudin dodał:

— Gdybym nie był tylko nędznym dziennikarzem, oto dla jakich książek chciałbym gromadzić materiały...

Poczem zaczął udzielać Roemerspacherowi niektórych wskazówek.

Wszyscy byli rozradowani i pokładali wielkie nadzieje w Roemerspacherze. A więc nareszcie jeden z nich, i to najukochańszy, idzie spróbować sił, których nagromadzenie każdy z nich odczuwał w sobie: droga stała otworem dla wszystkich.

— Ile może kosztować dziennik?—zapytał Racadot jakimś dziwnie brzmiącym głosem.

— Cena trzy sous przy redakcyi umiejętnej—raczył odpowiedzieć Renaudin — może zapewnić powodzenie przedsiębiorstwu.

O jedenastej Racadot i Mouchefrin powstali, nie chcąc słyseć końca rozmowy, która ich przyprowadzała o zbyt wielkie cierpienie.

Na dworze padał deszcz.

— Mam parasol Leontyny — rzekł Racadot— odprowadzę cię do domu, a potem wstąpię po nią do piwiarni.

Zaledwie uszli sto kroków, nic nie mówiąc do siebie, Mouchefrin potknął się w ciemności i znalazł się jedną nogą w kałuży.

Zaklął nieprzyzwoicie i dodał:

— Niech ich piorun trzaśnie!

Mieszkanie Mouchefrina mieściło się na pierwszym piętrze we wstrętnej ruderze przy ulicy Ś-go Jakuba. Była to ciemna izdebka z małym okienkiem na wązkiej, cuchnącej podwórko. Zawdzięczał ją na ten kwartał składce przyjaciół. Nigdy żadna posługaczka nie zajrzała z miotłą do tej dziury, zatrutej najczęściej rozkładem wstrętnych, małych trupków: Mouchefrin utrzymywał się z przygotowywania preparatów anatomicznych i opracowywał właśnie dwanaście wiewiórek, roztaczających dokoła woń nieznośną, przyprowadzającą o mdłości. Otwór komina i łóżko zarzucone były kośćmi.

— Gdybym w podobnie higienicznych warunkach przebywał w więzieniu, Renaudin zamieściłby protest w dziennikach, a Suret-Lefort byłby zorganizował petycję do Izby — rzekł Mouchefrin z gorączką.

Racadot w swej chłopskiej krzepkości nie brzydził się żadnym zajęciem.

— To mniejsza — mówił — że gryzonie twoje gniją; delikacik w izbie koszarowej, a doktor przy łóżku cholerycznego mają te same przyjemności. Najgorsza to, że przyszłość twoją czuć zgnilizną! Zostawszy nawet lekarzem bez protekcji i pieniędzy, umierałbyś z głodu tak samo, jak teraz, będąc studentem. Jedyne przynależność do uniwersytetu zapewnia utrzymanie na przyszłość; ale ponosić koszty przez lat jedenaście!... trudno... Gdybyś wypchał wiewiórki całej Francji, nie osiągniesz tego...

Mouchefrin, chociaż raz tylko opłacił wpis, nie chciał się zgodzić na to, że ukończył rachunki z uniwersytetem. Dla niego tytuł maturzysty i godność studenta medycyny zachowały wartość chociażby z tego względu, że w Villerupt i Longwy mogły mu dodać znaczenia i uroku.

— Czyż nie jestem wart Roemerspachera? — odpowiedział.

— A ja Sturela! lecz pamiętaj, żeśmy biedacy!

— Ileż ma Roemerspacher miesięcznie?

— Ze trzysta franków.

— Niechby mi dano połowę! Potrafiłbym żyć dwa razy lepiej niż on i mieć współczucie dla przyjaciół, umierających z głodu.

— Czyżbyś był tak głupim, żeby z nimi zrywać? — wykrzyknął Racadot. — Oni są naszym jedynym łącznikiem ze światem szczęśliwych.

— Nienawidzę ich! — zawołał Mouchefrin.

— Daj pokój — odparł Racadot — nienawiść jest zbytkiem sentymentalnym; lepiej byłoby zmusić ich do pokochania siebie. Prawie wszyscy znajdują daleko; nie dlatego, że mają zdolności wybitne, lecz że państwo pobiera z każdego pokolenia pewien procent ludzi, potrzebnych do spełniania jego funkcji. Będąc tak bezbronni, jak jesteśmy, powinniśmy podtrzymać z nimi stosunki, abyśmy, gdy zostaną deputowanymi, milionerami, ministrami, mogli od nich zażądać usługi, która w stosunku do ich ówczesnej pozycji będzie tą sztuką frankową, jaką ci rzucają teraz od czasu do czasu.

— W liceum otrzymywałem więcej nagród niż Saint-Phlin, ten głuptas — wyrażając się delikatnie — krzyknął z uniesieniem Mouchefrin. — W przeciągu trzech miesięcy zdałem egzamin na pierwszy stopień naukowy. Jestem pijakiem, to prawda, lecz potrafię zarobić kilka groszy, oni nie pracowali na siebie nigdy... I miałbym dążyć do zostania w przyszłości ich klientem lub sługą!?

— Przez całe osiem lat okładałem porządnie Sturela — rzekł z goryczą Racadot — ale byliśmy wtedy na stopie równości i szkolnego komunizmu. Dzi-

siaj natomiast ulegać musimy dzikim prawom porządku społecznego.

— Ach! z jaką radością wysadziłbym w powietrze cały Paryż! — wyrzekł Mouchefrin głosem przyciszonym, gdyż biedacy wierzą we wszechobecność policyi.

— Słaba głowa, zupełnie słaba głowa — odparł Racadot, pukając mu palcami po czaszce—nie zda się na taran do rozbijania pałaców pól Elizejskich! Zrobisz lepiej, jeżeli doszedłszy czterdziestki, postarasz się w nich zamieszkać razem z tamtymi.....

Mouchefrin wykrztusił wreszcie to, co mu najbardziej dolegało:

— A dzisiaj, czy pomyśleli o tem, aby nam wyrobić wstęp do *Prawdziwej Rzeczypospolitej*?

Spojrzeli po sobie. Bezsilna wściekłość i doznane upokorzenie popchnęły ich do uścisku bratniego.

— Antoni! — zawołał Racadot — należymy do rzędu tych niewygodnych, których się chętnie pozbywa... Nasza dyplomacya powinna polegać na związaniu się z tamtymi za pomocą wyświadczonej im usługi; krótko mówiąc, musimy ich zobowiązać.

— Zobowiązać? kogo? Roemerspachera, Sturela, Saint-Phlina, etc.?

— I Bouteillera — dodał Racadot, wzrokiem nakazując towarzyszowi energię.

— Na cóż mógłbym się im przydać ja, który mógłbym umrzeć z głodu, zanimby na to zwrócili uwagę.

— Chude psy powinny wcześniej wychodzić na polowanie niż tłuste... Uskarżasz się, że twoje wiewiórki są zwierzyną lichą, a ja ci powiadam, że innej nie wytropisz, jeżeli się nie weźmiesz do działania... O mój mały, nie chcesz pracy, połączonej

z cierpieniem, a to jest jeden ze sposobów prowadzących do używania życia później!... Wobec marnego rezultatu naszych trudów miejmy przynajmniej odwagę użycia śmiałych środków.

— Czy może już obmyśliłeś jaki plan?

— Pedanci! Móle ksiązkowe! — ciągnął dalej Racadot.—Potrzebują Tainea, aby im wskazał egoizm i marnotrawstwo układu społecznego!... A nas taki Roemerspacher nie widzi!... W podobnych chwilach, jak dzisiejsza, rozumiem doskonale tę nienawiść, jaką czułem do nich podczas bójek w szkole... Lecz sporów tego rodzaju nie załatwia się naczczo!.. A jeżeli dla otrzymania miejsca przy stole potrzebujemy ich pomocy, urządzmy się tak, aby sami ją nam ofiarowali.

— Oni nami gardzą!—zawołał Mouchefrin.

— Próżni arystokraci! Jabym potrafił oddać im usługi, któreby ich zmusiły do uznania i podziału ze mną!—wykrzyknął Racadot w przystępie dumnego uniesienia, sapiąc i kołysząc się jak niedźwiedź.

Mouchefrin czuł się poniżonym wyższością kolegi i rzucił mu sarkastycznie:

— Ty śniesz chyba, Racadot! Odkładasz do jutra, a więc zdradzasz...

Racadot chwycił go za rękę.

— Jesteśmy za biedni, aby iść drogą utartą, walczyć przy pomocy środków zwykłych; musimy skupić energię i iść na przebój! Gnębi cię brak środków materyalnych. A jednak iluż jest ludzi bogatych, zajmujących stanowiska wybitne, którzy w naszym wieku znosili nędzę i pogardę! w dziecię lat zaś później, dosyć jeszcze młodzi, aby używać życia, mieli już moc pieniędzy, kochanki z teatru, eleganckie kostyумы, mnóstwo znajomości i w restauracjach nie sprawdzali rachunku. I ciebie mo-

że czeka przyszłość podobna... Mógłbyś nawet zapewnić dobre utrzymanie swemu ojcu, jeżeli pozwoliś sobie na taki zbytek, jak miłość synowska, albo jeżeli zechcesz zaimponować mieszkańcom Vilerupt.

Słowa Racadota i akcent, z jakim je wymawiał, podziałały tak silnie na wyobraźnię Mouchefrina, że wzrok jego zapłonął ogniem; biedny, upośledzony karzeł podniósł głowę do góry i zdawał się rzucać wyzwanie losowi... Podobne uczucie ogarnąć musiało żołnierzy w r. 1809 na głos bohatera: „Żołnierze, jesteście głodni i prawie nadzy. Zaprowadzę was do najbogatszych krain świata!...

— Czy sądzisz — ciągnął dalej brutalnie — że Bouteiller jęczał w naszym wieku?... Przed upływem trzech miesięcy znajdę jakieś pole działania... Mówiłeś mi, że ojciec twój jest właścicielem domu, wartości czterdziestu dwóch tysięcy franków.

— Na którym ma dwadzieścia pięć tysięcy długu.

— W każdym razie odziedziczysz coś po ojcu.

— Mam kilku braci i siostry.

— Mylisz się, Antoni, słuchaj, co ci powiem: ty nie masz ani braci, ani sióstr, ani ojca; masz tylko mnie. Podniosę wkrótce spadek po matce, który ojciec mój zatrzymuje niesłusznie. Na przekór Roemerspacherowi, Saint-Phlinowi, Suret-Lefortowi, Renaudinowi i innym Racadot i Mouchefrin utrzymają się w Paryżu.

W tej chwili Mouchefrin czuł się zupełnie szczęśliwym. Przyzwyczajony do pijaństwa i złego odżywiania się, do różnych nieoczekiwanych przykrości na obcym gruncie paryzkim zatracił dużo cech dawnych, pewną część inteligencji i łagodności, którymi się odznaczał w Nancy. Teraz wszystkie nadzieje położył w Racadocie, wierzy, że

tylko przy jego pomocy zapewni sobie przyszłość... A przytem biedny chłopak cieszy się bardzo, że wreszcie słyszy od kogoś słowa serdeczne. Racadot powstał.

— Dochodzi druga, muszę pójść po Leontynę. Pożycz mi swych butów, moje są zupełnie bez podeszew. Odniosę jutro przed południem.

Teraz Mouchefrin zaczął żebrać: nie miał ani jednego sous na cały dzień jutrzejszy.

— Odnosząc buty dam ci pół franka. Ranną kawę dostaniesz u sąsiadki. W twoim wieku o to nietrudno.

Połehtany w swej próżności Mouchefrin zamilkł; siedząc jednak samotnie w małej, dusznej izdebce, westchnął ciężko.

— Ah! gdybym ja miał chociaż Leontynę!

Racadot tymczasem, w trochę przyciasnych butach przyjaciela, ale wesoły i rozpromieniony pędził do piwiarni, gdzie oczekiwała na niego Leontyna.

ROZDZIAŁ VI.

U grobu Napoleona.

5-go maja, o drugiej po południu, Roemerspacher, Sturel, Saint-Phlin i Racadot zeszli się u kramu gmachu Inwalidów. Młode słońce wiosenne nie zdołało jeszcze odświeżyć liści na drzewach; świecąc nad pustym placem, nieciło w powietrzu jakiś niepokój nużący, właściwy pierwszym dniom cieplejszym. Racadot, jak zawsze brudny i ponury, milczał; Roemerspacher i Saint-Phlin, jakkolwiek nie zdawali sobie dokładnie sprawy ze znaczenia i miej-

sca tej schadzki, zaniechali żartów ze Sturela, którego twarz bledsza niż zazwyczaj zdradzała silne podniecenie nerwowe. Na tle złoconej kraty, której styl z czasów Ludwika XVI, napuszony i uroczysty, jest tak dobitnym wyrazem monarchicznych i państwowych haseł epoki, dziwnie odbijała ta błędna gromadka młodzieńców, w wyszarzanych ubraniach na wątych barkach; a jednak głębszy psycholog i zdolny wódz, biegły w ocenianiu rzeczywistej wartości i zasługi, nie byłby lekcewał tych, którzy się tutaj zebrali w celu tak niezwykłym. Na koniec ukazał się Suret-Lefort, spieszący z ulicy Ś-go Dominika. Pomimo przykrótkich spodni, skórzanej teki pod pachą i widocznego zmęczenia, w każdym ruchu zdradzał tę pewność siebie, wyrazistość i stanowczość, które mu zapewniały przewagę na mównicy. Bynajmniej nie romantyczny, nie okazał jednak zdziwienia z powodu schadzki dzisiejszej. Widział w niej tylko myśl zrzeszenia się; lepiejby mu wprawdzie dogadzała forma konferencji, odbywających się co tydzień, lecz ostatecznie zgadzał się na to, co jest.

Pięciu młodzieńców skierowało się po przez długie dziedzińce ku majestatycznej kaplicy, gdzie złożono szczątki bohatera.

Zazwyczaj gość, wstępujący w te progi, szybko uświadamia sobie swą nicość, onieśmiela go odgłos własnych kroków, rozlegających się w obszernej świątyni grobowej. Lecz młodzi Lotaryńcy, przychodząc tutaj po świętą iskrę zapалу, nie przypuszczają nawet, że mogą zakłócić spokój zmarłego: biegną witać cesarza, który nie przestaje towarzyszyć pochodowi wieków.

Dla tych podnieconych i rozentuzymowanych pielgrzymów szmer ich własnych kroków jest jakby dalszym ciągiem tych okrzyków potężnych, któ-

re zewsząd i nieustannie wznosiły się na cześć bohatera, broniąc mu snu, gdy w swej karocy przebiegał wszystkie drogi Europy.

Grób cesarza dla Francuzów dwudziestoletnich to nie miejsce spoczynku, nie dół filozoficzny, gdzie biedne umęczone ciało ulega rozkładowi, ale punkt zbieżny wielkich potęg: śmiałości, woli, żądz. Sto lat już upłynęło, a promienie rozpraszającej się wszędzie wyobraźni nie przestają się skupiać w tem ognisku. Spróbujmy w myśli chociażby zasypać kryptę, gdzie spoczywa mąż — uosobienie wzniosłości; zrównajmy poziom historii, usuwając Napoleona — i cóż się stanie? Oto unicestwimy zogniskowaną duszę stulecia. Nie panuje tu cisza śmierci, w powietrzu bowiem unosi się pogwar bohaterstwa; to zagłębienie pod kopułą jest złotym rogiem epiki narodowej; z niego to bije wicher, budzący w młodzieży naszej dreszcz tajemny i pełen grozy.

Pochyleni nad zrębem studni, w którą architektki pograżyli przygniatające swą potęgą zwłoki bohatera, nie umiając mu wznieść tronu odpowiedniej wysokości, Lotaryńczycy, wnukowie żołnierzy wielkiej armii czują, jak od zetknięcia się z marmurem balustrady rozszerzają się ich młode męzkie piersi, jak je rozpiera miłość, upaja nadzieja, że z pod wieka potrójnej trumny przeniknie w ich duże powiew śmierci, aby się stać zaczynem nieśmiertelności.

Ileż pewnych i trwałych pomników zostawia po sobie ten, co spoczywa w ołowianem łożu!..

Wszystkie dzwony Francyi noszą ślady uderzeń swych serc, głoszących jego zwycięztwa; nic dziwnego, że serce, które przez lat trzydzieści wybijało takt epopei, mogło zniszczyć to ciało ze spiżu. Wielki umarły nosi na sobie piętna wszystkich znamienych chwil swego życia: zarazy tulońskiej,

żaru egipskiego, wrzuseń brumairéowych, chwały dni koronacyjnych, pocałunku córki Cezarów, Maryi Ludwiki, śniegów Rosyi, chłodu poranku w Fontainebleau, okrzyków: Blücher! Blücher! pod Waterloo, snów tęsknych na Świętej Helenie. Tam, na skalistej, bezdrzewnej wysepce, spalonej słońcem podzwrotnikowem, on był królem Learem, wygnanym i prześladowanym przez córki swoje. A te córki to jego idee, to pamięć jego wielkich czynów. Straszliwy król Lear, opętany przez własny geniusz! A potem stary Korsykanin, wcielenie władzy, przeobraża się w otyłego plantatora w dużym słomianym kapeluszu! I to był jego kształt ostatni, kształt, który złożono do trumny.

Lecz pomimo wszystko, ten Cezar-trup, znaczony bliznami, niezmierną liczbą zniewag i krzywd życia, jest jednym z najpiękniejszych i najbardziej odczytania godnych pergaminów. Jego zmarszczki dopomogłyby do sprawdzenia tych wszystkich portretów, któremi się roją muzea, biblioteki i legendy. Jego moralny i fizyczny wizerunek zdaje się być niemożliwym do wykończenia wskutek mnogości odmian. Wszyscy specjaliści nauk społecznych wcielali w niego ideę, uważaną przez siebie za jedynie słuszną i żywą. Znamy Napoleona taktyka, dyplomate, prawodawcę, polityka. Są to ściśle i wierne szczegóły postaci cesarza. Był on w równej mierze korsarzem Byrona, cesarzem Musseta i Wiktora Hugo, Mesyaszem Mickiewicza, parwieniem Rastignaca, indywiduum Tainea. Zaden z tych wielkich ludzi nie popełnił błędu. Francya, Niemcy, Włochy, Rosya także się nie myliły, przypuszczając, że Napoleon jest zesłany po to, aby się stać dla każdego z tych ludów iskrą elektryczną; bo prawdą jest, że on to obudził z letargu poczucie narodowości nietylko w każdym naro-

dzie w Europie, lecz w każdym pokoleniu we Francji. Liberaliści restauracyi, romantycy r. 1830, me-syaniści r. 1848, urzędnicy drugiego cesarstwa, między-narodowcy, marzący o wzniesieniu na barkach proletaryatu całej Europy monarchii Karola Wielkiego, Sturel i jemu podobni, co pragną czyn połączyć z refleksją — wszyscy od niego wzięli impuls. W każdym pokoleniu Francji on ustawia pierwsze szeregi wojowników, podobnie jak swą gwardyę pod Waterloo w chwili ostatnich wysiłków; gdy zaś ca-ły oddział defiluje przed nim w szyku bojowym, rzuca mu krótką komendę, wskazując końcem szpady szanse do zdobycia.

— Jaktol!—powiecie. — Co za wszechstronność zdumiewająca! tyle postaci w jednym człowieku!... — Obłoki, które tworzą sklepienie niebieskie, barwiąc je odcieniami tęczy, są świetnym symbolem tego człowieka niezwykłego, co zawarł w sobie wszystkie horyzonty swej epoki i był jej ideą główną. Obłoki, podobnie jak on, są zmienne i ruchliwe: to przy-bierają różne kształty fantastyczne, to się zlewają we wspañałą kopułę, pokrywającą ziemię. Stały stosunek, jaki się ułożył pomiędzy ziemią a prze-stworem za pomocą oparów, wznoszących się w gó-rę i opadających następnie w postaci deszczów opa-dających, zauważyć można pomiędzy Napoleonem a wyobraźnią naszego stulecia... Napoleonie! jesteś naszym niebem... w szlachetnym rozpędzie ducha my stwarzamy ciebie, a ty nas!... Już na wstępie gorące spojrzenia jego armii oblekły mu twarz w maskę nadludzką, jak kochanka, która potęgą swej miłości przekształca ukochanego. I oto już wiek upływa jak w każdym pragnieniu, które mło-dzieńcem o władnie, znajdzie się cząstka, co płynie z Bonapartego i wraca ku niemu, wyolbrzymiając wspomnienie cesarza. W chwale jego biorą udział

miliony bezimiennych, tworząc jej piękno wiekuiste. Jak w roku 1812 siłę jego nad Niemnem tworzyły okrzyki 475,000 ludzi, tak wielkość jego imienia stwierdzają najpiękniejsze słowa tego wieku.

Saint-Phlin, Sturel, Roemerspacher, Suret-Le-fort, Renaudin, Mouchefrin i Racadot, którzy 5-go maja r. 1884, otoczywszy grób jego, biorą ztąd pokarm dla ducha, przynieśli mu także daninę. Pod pokładem wszystkich cech charakterystycznych Napoleona historycznego, który obudza ich szacunek, lecz nie móglby wzniecić przywiązania, odszukali *Napoleona duszy*.

Bez uprzedzeń społecznych lub moralnych, nie ważąc korzyści i dobrodziejstw jego wojen, ani wartości władzy despotycznej, kochają Napoleona miłością prostą i ślepą.

Najpiękniejszym wizerunkiem Bonapartego, najlepiej odpowiadającym ich pojęciom o wielkim cesarzu jest posąg dłuta Canowy z pałacu Brera w Medyolanie, przedstawiający bohatera o nagich, silnych kształtach ze straszliwą głową Cezara. Tak, to jest miłość ślepa i bez zastrzeżeń! Gdy idzie o poruszenie duszy, żadna podnieta jej nie dorówna. A dusza pod jej wpływem odważa się uchylić rąbek tajników własnego przeznaczenia. On wiedział, że posiada własność niepospolitą, gdy mówił: „mam dar elektryzowania ludzi!” Ten tylko Napoleon, który dotyka duszy i elektryzuje ją, jest istotnym i wiecznie żywym. Takim był na łożu śmierci, gdy wyrzekł ostatnie słowa, podyktowane głosem przeznaczenia: wola jego przetrwała ostatnie tchnienie i napiętnowała oblicze przedziwnem działaniem prawdy; wtedy te rysy, w wyrazie swym z początku nieustalone, zdawały się szukać dla siebie typu na całą nieśmiertelność i zastygły wreszcie w wizerunku

pierwszego konsula, otoczonego pierwszemi blaskami sławy.

Z cerą o tonach sinawych, jak młodzi bohaterowie, którzy marzą o cesarstwie, bywał wtedy często zamysłonym i posepnym. Osiągnąwszy tron, ten rycerz szczęścia złagodził swą dumną wyniosłość i twarde, ostre linie oblicza; postać jego się zaokrągliła miękko na wzór imperatorów rzymskich, później męczeństwo zaczęło dokonywać zniszczenia. Lecz gdy z tej twarzy starto pot konania, wystąpiła znowu ostra rzeźba młodości, uwydatniły się kości nosa i policzków, stanowczym łukiem zarysowały się wargi, pojawił się ten wyraz bohaterskiego napięcia, który powinien być pozostać dla potomności jako istotny i najwierniejszy. Młody przewodca klanu korsykańskiego, generał włoski i egipski, pierwszy konsul—oto Napoleon, co nie umiera nigdy, co podtrzymywał cesarza w życiu codziennem i ożywia legendę jego na wszystkich szczeblach nieśmiertelności.

Podobnie jak z po za wszystkich stygmatów jego istnienia i postaci jego geniuszu wyłonił się twardy profil modelowy, w którym życie wykuło cykl swych przejawów, tak wszystkie przekształcenia legendy zawrzeć można w słowach: *Napoleon, mistrz energii*.

Oto jego fizyognomia rzeczywista i formuła ostateczna, otrzymane przez zestawienie i ułożenie wszystkich obrazów poszczególnych, skreślonych przez artystów, uczonych i ludy. Ogólnym rysem tyłu różnych obrazów jest dar budzenia duszy. Gdy lata zniszczą dzieła tego olbrzyma, gdy geniusz jego przestanie już hipnotyzować myślicieli i narody—bo wszelkie warunki życia społeczeństw i jednostek ulegną zmianom, pozostanie jeszcze ta zdolność potęgowania energii. I niech wybrane dusze ludzkości,

korzystając z tego źródła ożywczego, oddadzą mu uznanie i cześć należną! Słowa Napoleona przemianą, jego kodeks i zasady wojowania, jego system władzy utracą swą żywotność, ale pozostanie na zawsze i promieniować będzie ta moc zwracania jednostek i narodów z trzeźwej drogi „zdrowego rozsądku,” który często bywa powiewem śmierci, ta zdolność wzniesienia ich na niedostępne szczyty szlacheckiego absolutu.

I dzisiaj, 5-go maja 1884 r., widać jasno, że dusze rosną w zetknięciu się z atmosferą olbrzyma. Ta schadzka tajemnicza zdaje się posiadać zdolność przemieniania ludzi. Młodzieńcy, przed chwilą rozproszeni na placu Inwalidów, teraz mają pozór gromady młodych tygrysów. Mouchefrin z oczami pełnemi zmiennych blasków chodzi tam i napowrót dokoła balustrady, utykając w niewygodnem obuwiu. Jedyne Renaudin udaje trochę szydercę, a jednak, aby przyjść tutaj, opuścił zebranie, od którego zależały jego sprawy dziennikarskie. Gdyby który z cudzoziemców, odwiedzających grobowiec, zwrócił uwagę na tę grupę chłopaków, tak niepodobnych do siebie, lecz rozentuzjazmowanych tą samą iskrą cesarską, każdy byłby ich odczuł w sposób odmienny, jak ci krytycy, różnie komentujący jeden i ten sam utwór, lecz każdemu by się udzieliło ich wzruszenie. Bo istotnie, oni wywoływali umarłych.

Gdy bohater Odysei, zgodnie z rytuałem starożytniej nekromancyi, wylał na ołtarz ciepłą krew owczą, dusze zmarłych nakształt roju pszczoł wzniosły się z otchłani: dziewice, kobiety, młodzieńcy, starcy; wszystkie cienie okrzyły go z niesłychaną wrzawą. Podobnie Sturel, Roemerspacher, Suret-Lefort dzięki temu zapałowi, który Napoleon wlał w ich żyły, zaludnili widmami przeszłości okazałe nawy gmachu Inwalidów. Powstali z grobu człon-

kowie rodziny Napoleona, pogrzebani w różnych ziemiach: w pierwszym szeregu tragiczne postacie księcia Reichstadt w Schönbrunn, Napoleona III w Chislehurst i młodego cesarzewicza, który poległ w kraalu Ityotosy. Do Napoleonidów przyłączyli się istotni współpracownicy jego dzieła i ducha: generałowie, wodzowie armii, Massena, Lannes, Soult; dzielni i nieustraszeni Angereau, Ney, Murat, Lassalle; finansiści, jak Godin, Mollien; politycy, jak Portalis Trouchet, Cambacérès, Montelivet, Chaptal; a obok nich tłum cały, grzmiący wspaniałym hymnem pochwalnym: to poeci, którzy od wielu, wielu lat w sercach i wyobraźni młodzieży zapalają iskry niegasnącego uwielbienia i przez to należą także do napoleonidów; wreszcie oni sami, młodzi matu-rzyści, dodają akordy czci do coraz głośniejsz brzmia-cej, tryumfalnej symfonii Cezara. Trudno określić barwę tonów, grających w ich duszach, lecz można odgadnąć uczucia, które je dyktowały; aby je wy-razić, potrzeba koniecznie wysokiego nastroju, gdyż w zetknięciu z Napoleonem porywy wstrząsające duszą mogą mieć tylko wykładnik liryczny.

Wszyscy przemawiali do niego słowami 24 ty-sięcy nowozacieżnych młodych gwardzistów z 1815 r. na bohaterskim obrazie Raffet'a: „Najjaśniejszy pa-nie, możesz liczyć na nas, jak na swoją dawną gwardyę.” Dzieci, nieudolnie władające bronią, lecz uzbrojone w siłę moralną.

I nie ulega wątpliwości, że urok miejsca i ta zaraza moralna, która pod nazwą „Napoleoniady” zaliczoną zostanie do głównych fermentów naszego stulecia, udzieli się każdemu młodzieńcowi, który się znajdzie w tej atmosferze i rozgorączkowany, chciwy czynu, z dumnym ruchem podniesionej głowy, z wej-

rzeniem pełnem ufności w jutro, zawoła jak Sturel w owej chwili:

— I on był z początku młodzieńcem bez znaczenia i środków!

Instynktownie towarzysze odciągnęli go na stronę do kaplicy króla Hieronima i rzekli:

— Znamy biografię cesarza, historję jego sławy, lecz jak się rozwijał? Jak stawiał pierwsze kroki kandydata na wielkiego człowieka?

— A więc, słuchajcie! — rzekł Sturel. — Pod koniec zeszłego stulecia Bonapartowie należeli do średniej szlachty korsykańskiej. Była to rodzina pozbawiona możności działania, lecz zwarta i chciwa wyniesienia. Matka, kobieta dzielna i bohaterskiego ducha, wierna tradycjom swej ojczyzny, w dwudziestym roku życia uchodzi skalistą ścieżką Monte-Rotondo, w towarzystwie patryotów, którzy usiłowali bronić niezależności wyspy przed najazdem francuskim. Paoli, symbol cnotliwego bohatera w oczach Europy, mędrzec, który zapragnął zreformować ojczyznę, zwracając ją na drogę dawnych tradycyjnych obyczajów, ustąpił przed losem nieprzychylnym i w Anglii szukał schronienia. Bonapartowie przystosowali się do naszych warunków i postanowili wyzyskać zwycięzców, biorąc od nich co się da.

— Gdy dziewiętnastoletni Napoleon został umieszczony na koszt rządu w szkole wojskowej w Brienne, cała liczna rodzina odprowadzała go do przystani, dumna, że młodzieniec powróci wkrótce oficerem.

— Ach! — mówili do siebie młodzi Lotaryńcy — nas rodzice tylko pewnego smutnego wieczora odprowadzili do liceum; myśmy się nie czuli wysłańcami żadnego klanu: ulegaliśmy jedynie jakimś nieokreślonym, wymykającym się świadomości koniecznościom ..

...Mały uczeń szkoły w Autun, a od 10-go do 15-go roku wychowawiec zakładu w Brienne, dochodził do wściekłości w swem odosobnieniu obcego przybysza, wyszydzanego na każdym kroku; z egzaltacją, doprowadzającą do wybuchów, odczuwał wszystkie upokorzenia, które go spotykały ze strony kolegów i profesorów. Przetrwał wszakże te próby z godnością; one uwypuklały nawet obraz ojczyzny, który nosił w duszy. Starał się nieustannie być godnym tej zniewagi, jaka się mieściła w pogardliwej nazwie „Korsykanin.”

— Nas także—myślą dawni uczniowie z Nancy — wyszydzano, myśmy także cierpieli samotność, lecz nie zdołaliśmy odnaleźć swego ideału; gotowiliśmy byli nawet do zaparcia się siebie, aby się tylko stać podobniejszymi do tych, którzy nas znieważali.

— W piętnastym roku życia — ciągnął dalej Sturel — młody Bonaparte, uczeń szkoły wojskowej w Paryżu, umiał okazać wysoko urodzonym kolegom, że mu nie imponuje majątek ani imię. Mały szlachetka, bez pieniędzy i stosunków, krytykuje wszystkich i wszystko, okazując wyraźnie pogardę dla pustych rozmów i czczych dowcipów. Odsuwając się od kolegów, pochłania potajemnie Rousseaua i zagłębia się w stare kroniki Korsyki. W szesnastym roku życia jest już oficerem... Izby Walencyi, Ajaccio, pokoje hotelu de Cherbourg w Paryżu, czytelnie, gdzie się zbierali młodzi rewolucyoniści, przechadzki gorączkowe drogą des Sauquinaires, znają i pamiętają takie same burze duchowe, jakich świadkiem były lasy Combourga! Mały oficerek, podlegający wszystkim szlachetnym cierpieniom rodzącego się geniuszu—to René... Osiemnastoletni młodzieniec pisze pewnej zimy te głębokie i wzniosłe słowa o samobójstwie:

„Zawsze samotny pośród tłumu ludzkiego, odchodzę, aby wejrzeć w siebie, marzyć sam na sam i z całą szczerością oddać się melancholii. W którą stronę ona mnie dzisiaj prowadzi? Na wybrzeże śmierci.”

— O, Bonaparte! — szepcą wszyscy we wspólnem uniesieniu — byłbyś i nas zabił razem!...

— Nigdy natura nie wydała doskonalszego typu Cezara, zwierzęcia, stworzonego do panowania. Jego skargę, że objawiając się światu zbyt wiele napotkał przeszkód, wyśpiewał romantyzm. Bonaparte musiał być jednym z tych dzieci cudownych, które wypowiadają melancholiczny szal wielkości z siłą niezwykłą, porywającą innych. Zapewne, sfrancuziały Korsykanin nie rozporządzał dziedzicznymi środkami Byronów lub Chateaubriandów, lecz dzielność i krzepkość duszy zdołała nadać rytm jego dziełom.

Zresztą piękność Bonapartego przewyższa Byrona i Chateaubrianda. Wszyscy trzej to bracia, wykarmieni przez bogatą i urodzajną glebę prowincyi pod koniec XVIII-go w., synowie pokrewnych duchem gniazd feudalnych. Trzy te imiona rozgłosne odpowiadają jednakowo szlachtetnym duchom. A jednak imię Bonapartego wywołuje w umyśle cały szereg idei nieskończenie realniejszych i bardziej logicznych od namiętnych i kapryśnych wybuchów Renégo i bajronistów. Jakkolwiek nie możemy zarzucić braku szczerości Byronowi i Chateaubriandowi, uczucia ich wydają się nam dzisiaj sztuczne. Skarżyli się na ludzi i na swą samotność, szukali na świecie ojczyzny bliższej. Jednocześnie arystokraci i rewolucyoniści, marzyciele i nihilisci, w miarę jak ludzkość przestaje wydawać ten rodzaj typów uczuciowych, będą się stawali coraz mniej zrozumiałymi, dzięki swym sprzecznościom duchowym.

Bonaparte natomiast nie był człowiekiem odpływu i przypływu. Olbrzym ten tworzył z prostotą i ładu; namiętności swe poddał metodzie naukowej, która siły już poznane kojarzy, zaprzęga do pracy i wiąże w śmiałą hipotezę dla zbudowania jedności.

Młody i samotny przekonywał się coraz bardziej, że myśl o przystosowaniu się do warunków życia przejmują go wstrętem nieprzeparty, że czuć się może szczęśliwym tylko w Korsyce wolnej, gdy spełni zadanie odrodzenia narodowego, o którym marzył Paoli. Dzięki takiemu tłómaczeniu nieuświadomionych jeszcze stron ducha, stał się na ziemi francuskiej wygnańcem istotnym, podczas gdy Byron i Chateaubriand byli nimi tylko w wyobraźni. Rola tego wyspiarza malkontenta, którą podjął w najlepszej wierze, okazała się dlań jedną z najpożyteczniejszych. Odtąd już łatwo przeczuć w nim męża stanu, obdarzonego zdolnością umieszczania ludzi na stanowiskach odpowiednich i utwierdzania ich w poglądach, ułatwiających mu życie. Istotnie, skoro się tylko przed samym sobą uznał za wygnańca, mógł umysł swój skierować ku rzeczom realnym, melancholia go nie wyczerpywała, przeciwnie, stała się bodźcem, dodającym siły, a miłość dla kraju rodzinnego ogniskiem skupiającem wszystkie uczucia. Podczas gdy Byron i Chateaubriand w pogoni za szczęściem osobistem zużywają i rozpraszają energię, on ją zgromadził dokoła swej idei głównej. Jak oni, mieszkańiec światów idealnych, nie pieści tam ideałów bezkształtnych, lecz dąży do podtrzymania swego planu, do zorganizowania ojczyzny.

Potęga marzenia może się w nim odrazu przekształcić w czyn. Później zapewne, ulegając dumnej chęci zajmowania sobą ludzi innych, którą to chęć dostrzegliśmy na dnie melancholii romantyzmu, Chateaubriand zacznie wyznawać katolicyzm, a By-

ron liberalizm; lecz obaj będą zawsze wątpili o swem posłannictwie, tembardziej, że przesyt użycia osłabi w nich to pierwotne poczucie orlej samotności, z którego czerpali swój rozmach... Bonaparte, znalazłszy cel najodpowiedniejszy dla ognia, który w duszy jego zapłonął, oddał mu się całkowicie i, głuchy na głos miłości, nie zostawił ani jednej iskierki na jej ołtarzu.

Zogniskowaną w ten sposób namiętność łączył ze znajomością przeszłości historycznej, starając się zgłębić należycie charaktery ludzkie i prawa społeczne. Myśli tylko jak się wydoskonalić w obranym zawodzie i dlatego studjuje krytycznie kampanie wielkich wodzów, wtajemniczając się w ich pomysły genialne. Posiadamy jeszcze spis zajęć, które sobie systematycznie naznaczał. Wartość ich leży nie w rozmiarach, lecz w potędze refleksyi, skierowanej zawsze do tego samego celu. Metoda na usługach namiętności—oto Napoleon w 20-tym roku życia!...

„Zrozumieć świat—przyłgnąć do rzeczywistości, uznać wymagania życiowe!”—powtarzają młodzieńcy, którzy nagle zrozumieli sztukę życia. I w tem badaniu Bonapartego, w tej konkretnej nieomal wizyi jego istoty tkwi największa zdobycz ich dzielności. Doznają wrażenia, że się wydostali z krainy piasków ruchomych i wyczerpani na siłach, stawiają wreszcie kroki na mocnym i pewnym gruncie.”

...1789! Burza porywa orła, zmusza go do rozwinięcia skrzydeł! Wielkie role są do zdobycia! Bonaparte spieszy na Korsykę, do środowiska przyrodzonego, gdzie jedynie miał rację istnienia. On to rozdaje trójkolorowe kokardy w Castia... A teraz bacznosc:

Znaleść cel dla duszy, dostarczyć jej ideału,

w którym się zbiegną wszystkie pożądanja, który ich popchnie do czynu — oto główne zadanie! Lecz nie dajmy się unieść złudnym mirażom! W istocie rzeczy, dusza nie ma innego celu, prócz siebie samej. Nie należy odstępować od służenia jej sprawie, unosząc się przywiązaniem do bóstw własną wyciosanych ręką. Widzieliśmy już nieraz umysły niepospolite, zabłąkane w świecie sztucznym, poświęcające się sprawie, która nie była ich własną sprawą, i bądź przez żądę powodzenia, bądź przez nieudolność analizy zaprzeczające swym zasadom. Ztąd umiejętność poddania się zawsze i wszędzie przeznaczeniu, uznania go za prawo jedyne. Napoleon jest tej umiejętności wzorem doskonałym i niezrównanym.

Ubóstwiając niemal Rousseau i Paolego, zapragnął być ich współdziałaczem, a jednak dnia pewnego zrozumiał, że chcąc pozostać wiernym swej naturze, powinien się odsunąć od obu mistrzów; wyodrębnić się od pierwszego, a nawet pokonać drugiego. W 22-gim roku życia dokazał tego niezwykłego w rozwoju psychicznym wysiłku. Przestał być uczniem.

Idąc ręka w rękę z Paolim, za którym stała cała Korsyka, byłby chybił swego przeznaczenia. Oddzielił więc od osoby przywódcy ludowego swój ideał, aby go wcielić we Francję. Aż do tej chwili kraj nasz był dla Bonapartego wrogiem, bo całość urzędzeń państwowych nie pozwalała się rozwinąć jego zdolnościom do przewodzenia; Korsyka zaś, gdzie już pierwiej panował Paoli, mogła się łatwiej poddać dyktaturze rodaka-patryoty; teraz wobec Francyi, dążącej do przekształcenia urzędzeń państwowych i Korsyki, stale konserwatywnej, Bonaparte, wierny potrzebom swego ducha, nie waha się dokonać przewrotu w poglądach dotychczasowych.

Decyduje się na upadek w opinii swego bohatera Paolego i całego społeczeństwa ojczystej wyspy. Nie mając uznania dla demagogów jakobińskich, przyłącza się do stronnictwa, rządzącego podówczas Francją. Znać po tym czynie Cezara!.. Jest to ruch godny wielkich mistrzów!.. Ludzkości daje lekcję energii, którą odtąd powtórzy tylokrotnie: w decydującej, stanowczej sytuacji, nie można ulegać okolicznościom, lecz trzeba je rozważać. Fortuna również uznaje takich ludzi i lubi im służyć. Bonapartego oczekiwała ona na wybrzeżu tulońskim, gdy w dniu 13-go czerwca 1793 r. wylądował tam z garstką wygnańców korsykańskich, jako młody, niespełna 24 letni oficer...

Tak mniej więcej mówił Sturel; koledzy przysłuchiwali mu się chciwie, uzupełniając niekiedy jego myśli własnymi uwagami. Ale dźwięk ich słów blado odtwarzał wzruszenia duszy i wybuchy energii, rodzące się z chęci sławy i współzawodnictwa!.. Ani jeden rys tak pojętego Napoleona nie uszedł uwagi tych wysłańców młodości, rozprawiających o Cesarzu o 15 kroków od miejsca jego spoczynku. Młodzi, pełni pragnień podniosłych, posiadają właśnie to, co on nazywał poczuciem chwili, inteligencją wyjątkową.

Nie odczuwają potrzeby układania w zwięzłe formuły przedziwnych wewnętrznych skojarzeń, z których my usiłujemy zbudować cesarską teorię energii; to spotkanie się u grobu jest czemś więcej niż rozmową, jest już czynem. Na razie wszyscy rozgorączkowani bijącymi z tego grobu promieniami, ulecieli wyobraźnią wysoko i na mocy swego zapału odważyli się porównywać siebie z bohaterem; lecz on się im wymykał co chwila, a każde uderzenie skrzydeł powiększało istniejącą między nimi przepaść, czyniąc ich jednocześnie coraz mniej-

szymi. Lecz nawet odczuwając całą swą mierność, doznają dziwnej dumy na myśl, że taki człowiek żył i działał... a równocześnie pełni są rozpaczy, że stracili tyle czasu.

Uświadamiając coraz silniej wzajemne bohaterstwo ducha, ściskają sobie dłonie. Z ich ust wyrrywają się wykrzyki płomienne.

Poddani działaniu sił tak potężnych, rozgrzani uwielbieniem i solidarnością, czekają hasła stanowczego...

— A my—pyta Sturel — czy pozwolimy, aby życie nas pochłonęło?

Pozostawiają Napoleona, zstępują na poziom własnej osobowości. Wystarcza wyrzec: *Cesarz* — a to wielkie imię, co stwarza indywidualności, zmusza ich do powiedzenia: *Ja, My*.

— Niebawem kończymy studia. Czyżbyśmy się mieli zadowolnić wyzyskiwaniem tytułów uniwersyteckich? Czyż mamy powiększyć zastęp bezimiennych użyteczności epoki? Uszykowani w odpowiedniej klasie społecznej, zaledwie zaznawszy burzliwych porywów młodości, a już pełni rezygnacyi, czyż mamy ustąpić innym pola działania? W bekształtnej masie, jaką przedstawia nasze pokolenie, kryją się przyszli wodzowie, szermierze Jutra. Jeżeli jakiś głos wewnętrzny mówi nam, że jesteśmy tymi wybrańcami losu, nie szukajmy więcej: towarzysze! jesteśmy wodzami! U grobu Napoleona, mistrza energii, przysięgnijmy sobie, że będziemy ludźmi!

— Przysięgamy!—wykrzyknął mały Mouche-frin, wciskając się do pierwszego szeregu.

— Niech się stanie! wyrzekł Racadot.

— To jest zadziwiające!—szepnął Suret-Le-fort, ze zdumieniem stwierdzając swe wzruszenie.

— Już dawno był czas po temu!—dodał Re-

naudin, który od dwu lat starał się uczynić ze swych przyjaciół zwarte kółko działaczy.

— Zgadzam się ze Sturelem — odezwał się Saint-Phlin — ale Bonaparte i Loyola, których on cytuje tak chętnie, rządili ludźmi, ponieważ umieli przetwarzać ich na bohaterów i świętych.

Jednocześnie Renaudin mówił:

— Bonaparte miał Paolego. Gdzież jest dzisiaj bohater narodowy, któremu byśmy mogli służyć, aby go we właściwej chwili porzucić?

— Nie tak prędko! — wtrącił Roemerspacher, — zbadajmy w pierw kwestyę zasady. Zdziwiasz mnie, Franciszku, swą wiarą w ludzi wielkich. Zapewne, niema nic bardziej interesującego nad biografie — zawierają dużo pierwiastku dramatycznego, a przytem upraszczają historię. Ale czyż nie widzisz, że jednostka jest niczem, a społeczeństwo wszystkim?

— Dobrze — odparł Sturel mocno podrażniony. — Taine uczynił cię panteistą. Patrzył na przyrodę jak na jedność żywą, w której się zawiera pierwiastek i zasada działania. Ja zaś widzę w niej zbiór energii niezależnych, których współzawodnictwo wytwarza harmonię powszechną.

— A ja — rzekł Saint-Phlin — uważam wszechświat za materję bezwładną, którą wprawia w ruch jakaś wola zewnętrzna. Napoleona chciał Bóg!

— Przypomnijcie sobie — wtrącił Renaudin, poprawiając monokl — że Bonaparte nie lubił ideologii, to jest wszystkiego, co oderwane, nadpowietrzne.

— A więc do rzeczy! — zawołał Sturel — wszystkie nasze teorye są doskonałe i każdy z nas odnajduje w nich pobudkę do czynu. Przyjaciel nasz Saint-Phlin jest niezmiernie szczęśliwy, wierząc, że może być kiedyś człowiekiem opatrzo-

ściowym. Porzućmy spór o rolę i znaczenie jednostek.

Do jakiego stopnia Cezar — chcę powiedzieć wódz, kierownik — może przerobić ludzkość, to nas dzisiaj obchodzić nie powinno.

Kiedy Roemerspacher słyszał, abym proponował obmyślenie czegoś nowego w zakresie instytucyj rządowych, prawa, religii, literatury, sztuki, rolnictwa, ojczyzny, własności, rodziny? Są to wielkie dzieła zbiorowe, powstające nieświadomie i bezimiennie; podobnie jak ocean, wyrzucają one na brzeg idee rewolucyjne.

Lecz wielcy ludzie umieją jedynie zrobić wybór w tych bogactwach. Czy chcemy się podjąć takiego trudu i odważnie wziąć na swe barki odpowiedzialność przed współczesnymi? Oto zagadnienie, które chciałem przedstawić na dzisiejszem zebraniu.

Mouchefrin, śledzący ten spór z gwałtownem zajęciem i bardzo wzruszony, rzekł:

— Przeznaczenie zesłało Napoleona po to, aby przekształcił Francję od postaw, dla jego duszy wyższej i cudzoziemskiej żadna z instytucji monarchicznych nie była nigdy czemś żywym. Mógł zostać ojcem przesądów nowych, bo nie odczuwał żadnego z dawnych. A czyż dzisiejszy porządek społeczny obudza w naszych sercach coś innego niż pogardę i nienawiść? Jesteśmy powołani do jego obalenia.

— Strzeżmy się — rzekł Saint-Phlin urażony — stanowiska negacyjnego. Napoleon miał głębokie poczucie swego obowiązku.

— Swego przeznaczenia — poprawił Sturel.

— Swej kultury — przerwał Roemerspacher.

„Są określenia — powiada Pascal — na których podstawie można wydać sąd o umyśle człowieka:”

przeznaczenie, obowiązek, kultura — oto pojęcia, streszczające Sturela, Saint-Phlina i Roemerspachera. Suret-Lefort marzył tylko o sławie, zdobyciu. Racadot i Mouchefrin chcieli używać. Myśli Renaudina zaprzętała wyłącznie kwestya zapewnienia sobie bytu.

— Dobrze — rzekł Suret-Lefort — mniejsza o pobudki! Na czem polega zadanie, które mamy przedsięwziąć?

— To prawda — potwierdził Renaudin — trzeba je określić.

Nastąpiło milczenie niepokojące. Wszyscy się obawiali odkryć w sobie niedołęztwo. Pytanie tak proste pozostało czas jakiś bez odpowiedzi.

Wobec tego musimy zbadać, jaki grunt znalazła we Francyi młodzież lotaryńska, oderwana od gleby ojczystej i zaniepokojona swem położeniem.

ROZDZIAŁ VII.

Rozprzężenie i rozstrój Francyi.

Od chwili ukończenia liceum, t. j. od lat czterech młodzi nasi znajomi tęsknią do działania. Przebywając w Lotaryngii, w atmosferze nudy i śmierci, pogrążonej w bezwładzie, odosobnieni od siebie, całą duszą rwali się do Paryża. Uważali stolicę za centrum świata, gdzie mogliby pracować dla celów wielkich. Tymczasem znaleźli się tam sami nieznan; trawieni gorączkową żądzą czynu, nie znajdując pola do pracy, ani sprzymierzeńców.

W braku punktu oparcia i porozumienia się z grupami naturalnemi, państwowemi lub społecznemi, postanawiają stworzyć korporację nową... W imię jakich haseł? W jakim celu? Oto pytanie, które stawia trzeźwy umysł Suret-Leforta i Renaudina.

Czynnik działający jedynie na wyobraźnię, jaki stanowi postać Napoleona w 1884-ym roku, nie zdoła zjednoczyć indywidualności stojących w tych samych warunkach zewnętrznych, ale pozbawionych spójni wewnętrznej. Ta piękna legenda może popchnąć do czynu osobniki pojedyncze, ale nie zdoła nadać trwałości ich grupie, ani też wskazać celu działania. W którą więc stronę mają się zwrócić młodzi maturzyści, jakim ideałom poświęcić swój zapał, do jakiego przyłączyć się związku?

Siły żywotne naszego kraju, główne punkty skupienia energii narodowej w sferze materyi i ducha stanowią dzisiaj:

1) Biura, tj. zespół administracyi łącznie z armią. Można chwalić lub ganić ich mechanizm; przyznać jednak trzeba, że reprezentują one całą Francję. Chociaż system biurokratyczny w znacznym stopniu przyczynił się do zabicia inicjatywy i życia duchowego naszej ojczyzny, niemniej przeto jest dzisiaj jej uosobieniem.

2) Religia. Wyrażając się językiem urzędowym, we Francyi panuje katolicyzm, protestantyzm i judaizm; w gruncie rzeczy jednak mamy tylko dwie religie, znajdujące się z sobą w zupełnej sprzeczności, każda nakazuje swym adeptom walkę w celu zniszczenia drugiej. Dawna religia opiera się na objawieniu, nowa zaś na wiedzy, obiecując przy jej pomocy postęp nieskończony i nieokreślony, t. j. przyszłość pełną spokoju i miłości, przeszłość, o jakiej marzą wszyscy prorocy.

3) Warsztaty rolnicze, przemysłowe i handlowe. Celem ich jest gromadzenie pieniędzy, ale w gruncie rzeczy są one zupełnie na łasce swych robotników. Kapitałiści spekulują na wyżkę i niżkę papierów publicznych, przejmują się coraz więcej ideami międzynarodowemi i dążą do uchylenia się od solidarności z losami Francji.

4) Niezliczone stowarzyszenia wszelkiego rodzaju, które system biurokratyczny odarły z wszelkiej inicjatywy i niezależności. Wśród nich tylko syndykaty robotnicze mają pewną żywotność, poczucie swej siły, świadomość założenia i celu.

Arystokracja, która w dawnym społeczeństwie grała rolę również ważną jak biura, religia i ziemia, stanowiąc kastę potężną, dzisiaj utraciła zupełnie znaczenie; nie posiada żadnych przywilejów, nie oddaje żadnych usług wyjątkowych; jest tylko przeżytkiem historycznym. Oto są grupy najgłówniejsze. Powinnyby one pracować zgodnie—każda wypełniając sumiennie swoje zdanie—dla dobra narodu.

Jednostka, podtrzymywana przez jedną z tych grup—niezależnie od tego czy będzie nią kościół, administracja, nauka, ziemia, przemysł, giełda lub stowarzyszenia robotnicze—stanowi potęgę istotną. Człowiek zaś, któryby zdobył poparcie grup wszystkich stałby się bohaterem, wodzem narodu.

Niestety jednak między temi grupami niema żadnej łączności... Przeciwnie, każda z nich dąży do zniesienia innych. Stanowczo w ojczyźnie naszej panuje rozprzężenie.

Młodzi naturzyści, tak żądni odegrania jakiejś roli wybitnej, nie przyłączyli się do żadnej z tych wielkich potęg—działających każda z osobna. Przyglądając się tym młodym ludziom bliżej, w niektórych dostrzedz możemy pierwiastki uspołecznienia.

Saint Phlin kocha swą ojcowiznę w Varennes i rozumie jej ducha. Cztery miesiące w roku spędza w dobrach rodzinnych, podtrzymując związek z tradycją miejscową. Roemerspacher pracuje na polu wiedzy ścisłej nie dla zdobycia dobrobytu i nie przez prostą ciekawość, ale przez poczucie harmonii, dla zaspokojenia swych potrzeb duchowych. Niestety, nie możemy tego powiedzieć o innych. Adwokatúra daje Suret-Lefortowi pewne wygody; krępuje go jednak często, nie wiążąc żadnym węzłem żywotnym, nie staje się przedmiotem kultu. Dziennikarz Renaudin, który się łudzi, że ma licznych współkolegów, jest w gruncie rzeczy samotny jak palec. Biję się jak ryba o lód, dążąc do zdobycia kawałka chleba; nie obchodzą go żadne korporacje, żadne cele wyższe. Sturel, Racadot i Mouchefrin są zupełnie odosobnieni od reszty społeczeństwa.

Odpowiedzialność za ten nienormalny stan rzeczy spada na system biurokratyczny. Szkoła zabiła w nich przywiązanie do rodzinnego zakątka, kształtowała ich umysły za pomocą współzawodnictwa, nie wszczepiła żadnych pojęć religijnych, ani zamiłowania do wiedzy, jednym słowem, nie dała im żadnego dogmatu społecznego. Administracya wychowywała ich dla celów własnych: chciała stworzyć dobrych i wiernych urzędników. Nie chcieli jej służyć...

W olbrzymim i potężnym warsztacie ojczyzny jedynym motorem działania są dla nich pobudki indywidualne, pracują tylko dla siebie. Społeczeństwo nie troszczy się o nich, ale oni też w tem społeczeństwie stanowią czynnik ujemny.

Człowiek nie jest wielkością jednolitą. Równocześnie obchodzą go zadania i cele różnorodne. We Francyi autagonizm wszystkich grup społecznych wywołuje rozterki duchowe pojedynczych je-

dnostek, obniżenie, a często nawet nicość zupełną ich wartości.

Zatem określić należy, na czym polega istota narodowości francuskiej.

Co przez nią powinniśmy rozumieć?

W zasadzie indywidualność nasza jest dziełem czystego przypadku. Prawdziwy grunt narodowości francuskiej stanowi pierwiastek ogólnoludzki, wytwór społeczny i historyczny; jest to suma skłonności wrodzonych każdego stanu, rolników, przemysłowców, bankierów, robotników, oraz ideałów religijnych; rozwój jest powolny, ale ciągły. Jeżeli przypuścimy, że siły nasze twórcze znajdują się w rozprężeniu i sprzeczności, czyż nie będzie wtedy zagrożona nasza podstawa życiowa, rzeczywistość istotna, energia narodowa?

Stwierdzono, że przyrost ludności zmniejsza się nieustannie i że na kresach wschodnich odporność narodowa słabnie, a duch niemiecki przenika ztamtąd na nasze terytorium i do naszych umysłów.

Wobec niebezpieczeństwa, grożącego pierwiastkowi narodowemu, zupełnie podrzędną jest kwestya, kto zwycięży w parlamencie: Clemenceau albo Juliusz Ferry.

Równie podrzędne znaczenie ma wiadomość, czy Francya przez walki orężne w Tonkinie i na Madagaskarze, przez układy dyplomatyczne w Kongo i Egipcie, oraz konwencyę finansową w Tunisie rozszerzy swe kolonie na Dalekim Wschodzie.

Drugorzędną również jest rzeczą, czy rewolucyjne teorye olbrzymiej mniejszości, teorye podbudzające do kradzieży i rabunku, a będące protestem przeciw własności osobistej i nędzy proletaryatu, istotnie przedstawiają niebezpieczeństwo poważne i stanowią zapowiedź epoki nowej.

Słyszając, jak kwestyom podobnym przywódcy

narodu i agitatorzy polityczni nadają znaczenie pierwszorzędne, mimowoli nasuwa się na myśl wniosek o rozstroju i rozprzężeniu Francji: zadanie bowiem główne i jedyne polega na wzmocnieniu osłabionego pierwiastku narodowego, na odnowieniu podstaw państwowych, albo — jeżeli kto ma wstręt do metody retrospektywnej — na zorganizowaniu anarchii wewnętrznej.

Z anarchii tej zdają sobie sprawę doskonale młodzi maturzyści błakający się po bruku paryskim bez węzłów społecznych, bez dogmatu życiowego, bez celu, jak Tonkińczycy po swoich bagnach. Próba stworzenia grupy jest instynktem chorobliwym, podobnie jak idea cezaryzmu. Pragnęliby oprzeć się jedni na drugich. Dlatego też zwracają się do wielkiego dyktatora. Energia w poszukiwaniu dróg nowych i niepowodzenie obudzają ku nim sympatyę. Gdyby pracowali zgodnie w porozumieniu z siłami społecznymi, uczciwymi i użytecznymi, działalność ich mogłaby być uczciwą i użyteczną. Ale teraz, bez poczucia obowiązku względem państwa, ogarnięci gorączką naśladowczą wobec bohatera, przekonani, że wola ich osobista zaważyć może na szali działalności organizmu zbiorowego, przedstawiają żywioł dla tego organizmu niebezpieczny! Bohaterowie, jeżeli przychodzą w chwili niestosownej i w warunkach nieodpowiednich, mogą się stać klęską prawdziwą.

ROZDZIAŁ VIII.

Wynik schadzki.

Łatwo teraz pojąć zakłopotanie młodej gromadki, gdy Suret-Lefort i Renaudin, którzy zawsze

dążą do wyprowadzania wniosków, w ten sposób sformułowali wspólną troskę: „Na czym polega zadanie, któremu chcemy poświęcić nasze siły?”

— Dzisiaj—mówił Sturel—uwielbienie Napoleona nie pociąga za sobą konieczności uwielbiania ustanowionego porządku rzeczy; jest to tylko oddanie sprawiedliwości potędze organizatora. Geniusz jego polegał na tem, że umiał wyciągnąć korzyść największą z danych okoliczności. Szczęśliwy będzie ten, kto przekształcając ustrój społeczny odnajdzie w sobie te zdolności, jakie wykazał Bonaparte, stwarzając porządek rzeczy, który, chociaż niedoskonały, jednak podtrzymuje Francję od lat ośmdziesięciu czterech!

— Nie rozumiem cię—rzekł Suret-Lefort. — Jesteś równocześnie rewolucjonistą i...

— Tak! Nie przeraża mnie bynajmniej ten wybuch wolności, wobec którego wszystko, co nosiło na ziemi miano swobody, jest tylko zabawką dziecianną; uważam jednak ideał nowożytny burżuazji francuskiej, nawet liberalnej, nawet republikańskiej, za wielkiego wroga indywidualizmu i prawdziwej niepodległości ducha.

— Jakiż ztąd wyprowadzasz wniosek praktyczny?

— Mój drogi—przerwał Roemerspacher, zwracając się do Suret-Leforta—dajmy pokój wszelkiej frazeologii politycznej. Celem naszego spotkania dzisiejszego nie jest bynajmniej decyzja, do jakiej partii politycznej—konservatywnej, radykalnej, czy też oportunistycznej—przyłączyć się mamy, tylko przedsięwzięcie jakiejś działalności wspólnej. Zresztą, wiesz dobrze, że Sturel nie znosi pęt żadnych: jak wszystkie natury podniosłe i subtelne, oprócz zamięłowania swobody, żywi gorące uwielbienie dla ludzi wielkich, oraz wstręt nerwowy do wszystkiego,

co pospolite, przeciętne. Pochlebiam sobie, że znam ludzi; otóż twierdzę, że w żyłach Sturela płynie krew więcej rewolucyjna, niż w twoich własnych, tylko on pragnie, by ludzkości przewodniczył geniusz uznany.

— Jedno mam do zarzucenia zamiarowi poświęcenia się reformie ekonomicznej—rzekł Saint-Phlin, na którym przykre wrażenie wywarły słowa Mouchefrina, tchnące nienawiścią ku społeczeństwu. Formy, któreby należało obalić, są jeszcze bardzo potężne dla wielu z nas; tylko ten, kto niezdolny jest uszanować, ani odczuć piękności i znaczenia moralnego własności osobistej, mógłby przeciwko niej wystąpić. Niszczyć można tylko to, czego się nie rozumie. Co do mnie, przywiązany jestem...

Mouchefrin wykrzyknikami swemi dawał do poznania, że instynkty zachowawcze Saint-Phlina budzą w nim niesmak. Każdy chciał się wtrącić do tej dysputy, ale Roemerspacher nakłonił ich do milczenia:

— Słuchajcie! Nie ulega wątpliwości, że przyszłość zależy od sił działających dokoła nas, każdy jednak siły te tłómaczy stosownie do swego punktu widzenia. Zadanie nasze polega na zjednoczeniu naszej energii z energią całego narodu, na rozpoznaniu jej kierunku i zrozumieniu rozmaitych epok rozwoju.

— A więc—odparł Suret-Lefort—system rządu zorganizowany przez Gambettę jest jeszcze bardzo silny. Pocóż z nim występować do walki? Czyż nie lepiej trzymać z jego stronnikami?

Ten sam Suret-Lefort w noc przyjazdu Roemerspachera do Paryża z gorączkową niecierpliwością oczekiwał chwili wystąpienia przeciw gambetyzmowi. Widocznie ambicya jego trochę ostygła, natrafiając niejednokrotnie na zapórę z granitu.

— Etyka niewolnicza! — wykrzyknął Saint-Phlin. — Przyjaciele Gambetty skończą w Mazas.

— W każdym razie byłby to pomysł niebezpieczny i co gorsza, bardzo niepewny.

— A więc dobrze! — zapiszczał Mouchefrin swym wstrętnym głosikiem — wiemy już, czego nam potrzeba! Gdzie jednak znaleźć taką lokomotywę?

Olbrzymi Racadot, który dotychczas słuchał w milczeniu, wtrącił się do rozmowy:

— Potrzeba wam lokomotywy? Dobrze, ale czy ona zdoła was za sobą pociągnąć? Czy pewni jesteście, że istotnie stoicie na szynach? Mnie się bowiem zdaje, że otaczają nas dotąd takie ciemności, iż sam Napoleon by was nie dostrzegł. Nie zapominajcie, że dzisiaj idzie nam o wynik praktyczny naszego spotkania.

Wszyscy się zmieszali, niezadowoleni, że wnuk niewolników z Custines tak oczywiście pobił w dyskusji romantycznego i niebacznego Sturela. Jeden tylko Mouchefrin śmiał się głośno.

Dwaj ci ludzie, Racadot i Mouchefrin w zgromadzeniu dzisiejszem reprezentują proletaryat. Tylko dzięki swemu ubóstwu przyjęci są do grona zdolniejszych i zamożniejszych kolegów; gdyby byli bogatsi, usunięto by ich natychmiast: jest w nich coś, co tamtych przejmuje wstrętem. Mouchefrin jest zawsze pogardliwy aż do okrucieństwa, a Racadot chytry i przebiegły, jak faktor wątpliwej uczciwości.

Tolerując ich w swem kółku wyobrażali sobie, że dają najlepszy dowód uczuć humanitarnych. Z tego samego powodu traktowano ich z pewnemi względami. Żaden z kolegów nie ośmieliłby się nakazać im milczenia.

Mouchefrin, stale przyczepiony do Racadot, cenił tylko inteligencyę Renaudina, zarabiającego tryzsta franków miesięcznie, i nie ukrywał zupełnie

swej pogardy dla Sturela, Roemerspachera, Suret-Leforta, a szczególnie dla Saint-Phlina, którego nazywał „pocziwym panem Gallant.”

Racadot, patrzący wiecznie z pod oka, z nikłym zarostem, twarzą usianą wyrzutami, ugrzeczniony do uniżoności, imponował swą siłą fizyczną; miał umysł przebiegły pokątnych doradców, którzy kończą na galerach, lub też zdobywają wysokie stanowiska w parlamencie.

Nie chcąc osłabić wywartego przed chwilą wrażenia, położył z udaną dobroduszością rękę na ramieniu lekko zmieszanego Sturela i dał znak, że prosi o głos.

— Ja się podejmuję—wyrzekł uroczyście—dać wam pole do działania.

Powstał stłumiony szmer zdumienia. Racadot nasycił się chwilę wywołanym efektem, poczem ciągnął dalej:

— Teoretycznie rzecz biorąc, najlepszym środkiem osiągnięcia władzy jest armia. Wprawdzie zmniejszają dzisiaj szeregi, przekształcają prawie na pułki urzędników, otaczają nieufnością, dozorem, każdy jednak z generałów mógłby jeszcze przy jej pomocy odegrać rolę wybitną. Pozostaje nam środek drugi: prasa.

Przedewszystkiem, o co wam idzie? O to, by zgromadzić dokoła siebie kilkuset zwolenników i przy ich pomocy narzucić swe żądania ludziom dzierżącym władzę. Za pomocą dziennika zbadacie opinię publiczną, zrozumiecie prądy chwili bieżącej... tak, dziennik, tylko dziennik!...

— Ależ administracja? — zauważył Roemerspacher.

— Pieniądze?—podkreślił ironicznie Renaudin.

— Mouchefrin i ja zajmiemy się tem wszystkim... To moja rzecz—powtórzył z naciskiem.—Bę-

dziemy dla was szczeblami do wzniesienia się na wyżyny; z czasem nie zapominajcie o nas.

Spojrzeni na siebie ze zdumieniem. Uśmiechy niedowierzania znikły z ich twarzy, tak bardzo pragnęli uwierzyć w możliwość tego projektu.

Przypomnieli sobie częste aluzje Racadot, dotyczące „wielkiego spadku po matce,” którego ojciec wypłacić mu nie chciał. Wyobraźnia Sturela uchwyciła się podobnego rozwiązania trudnej kwestyi. Myśli wielkie i różnorodne cisnęły mu się do głowy.

Jacyż oni jeszcze młodzi! — pomyśli czytelnik. — Dusza ich nie wyszła jeszcze z niemowlęctwa—jak mówił Saint-Just, który sam zginął w dwudziestym roku życia. W gruncie rzeczy wielkie ich zamysły, zapał entuzyastyczny, zredukowały się do bardzo przeciętnego przedsięwzięcia.

Może się wydać bardzo dziwnem, dlaczego ci młodzi maturzyści, związani jedynie wspólnem uwielbieniem dla Bonapartego, doszli do przekonania, że powinni założyć dziennik. Podobne rozumowanie i podobny krok dziś byłyby zupełnie niezrozumiałe. Ale w roku 1884 takie rzeczy zdarzały się bardzo często. Dziennikarstwo przedstawiało linię najmniejszego oporu. Nie zdolności literackie i nie gorliwość prozelity skierowały Racadota ku sferom dziennikarskim, pomijając inne rozległe obszary działalności społecznej.

On chce żyć i szuka środków do życia. Wygnanie na bruku paryzkim, wpływ Bouteillera, proletaryat maturzystów, aureola otaczająca imię Portalisa, uczyniły z niego publicystę.

Racadot, Mouchefrin pożądamy przedewszystkiem pieniędzy. Ale jakież cel mają ich koledzy? Ci pragną walki dla przyjemności... Cóż w tem dziwnego? Przecież to są młodzi Francuzi, przedstawi-

ciele rasy odrębnej; nie Słowianie i nie Anglosasi, ale rycerze, szlachcice, przepadający za rozgłośnemi przygodami, przedsięwziętami najczęściej z niezwykłą płochością.

Jak piękny widok przedstawia ta młodzież rozentuzyzmowana, która się zgromadziła u grobu najgroźniejszego z awanturników. W piersiach ich wyobraźnia upojona czynami bohatera złożyła wszystkie legendy, obracające się dokoła tego imienia. Wieko jego trumny nie tak silnie przygniata, jak jego historia. Iluż już ona zmiażdżyła! Ale ci chłopacy oddychają pełną piersią. Świadczy o tem energia, tryskająca z twarzy, dzielność postaci, płonące oczy.

Wychodząc z gmachu Inwalidów, niezwykli ci sprzysiężeni, przejęci podniosłym nastrojem sceny poprzedniej, spotkali na długim korytarzu — gdzie w owej chwili toczyły się spory między publicznością a nigdy nienasyconymi przewodnikami — dwie młode kobiety, które koniecznie chciały wejść do wnętrza gmachu, chociaż się już zbliżała godzina zamknięcia. Ciekawość jednak, wrodzona osobom beczynnym, zmieniła ich zamiar—zamiast skierować się do grobu, zawróciły ku drzwiom, przyglądając się bacznie gromadce młodych ludzi, z których najstarszy miał zaledwie lat dwadzieścia pięć.

— Ba, w miarę możności porzucać będą więcej skompromitowanych—przerwał Renaudin.

— Ludzie otaczający bohatera—ciągnął Saint Phlin — nie różnią się tak bardzo od niego. Nie można go wynosić na wyżyny, strącając tamtych w przepaść. Aureola, w której nam się ukazuje jednostka wybitna, stanowi zasadniczą część jego istoty. Coś, co promieniuje w X. Y. Z., z czasem blednie i gaśnie.

Suret-Lefort i Renaudin spojrzeli na siebie, uśmiechając się lekko z naiwności Saint-Phlina.

— Jedno nie ulega wątpliwości najmniejszej — zaczął Renaudin — a mianowicie, że oportunizm nie potrzebuje naszego poparcia. . . Szczyściem, wszystko co nowe i nieprzewidziane, ma szanse powodzenia we Francyi. Kraj ten lubi namiętnie przygody romantyczne, zgrupowane dokoła bohatera sympatycznego. Niewątpliwie Francuzi z uznaniem powitaliby odrobinę sprawiedliwości społecznej, większą jednak przyjemność sprawiłby im romans w felietonie, utrzymujący ich ciekawość w ciągłym napięciu. Mówię to jako dziennikarz, znający dobrze czytelników; ale ty, Sain-Phlin, który się rozczulasz, jak przypuszczam, nad romansami rycerskimi, w rodzaju: *Flor* i *Blanchefort*, albo *Fier-à-Bras*, znasz dobrze gust narodu i wiesz, że taki np. *Fier-à-Bras* mógłby dziś zrobić świetną karierę.

— Bohater narodowy! — zawołał Sturel.

— Niech i tak będzie! — rzekł Suret-Lefort.

Gdzie ja już widziałem tę twarz? — pomyślał Roemerspacher, przyglądając się uważnie jednej z kobiet.

Niewątpliwie ona również zadawała sobie w myśli to samo pytanie. Zrobiła skromniutką minkę i wyglądała jak prawdziwa „cicha woda,” kryjąca nie raz w swych głębiach pożądania najgwałtowniejsze... Te rysy energiczne, ruchy wyzywające, a jednak pełne wdzięku, całość tchnąca pewną tajemniczością, wraziły mu się w pamięć.

— Ach! — zawołał nagle do siebie — to pani Aravian!

Pierwszą jego myślą było zatrzymać Sturela, który wyprzedził go o jakich trzydzieści metrów i dlatego nie spotkał tych kobiet, przychodzących z nawy bocznej. Przejęty jeszcze nastrojem boha-

terskim powyższej sceny, Sturel szedł obok Racadota, ręka w rękę, mówiąc z ożywieniem, że nieraz wątpił o nim, ale że teraz zjednoczą razem swoje wysiłki dla urzeczywistnienia pięknego, wspaniałego dzieła. Roemerspacher, widząc podniosły nastrój przyjaciela, nie chciał go obniżyć banalną rozmową o jakiejś przechodzącej kobiecie.

Wielbicielce książąt gruzińskich zamało się podobała powierzchowność młodych Lotaryńczyków, ażeby mogła sobie przypomnieć, że przed trzema laty widziała ich na dziedzińcu willi Sainte-Beuve. Może jednak odnalazła w nich jakiś rys wspólny z owym dziwnym Franciszkiem Sturel, którego kochała i którego wspomnienie przechowało się w jej umyśle. Idąc ku wyjściu równolegle z Mouchefrinem przyglądała mu się z taką natarczywością, że Saint-Phlin, który nigdy nie odznaczał się darem psychologii, rzekł do fizyologa Roemerspachera:

— Czyżby *daemon meridianus* trafił nie tylko mnichów, ale i piękne paryżanki?

Nie mogli się powstrzymać od śmiechu, gdyż potworny Mouchefrin zupełnie nie był podobny do typu mężczyzn z jasną cerą i szerokim karkiem, mających największe powodzenie u kobiet. Mały, z gęstemi, kędzierzawymi włosami, pretensjonalny, kołyszący się na cienkich nogach, cieszył się jednak względami kobiet z najniższych mętów społecznych, gdzie się przeważnie obracał. Powodzenie to wyrobiło w nim zuchwałość niezwykłą. Ku zdumieniu Roemerspachera i Saint-Phlina, zbliżył się szybko ku Astiné i prawie przemocą włożył jej do ręki swój bilet wizytowy, który Ormianka po lekkim wahaniu się zatrzymała.

Obdarzona doskonałą pamięcią typów, przypominała sobie zapewne, że stoi przed nią kolega Sturela. Przed kilku dniami przybyła do Paryża. Mo-

że więc zapragnęła skorzystać ze sposobności, aby się dowiedzieć czegoś o dawnym przyjacielu, do którego się nie chciała zwracać bezpośrednio, obawiając się z jego strony jakichś wybryków złego humoru?...

— Tak — rzekł Mouchefrin, wracając do kolegów — dałem swą kartę. Bardzo mało kobiet odmówiłoby jej przyjęcia... niektóre przysyłają w podobnych razach bileciki... Sądzicie może, że biedacy nie miewają pięknych kochanek? Przedstawiamy nawet wartość większą, jako dyskretniejsi: należymy do kategorii tych, którymby — wraze przechwałek — nie uwierzono.

Słyszając te słowa cyniczne, obaj przyjaciele umilkli zamyśleni. Następnie udali się wszyscy razem do ogrodu Tuilleries. Stojąc na tarasie, wpatrywali się z zachwytem, jak olbrzymia kula słoneczna, chyląc się ku zachodowi, zajaśniała w ramie Łuku Tryumfalnego, rzucając na niego blaski oślepiające. Słońce zajmuje podobne położenie tylko 5-go maja, w dniu, kiedy Napoleon zakończył życie na wyspie Ś. Heleny.

Niegdyś wierni mu wyznawcy nie zaniedbywali tej pielgrzymki nigdy. Dziś ostatnia garstka młodych czcicieli bohatera, wracająca od jego grobu, zatrzymała się na tym tarasie nieco dłużej, oddając się marzeniom, do których usposabiała ich chwila obecna. Roemerspacher i Saint-Phlin zamilczeli przed Sturelem o zuchwałości Mouchefrina: zdawało im się, że Franciszek czułby się dotknięty przypuszczeniem takiego obniżenia gustu u pani Astiné, z którą go łączyły conajmniej serdeczne wspomnienia.

I, jak gdyby przeznaczenie chciało, aby w dniu tym, tak dla nich pamiętnym — kiedy wrażeńiowość swą przystosowali do środowiska paryzkiego — spo-

tkali wszystkich, którzy wpłynęli na ukształtowanie ich ducha, spostrzegli o kilka kroków od siebie Bouteillera, we fraku i białym krawacie.

Profesor już od godziny pół do 7-mej przechadzał się po tarasie nad brzegiem Sekwany, spoglądając często na zegarek, jak człowiek, który się niecierpliwi. Zaskoczony powitaniem dawnych uczniów, nie zbliżył się ku nim, chociaż ich poznał od razu i chociaż dzieliła ich przestrzeń nieznaczną. Obecność ich zdawała się go nawet krępować; ustąpił im z drogi i przecinając Plac Zgody, skierował się w stronę Łuku Tryumfalnego, który zdawał się gorzeć w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

ROZDZIAŁ IX.

Bouteiller przedstawiony członkom Parlamentu.

Człowiek, obierający karierę polityczną, nie powinien lekceważyć nikogo; możemy jednak usprawiedliwić Bouteillera, że nie zwrócił żadnej uwagi na dawnych uczniów, kiedy wieczorem 5-go maja spotkał ich na brzegu Sekwany. Minał już dawno czas, kiedy działalność profesora skierowana była wyłącznie ku zdobywaniu młodych umysłów.

Nadeszła chwila, że zetknąć się musiał z potęgą rzeczywistą, z ludźmi dzierżącymi władzę nad trzydziestu ośmiu milionami trzystu czterdziestu trzema tysiącami Francuzów i trzydziestu sześciu milionami ośmset dziewięciu tysiącami mieszkańców kolonii, kiedy Sturel, Roemerspacher, Saint-Phlin, Racadot i inni, szukający z zapalem

punktu oparcia dla swej działalności, ale tak nainnie nie znający życia, spotkali uwielbianego mistrza; ten ostatni, przejęty niemniej wielkimi zadaniami jak jego uczniowie, szedł właśnie na obiad na ulicę Murilla, do jednego z najzręczniejszych pajaków Paryża.

Znany, wpływowy i bardzo czynny bankier, baron Jakób Reinach, Żyd, jest wytworem Rzeczpospolitej parlamentarnej. Urodzony we Frankfurcie w 1840 r., otrzymał poddaństwo francuskie po wojnie z Prusami. Jeden z jego braci pozostał Niemcem i objął we Frankfurcie kierownictwo banku, na czele którego stał niegdyś jego ojciec. Drugi brat, Oskar, przez małżeństwo z panną de Cessac spokrewnił się ze starymi i szanowanymi rodzinami Francji, dlatego jaskrawo manifestuje przywiązanie do władzy prawowitej i stanął jako kandydat monarchiczny podczas wyborów do Izby.

Tytuł barona kupili w Prusach, czy też we Włoszech. Baron Jakób Reinach zrobił majątek na operacjach bankowych firmy Kohn-Reinach. Znaturalizowanemu Niemcowi zachciało się za pośrednictwem nabytych bogactw wywierać wpływ na osoby stojące u steru państwa. Niekiedy potrzebny mu był literat zdolny, któryby umiał przedstawić ogółowi pomysły sfer finansowych filozofii ekonomicznej; postanowił więc zdobyć sobie współudział Pawła Bouteillera.

Od ośmiu już dni, t. j. od chwili rozpoczęcia starań w celu pozyskania profesora, baron, wielki znawca ludzi, zdumiewa się niezwykłymi zdolnościami nowego ucznia, którego znów nie razi ani ordynarność, ani poufalość bankiera, tak bardzo go cieszy nabyta wiedza, tak gorąco pragnie zostać finansistą, wielkim finansistą Rzeczypospolitej. Czytając historię, śledząc pilnie rozprawy parlamentu, przekonał się

o prawdziwości następującej zasady; „kto chce odegrać wybitną rolę historyczną, powinien śledzić pilnie kwestye finansowe, one bowiem stanowią środek ciężkości każdego rządu.”

Jednakże, aby zostać działaczem politycznym, nie dosyć jest poznać te kwestye zblizka, należy jeszcze rachować się z osobami, które niemi kierują. Bouteiller widywał dotąd tylko przewodców partyi i to w oświeteniu, w jakim im się podobało ukazać oczom zwykłego urzędnika, należącego wprawdzie do stronnictwa, ale nie wtajemniczonego w jego działalność. Na obiedzie u barona Reinacha miał się spotkać z potęgami istotnemi, z ludźmi, stojącymi u steru nawy państwowej, albo przynajmniej takimi, na których spada odpowiedzialność za kierunek tej nawy. Bouteiller nie należy do naiwnych, a jednak nie domyśla się wcale roli, jaką odgrywa w sprawach rządu baron Reinach; ten bowiem odkrywa mu swe karty bardzo powoli i z wielkimi zastrzeżeniami.

Dzisiaj wieczorem we wspaniałym pałacu przy ulicy Murillo baron zgromadził u swego stołu kilka najwybitniejszych osobistości kółka oddanych mu członków parlamentu.

Był tam senator, wygadany i ujnujący ekonomista, puszczający w świat wiecznie te same wesołe, tchnące ironią subtelną, bez domieszki tonu ostrego dowodzenia zaczerpnięte z *Journal des Débats*. Redaktor wybitnego dziennika rządowego, koncepcista niezrównany, pełen werwy trochę gorszego gatunku i bardzo sympatyczny.

Pięciu czy sześciu polityków, ministrów, byłych ministrów, albo kandydatów na te stanowiska. Wszyscy zamknięci w sobie, z energicznym, zimnym wyrazem twarzy, zwracali uwagę nietylko swym wyglądem odświeżnym, który starali się zamaskować

udaną niedbałością, lecz i miną nadąsaną, niezadowoloną, prawie brutalną, podobni do podróżnych, którzy siadając do table d'hôte, sprawdzają czystość szklanek, talerzy, serwetek.

Jakiś członek parlamentu angielskiego, enigmatyczny, jak wszyscy cudzoziemcy, który zresztą, nie starając się dostroić do całego otoczenia, rozmyślał o sprawach angielskich i jakości podanego wina.

Dwóch malarzy, których można, nie narażając się na śmieszność, tytułować: „Kochany mistrzu.”

Jakiś wielki aferzysta, apoplektyczny, zamknięty w sobie, z miną człowieka, który myśli nieustannie o swem bogactwie, i w razie potrzeby potrafi je bronić.

Wreszcie trzech bankierów. Jeden z nich, z pochodzenia cudzoziemiec, wykształcony, ujmujący i przystojny. Wychodząc z tego założenia, że napiwki, dawane dorożkarzom i będące niegdyś wyrazem łaskawej hojności, dziś stały się koniecznością, zastosował tę samą metodę do kubanów, czyli napiwków, dawanych ludziom, kierującym nawą państwową. Ci ostatni ofiarowywali mu chętnie swe usługi, które nabywał uprzejmie i za cenę wysoką. Drugi bankier, mniej przystępny dla sięgających do jego kieszeni, odgrywał rolę wybitną za cesarstwa.

Bardzo solidny, nie rozprasząc się na drobne intrygi, skupił wszystkie swe siły i oddał się Gambecie i oportunistom, zapewniając sobie wszelkie możliwe korzyści.

Trzeci bankier różni się wybitnie od swych kolegów. Nikt się nie ośmiela traktować go poufale. Kombinacje jego są wyłącznie natury finansowej. Wywiera wpływ tylko dzięki ważności interesów, których jest syndykiem, nie kupując sprzy-

mierzeńców. Ztąd wypływa jego potęga. Żyd z pochodzenia, przybyły z Niemiec, nie interesuje się wcale szczegółami polityki wewnętrznej, tylko stosunkami państw z sobą.

Gdyby nie wrodzona obojętność dla polityki i wyższa filozofia Goethego albo da Vinci, czyniąca z niego „Wroga burz,” byłby mógł wstrząsnąć podstawami gmachu rządowego. Ale po co? Niezależnie od formy rządu, będzie on zawsze, tak jak dzisiaj, otaczany, schlebiany, upajany dymem kadzideł.

Bouteiller, skromnie siedzący na szarym końcu, odrazu zwrócił uwagę na tę postać wybitną, na wspaniałą powolność i powagę wypowiedzianych zdań, obojętność zachowania się, zabarwioną odcieniem trochę kwaśnym. Ze sposobu, w jaki obdarzał swemi spojrzeniami innych, Bouteiller poznał człowieka, który zna swą siłę. Odgadując zamiary przeciwników, zdawał się myśleć zawsze:

— Nie dbam o zarzuty, które mi czynisz, ani o twoją nienawiść, mam tyle pieniędzy i tak umiem ich użyć, że gdy zechcę, będziesz tańczył, jak mi się spodoba.

Myśl ta wyryła na jego miedzianej, pofałdowanej twarzy wyraz niezwyklej finezyi i arogancyi.

Był to jeden z tych Niemców heglistów, których pełno po świecie i którzy zdają się mówić z Mefistofeilesem: „Jestem uosobieniem pierwiastku destrukcyjnego i mam słuszość; wszystko bowiem, co istnieje, zasługuje na zniszczenie: najlepiej byłoby, gdyby nie istniało nic”

Nie jest on wszakże tylko przeżytkiem archeologicznym starej Germanii, filozofem *stawania się*, przekształconym, jak Saint-Simoniści, na potężnego geszefciarza. Ten heglista, zgodnie z prawem ro-

zwoju narodowego, jest także zwolennikiem Bismarcka i mógłby powiedzieć, jak Brander w *Fauście*: „Nie zawsze się można obejść bez cudzoziemczyzny. Dobrych rzeczy trzeba czasem szukać daleko. Prawdziwy Niemiec nie znosi Francuzów, ale wina ich pija chętnie.” W obecnej chwili bawi się wyśmianiem śmiesznościami dziennikarzy i deputowanych, zręczną szermierką ekonomisty, który wszystkie objawy społeczne sprowadza do swego systemu plutokratycznego, i całym zgromadzeniem, które baron i bankierowie na jego cześć starają się wciągnąć do rozmowy i wystawić w lepszym świetle. Wspólną cechą tych wszystkich osobistości jest bezczelność w najrozmaitszych odcieniach, od podłości zwykłego łotra i szalbierza do nihilizmu Mefistofelesa.

Zostawmy na boku ekonomistę i malarzy, którzy w swem zachowaniu mają coś dziecinnego. Ekonomista przypomina trochę artystę komika, jeszcze więcej kokietkę, nie wystarcza sobie, nie lubi refleksyi; oczekuje zawsze sposobności, ażeby wtrącić jakąś zręczną uwagę, przytoczyć w porę jakieś dane statystyczne, jakiś paradoks złośliwy i bystry; niecierpliwość jego i chęć mówienia jest tak wielka, że w chwilach milczenia szczęki jego poruszają się bezdźwięcznie, jak u ludzi bezzębnych.

Obaj malarze, pomimo przekonania, że się znajdują w środowisku mieszczańskim, filisterskim, opanowani są tak silnie małpim popędem do naśladownictwa, że przytakują wszystkiemu, co mówią inni, nie słuchając nawet końca wypowiedzianych zdań, ani starając się zrozumieć ich treści, przejęci myślą pokazania się w jaknajkorzystniejszym świetle. Zresztą wszyscy zebrani traktują ich z pewnem łaskawem pobłażaniem, jak dzieciaków, pełnych próżności, nie jak zwykłych rzemieślników.

Zbytecznie chyba rozwodzić się nad kobieta-

mi, znajdującemi się w tem towarzystwie. Wszystkie są pełne godności, bardzo poprawne, ale zdają się nie mieć pojęcia o tem, że żony wybitnych osobistości powinny się odznaczać wyszukaną uprzejmością.

W rozmowie goście barona Reinacha nie spierają się bez powodu, jak adwokaci, nie występują nieustannie ze swoim zdaniem, jak sentymentalne panienki i wierszokleci, powtarzający co chwila: „Ja sędzę, że...” co bynajmniej nie wyjaśnia rzeczy interlokutorom i daje tylko możność wypowiedzenia się mówiącym. Przeciwnie, słowa ich zdradzają przyzwyczajenie zdawania sobie sprawy ze stosunków istniejących między ludźmi i różnorodności interesów, któremi kierują. Umieją postawić każdą rzecz na właściwem miejscu i w odpowiedniem oświetleniu. Jest to dowód wielkiej mądrości praktycznej. Nie walczą o słowa, nie spierają się w razach wątpliwych—rachują się tylko z faktami dokonanemi... Na występach publicznych mowa ich przypomina czasem gmatwaninę bez związku: pochodzi to niekoniecznie z braku talentu, raczej z ostrożności, nie bowiem niebezpieczniejszego nad jasne wypowiadanie przekonań; w kółku prywatnem niedomawiają swych myśli i wyrażają się krótko, jak spółnicy, którzy się porozumiewają za pomocą półsłówek. Nie są bynajmniej romantykami. Umysł ich nie odstępował od ideału, wytworzonego za czasów drugiego cesarstwa: uznanie idei postępu i łagodności obyczajów; żadnych pojęć moralnych, ani poczucia godności osobistej; pewność, że dobro ogółu polega na tem ażeby, każda jednostka troszczyła się o swoje interesy osobiste.

— Jaka jest najlepsza praca syntetyczna o Rewolucyi Francuskiej?—zapytał, prawdopodobnie dla

zawiązania rozmowy, członek Izby gmin swego sąsiada, deputowanego oportunisty.

Tamten, podnosząc głos, odparł:

— Wszystkie mowy, wypowiedziane na zgromadzeniach rolniczych i dzieło Taina. Co do mnie, wolę te mowy.

— Chcąc jednak być bezstronnym — wtrącił bankier wykształcony — przyznać należy, iż praca Taine'a przeżyje te mowy przynajmniej o lat dziesięć.

— W polityce to nonsens najwyższy zajmować się dalszą przyszłością niż przeciąg sześciu miesięcy.

Słowa powyższe wygłosił dziennikarz z obozu radykalnego.

— Zupełnie słusznie — rzekł subtelny ekonomista — tylko w ten sposób tłómaczyć musimy zdanie Gambetty: „Kwestya społeczna nie istnieje wcale.”

— Musisz pan jednak przyznać, że Gambetta...

— Zdanie Gambetty! — przerwał ktoś inny — czyż ono koniecznie musi mieć jakiś sens określony? Niektóre frazesy polityków obrachowane są tylko na efekt.

— Tysiąckrotnie masz pan słuszność — zaczął znowu ekonomista — tylko w ten sposób powinniśmy często pojmować zdania wielu mówców. Mają one sens jakiś tylko tak długo, dopóki się rozlega głos, który je wypowiada. Są to prawdy miejscowe i chwilowe. Mojem zdaniem jednak, w tym wypadku poszczególnym Gambetta chciał wyrazić, że kwestya społeczna nie należy do polityki, że żaden mąż stanu rozstrzygnąć jej nie może i dlatego nie powinna nigdy zaważyć na szali jego postanowień... Rozważmy to. Bywają kryzysy ekonomiczne, ale sama kwestya proletaryatu wychodzi po za przestrzeń

czasu — określoną przez pana terminem półrocznym — w której może się obracać przewidywanie polityków. Obalić rząd mogą tylko ludzie wykolejony — i na to zwrócić należy główną uwagę. Ludzie ci godni tego, by wziąć udział w rządzie, na każdym kroku napotykają przeszkody nieprzewyciężone. W naszym systemie nic podobnego grozić nie może. Przygarniamy tych wszystkich, którzy umieją nakazać dla siebie poszanowanie. Rekrutujemy się przeważnie z wykolejonych: może to wywołać uśmiech w salonach, ale — mówiąc między nami — jest to najlepsze wytłómaczenie najlepszych i najgorszych stron zmian, zachodzących we Francji w przeciągu ostatnich lat stu, a zatem, najgorętsi malkontenci doby dzisiejszej za lat dziesięć będą naszymi współpracownikami.

— Daruje pan—wmieszał się baron Reinach—co do mnie jednak obawiam się nadmiernej produkcji tych ludzi wybitnych, wykolejonych. Czy pan obliczył, ilu zdolnych i ambitnych maturzystów każda prowincya wysyła codziennie do Paryża. Niebezpieczeństwo leży właśnie w hyperprodukcji zdolności.

Może z czasem baron zapanuje i nad Bouteillerem, dzisiaj jednak obecność profesora krępuje go trochę, pobudza do podniesienia dyapazonu do filozofowania, słowa powyższe przeznaczone były specjalnie dla niego, miały go zachęcić do wypowiedzenia zdania, do wykazania swej wartości.

Półseryo, półżartem odzywa się jeden z gości:

— Gdy naród cierpi na przeładowanie w jakimkolwiek kierunku, znajdzie sobie zawsze sposób uwolnienia organizmu państwowego od nadmiaru przeciążających go pierwiastków. Tak naprzykład komuna w r. 1871 uwolniła organizm Rzeczypospo-

litej od niedyspozycyi, wynikającej ze zbyt wielkiej ilości bogactw.

Bouteiller wskazał na dowcipnisią palcem, jak gdyby miał przed sobą jednego ze swych uczniów. Szlachetny i poważny wyraz myślącej twarzy podnosiło jeszcze źle wykrojone ubranie. Podobnie piękny motyw architektoniczny uwydatnia się jaszkrawiej na tle starego zaniedbanego budynku... Mówił tonem nie znoszącym opozycyi:

— Bywają hipotezy szkodliwe. Nie przyzwyczajajmy naszego umysłu do pochwalania tych środków ostatecznych, które nawet w razie powodzenia ujemnie wpływają na pacyenta. Rzeczpospolita może uniknąć chorób społecznych. Prawo 2-go marca 1882 roku jest wyborne. Przymus szkolny jest koniecznością, człowiek bez wykształcenia jest miernym robotnikiem, miernym obywatelem, miernym obrońcą kraju. Ale prawo to nie jest kompletne: konieczną jest także filozofia przymusowa. Nauczyciel jest przedstawicielem państwa; zadanie jego polega na tem, ażeby wpoić dzieciom urodzonym na ziemi francuskiej poczucie tego, że są Francuzami. Cóż to jest w gruncie rzeczy Francya? Zbiór jednostek? Terytoryum? Bynajmniej, tylko zespół idei. Francya jest to zespół pojęć, wypracowanych przez myślicieli republikańskich i stanowiących tradycyę naszego stronnictwa. Jest się Francuzem wtedy, gdy się te pojęcia zakorzeniły w duszy... Bez filozofii państwa niema jedności narodowej. Przy pomocy tej filozofii można osiągnąć korzyść prawdziwą z rozszerzenia się wiedzy, która się stać może istotną dyscypliną moralną...

W ten sposób mówił około pięciu minut głosem dźwięcznym, pełnym i modulowanym. Twarz z rysami wyrazistemi, trochę surowemi, była blada, z oczu tryskała zupełna pewność siebie. Wzbudził

zachwyty słuchaczy, którzy nie mogli być obojętni na akcent, powagę, grę twarzy i oceniali te przymioty ze stanowiska krytyków dramatycznych. Pochylali się jedni ku drugim, zapytując szeptem o imię mówcy. Jednogłośnie pochwalili dykcję i formę zewnętrzną, ale teza, której dowodził, teza, schlebająca uniesieniom młodości, wydała im się zbyt młodzieńcza, była w ich oczach dowodem niedoświadczenia, ponieważ wyprzedzała warunki obecne.

Gdyby nie był umilkł po pięciu minutach, wydałby się im pedantem trochę naiwnym. Jakaż to zdolność wybitna! Jak tenor, śpiewający o miłości przed starymi klubowcami, tak Bouteiller ożywił w pamięci słuchaczy wspomnienie wieku bohater-skiego, kiedy parlamentaryzm popisowywał się swą wymową tylko w kawiarniach Prokopa, Woltera i Madryda.

Redaktor wpływowego dziennika rządowego słuchał go z uszanowaniem, ośmielał spojrzeniem i ruchem głowy, ale uśmiech jego zdawał się mówić: „My także byliśmy entuzyastami, mój panie!...”

Zarzut ten dostrzegł Bouteiller w oczach wszystkich prawie zgromadzonych; dotknięty odcieniem pobłażania i nie chcąc być traktowanym, jak amator dyletant w sprawach polityki, zwrócił się wprost do redaktora:

— Czyżby dziennik pański bronił tezy, że zwiększenie liczby nauczycieli szkolnych i profesorów filozofii grozi niebezpieczeństwem?

Któż w taki sposób przemawia do powagi umysłowej? Stanowczo Bouteiller nie utracił jeszcze cierpliwości neofity.

— Ba — odparł redaktor, niezmiészany wcale — mój organ codziennie składa dowody pogardy, jaką żywię dla burżuazji francuskiej.

Koncept ten wprowadził rozmowę na ton właściwy, wywołując wesołość ogólną. Nie śmiał się tylko baron i Bouteiller. Barona ogarnęła obawa, żeby jego protegowany nie wydał się śmiesznym; z drugiej strony zaś obawiał się, ażeby ton sceptycyzmu politycznego, właściwy przedstawicielom stronnictw przeciwnych, związanych z sobą interesami natury prywatnej, nie zraził profesora.

— Mój przyjaciel Bouteiller — odezwał się śpiesznie—w dziewiątym roku życia pracował w Lille jako chłopiec mularski. Nosił po drabinach szafiki z rozrobionem wapnem. Dzień roboczy takiego chłopaka zaczyna się o kwadrans wcześniej, a kończy się o pół godziny później, niż dzień mularza. Pomimo takiego przeciążenia pracą, Bouteiller spędzał noce na nauce; w dwunastym roku życia, nie mając nigdy nauczyciela, zdał egzamin konkursowy i otrzymał stypendyum.

Na twarzach obecnych odmalował się podziw, połączony z uznaniem; wszyscy przyglądali się profesorowi bacznie, ale obok rzeczywistego zainteresowania się znać było i pewien odcień litości, obudzony naiwnymi trochę poglądami debiutanta.

Zadano mu kilka pytań na temat życia mularzy, trudności nauki w podobnych warunkach, umysłowego rozwoju młodzieży; ale znaczenie, które sam przywiązywał do podawanych szczegółów, zmniejszała ich wartość w oczach innych.

Mówił trochę z piedestału, z wielką powagą i ton ten raził słuchaczy. W gruncie rzeczy byli to ludzie podnieceni, albo znużeni; wysiłek bowiem, z jakim dochodziuuy do władzy, wyczerpuje siły; nowicyusz raził zbytnią świeżością; przeczuwano, że za wiele wymaga od innych.

Ekonomista tonem akademickim, pełnym subtelnej ironii, dostępnej tylko dla wybranych, posta-

nowił zatrzeć złe wrażenie, jakie wyrzeć mogły słowa obecnych na niewtajemniczonego rekruta.

— Znam pana Bouteiller oddawna i wiem, że Gambetta cenił go wyjątkowo... Gdyby kosztowne drenowanie, które drogą nauczania bezpłatnego zaprowadzamy w masach ludowych, dawało nam ludzi takich, jak szanowny profesor, Rzeczpospolita byłaby wynagrodzoną za swe wysiłki w dziedzinie szkolnictwa.

Postanowienie, które powziął ten wybitny przyjaciel naszego szanownego gospodarza, poparcie, którego już udzielił i, mam nadzieję, udzielać będzie nadal naszym projektom, są dla mnie najlepszym świadectwem wyjątkowej wartości jego umysłu i charakteru. Zwykle jednak — wyznajemy szczerze — kolej rzeczy jest inna: kluby, skrajna lewica, radykalizm, i tylko znacznie później budzi się instynkt panowania...

— A jeszcze później żąda tytułów! — rzekł z finezyą wykształcony bankier.

— Tytuły to nasza rezerwa, nie odsłaniaj jej pan... szczególnie wobec tego niebezpiecznego pana—odciał się wesoło redaktor organu rządowego, ukazując na redaktora radykalistę.

Obaj mężowie, poróżnieni wskutek wieloletniej obrażającej polemiki, spojrzeli na siebie, porozumieli się uśmiechem i zbliżyli się ku sobie, wstawano już bowiem od stołu.

W salonie bankier wsławiony w epoce cesarstwa zbliżył się do Bouteillera, biorąc go poufale za rękę:

— Morny mawiał nieraz do Alfonsa Daudet'a, który był wówczas urzędnikiem w jego kancelaryi i nosił długie włosy, okalające przepysznie twarz młodą tryskającą życiem: „gdy się ktoś zaciąga do

legionu ludzi światowych, powinien przywdziać ich mundur...” Pozwól mi więc pan powiedzieć sobie słów parę: „Chcąc pracować na polu polityki, przyjmując należy ton odpowiedni.” A nie jest to bynajmniej ton filozofa... O nie — powtórzył głośniej, popijając czarną kawę — polityka nie jest polem działania dla filozofa, ani dla moralisty: jest to sztuka znalezienia możliwie najlepszego wyjścia z trudnego położenia.

Na ten temat zaczął się rozwodzić długo, wypowiadając dużo zdań trafnych i zarazem prostych; baron z miną jowialną potwierdzał wszystko, opierając się na swem doświadczeniu.

— Dziwni są, doprawdy, ci bankierzy—mówił jakiś deputowany do grubego przedsiębiorcy, na którego patrzył czule od półgodziny, chociaż nie znał go wcale—bawią się w dyalektykę z profesorem, pobierającym 7,000 franków pensyi, jak gdyby to był jakiś akcyonaryusz.

— Akcyonaryusz, o nie! Ale oni umieścili na nim pewien kapitał. Ten finansista, który mu prawi o Mornym, ofiarował *Towarzystwu popierania dobra* 5,000 franków, jako nagrodę za najlepsze dzieło podręczne o wychowaniu moralnem. Nagrodę przyznano bardzo dobrej pracy profesora Bouteillera. I tu się kryje początek zainteresowania, jakie wzbudza ten człowiek.

— To znaczy interes wartości 5,000 franków. W jakiż sposób myśli je bankier odzyskać?

— Oddał swego laureata na usługi Reinacha, który mu odsłania w obecnej chwili tajniki prawodawstwa cukrowniczego.

Tłómaczy mu, że gdy cukrownicy drzemią, dobro narodu wymaga, ażeby zmusić rząd za po-

mocą energicznej kampanii do podniesienia premii wywozowej.

Spojrzeni na siebie z uśmiechem:

— Aha... gdy cukrownicy drze mią... Szczęściem nasz kochany baron czuwa za nich!

— Do dyabła! Jeżeli jednak szanowny profesor dąży do teki ministra, to takie oddanie się interesom cukrowników mogłoby go nieco skompromitować!

Atmosfera uczty była bardzo ożywiona. Pewien młody deputowany zbliżył się do ex-ministra ze stronnictwa umiarkowanego i korzystając z pierwszej pauzy w ogólnej rozmowie, kiedy każdy zajęty był wychylaniem kieliszka, odezwał się:

— Oddawna już chciałem złożyć panu najgłębsze podziękowanie... Pan to bowiem popchnął mnie na drogę polityki.

— Jakto?

— Kiedy postawiono moją kandydaturę do Rady Państwa, pan zawyrokował: — Co, ten łotr! Przenigdy!

Stary centrowiec pomyślał chwilę, wreszcie, przeciągając rękę, rzekł:

— To prawda!

— I dlatego—zakończył wesoło młody deputowany—musiałem obrać to chlubne rzemiosło.

Zrobiono mu prawdziwą owacyę, uderzając przyjaźnie po ramieniu.

Po kawie baron zbliżył się nieco i, zagłębiając ręce w kieszeniach, rzekł dosyć głośno z odzieniem dobroduszości:

— A teraz, panowie, ktokolwiek się interesuje sprawą naszej kolei żelaznej, proszę do fiu-moaru!

Niewłocznie poszedł za nim jeden z mini-

strów, później jego koledzy, wreszcie dziennikarze i gruby przedsiębiorca.

Mieli omówić kwestyę przeprowadzenia linii kolejowych z Varu i Digne do Nizy. Z projektem tym baron nosił się już oddawna. Prace przy budowie kolei wymagały wielkiej umiejętności fachowej i znacznych kosztów; dla handlu linie te, wytknięte przez krainy ubogie, nie miały znaczenia; Freycinet nazwał je strategicznymi, ale w gruncie rzeczy strategicznym był tylko pomysł barona.

Bouteiller nie poszedł na tę radę wojenną, pozostał w towarzystwie pań, malarzy i kilku innych nowicyuszów.

Wkrótce jednak salony—podobne do wszystkich salonów bogaczy i duszne jak łaźnia — zapełniać się zaczęły ludźmi, których nazwiska w owej dobie spotkać było można na wszystkich dokumentach politycznego życia Francji.... Każdy z nich, wzięty osobno, miał swoje minusy; temu wiecznie brakowało pieniędzy, stanowisko tamtego było mocno zachwiane, o trzecim kursowały bardzo niemiłe historyjki, pomawiającego o przedajność; wszyscy jednak razem stanowili ostoję wszechmocności parlamentaryzmu.

U steru władzy już od szesnastu miesięcy stał Juliusz Ferry. Sprawy w Tonkinie nie przedstawiały jeszcze tych trudności, które napotkano później.

W pałacu Bourbon i w Luksemburgu zebrał olbrzymią większość gambetystów, z wyjątkiem dwu, czy trzech najoporniejszych, którzy ani na jotę odstąpić nie chcieli od planów wielkiego mówcy. Juliusz Ferry, mniej interesujący od Gambetty z punktu widzenia artystycznego, przewyższał go o wiele umiejętnością rządzenia. Ministerjum jego podjęło odważnie likwidacyę wielkich obietnic gambetystów:

reformy sądowej, konwencji z kompaniami kolei żelaznych, syndykatów, organizacyi municypalnej, rewizyi konstytucyi. Jeżeli Ferry utrzymuje się przy władzy, jeżeli wszyscy ci przedstawiciele parlamentaryzmu weselą się dzisiaj tak szczerze, jeżeli w całym zgromadzeniu bankierów, dziennikarzy, deputowanych znać nastrój świąteczny, to tylko dla tego, że prezydent każdemu z osobna i wszystkim razem wyświadczył usługę niezmierną. Oswobodził ich mianowicie od wielkiego eiężaru. Wyrażają się o nim banalnie:

— To człowiek, który umie rządzić.

Ale przy ciśnięci do muru wyznałiby swą myśl ukrytą, a przynajmniej pozwoliliby się jej domyślić:

— Nareszcie zbankrutowaliśmy!

Ferry jest mądrym syndykiem tej upadłości, do której doprowadziły ich obietnice nierozważne. Do użytku swych przyjaciół i całego stronnictwa dał całą seryę wybiegów, dzięki którym pozornie zostają wierni swym zobowiązaniom i zdają się je wypełniać; w gruncie rzeczy jednak szykują się po stronie siły zorganizowanej i stają się konserwatystami. W oczach wszystkich tu zgromadzonych finansistów Juliusz Ferry jest człowiekiem znakomitym.

Wśród gwaru rozmowy, prowadzonej hałaśliwie przez ludzi przyzwyczajonych do kurytarzy pałacu Bourbon, zgromadzeń politycznych, posiedzeń akcyonaryuszów, do giełdy i redakcyi, przez ludzi, z których nie wszyscy otrzymali dobre wychowanie, słyszeć się dają dyalogi w rodzaju następującego:

— Generałowie? Są to urzędnicy najuleglejsi...
Zapytaj pan Clemenceau...

— Ten, który odzyska Metz i Strasburg...

— Będzie miał niezwłocznie wstęp do Pantheonu...

— Parlamentaryzm nie zniesie ani zwycięstwa, ani klęski.

— Dokończ pan: rząd dzisiejszy istnieje tylko dzięki obawie wojny. Możemy się nie obawiać cezaryzmu, który w chwili obecnej przedstawia niebezpieczeństwo jedyne, dopóki Francya przez brak zaufania we własne siły, albo przez zamięłowanie wygódek żądać będzie pokoju. Ktoś popełnił błąd, zdarzający się dosyć często, mianowicie splątał rolę Cezara z losami rodziny Bonaparte. Bouteiller odezwał się znowu tonem wyższości profesorskim:

— Potęga, tworząca Cezara, spoczywa w nim samym i nie może się przekazywać dziedzicznie. Cezar pojawia się nagle, jako konieczne zjawisko dziejowe w chwili, gdy się przerywa tradycja, ale stworzyć tradycji nie może. Rzeczypospolitej nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony bonapartyzmu, ale wielkie ze strony cezaryzmu.

Nastąpiła wymiana wiadomości, które na razie mogły się wydawać banalnemi, ale z których każda znalazła miejsce w historii finansów, parlamentaryzmu i sądownictwa.

— Doskonała nowina, panowie! — rzekł baron Reinach, zwracając się do redaktorów:— bardzo możliwe, że za kilka miesięcy kompania panamska puści w obieg nowe obligacye, na sumę 129 milionów franków.

— Prawdopodobnie zorganizuje się syndykat?

— Naturalnie! Przyjaciele nasi będą zadowoleni. Karol Lesseps, Maryusz Fontanes i Martin otrzymują upoważnienie do przedsięwzięcia odpowiednich środków, ażeby się emisya powiodła. Levy-Crémieux stanie na czele syndykatu; ja również interesuję się mocno sprawami kompanii i zawsze posta-

ram się ułatwiać stosunki między nią a moimi przyjaciółmi.

Zaczęto się rozplýwać w pochwałach, których szczerokość była oczywista. Z wyjątkiem kilku bankierów i teoretyków finansistów, którym zresztą brakowało dokumentów dla przestudowania tych olbrzymich rachunków, wszyscy dziennikarze, deputowani, wszyscy ludzie czynu i ludzie nauki postradali zmysł krytyczny wobec tych bogactw, któremi obracał Lesseps. Doznali podobnego olśnienia, jak młodzi Lotaryńczycy przy wyliczaniu wielkich dzieł Napoleona. Myśleli tylko o tem, jakim sposobem wziąć udział w zdobyczach tej olbrzymiej armii akcyonaryuszów i właścicieli obligacyj.

Bouteiler w dniu, kiedy jego dawni uczniowie zebrali się u grobu Napoleona, pociągnięci siłą wyobraźni, zetknął się z siłą rzeczywistą z przedstawicielami rządu.

Prawdopodobnie pewna ordynarność i objawy cynizmu, zauważone podczas tej uroczystości, raziły surowego wyznawcę kantyizmu. Ale główne jego namiętności—żądza władzy i zawiść społeczna, były zaspokojone i podniecone. Z góry już się zsolidaryzował z filarami parlamentaryzmu i nad tą kwestyą więcej się nie zastanawia.

Z głębokim wzruszeniem wstępował niegdyś w progi Gambetty; w podobnym nastroju, nawet z pewnem uczuciem braterstwa, rozgrzewajacem tajniki jego duszy, ścisnął przed chwilą dłonie tych dziennikarzy i deputowanych, których działalność jest mu oddawna znana i bliska. A przytem, w ciągu wieczora zdawało mu się nieraz, że nad tem środowiskiem zapanuje z łatwością.

Pewność ta, przejawiająca się w całym zachowaniu, uprzedziła zgromadzonych trochę niekorzystnie przeciw nowemu członkowi; ale on, niezdolny

do przyjaźni, ani do nienawiści osobistej, traktujący pojedyncze jednostki tylko jako składowe części grupy, do której należą, nie dostrzegł w swej duszy najłżejszej antypatii dla nowopoznanych osobistości. Wracając pieszo do swego mieszkania na lewym brzegu Sekwany, odtwarzał w myśli wszystkie postacie z odcieniem sympatii, której dotąd nie obudzali w nim inni ludzie.

Dzielny ochotnik przyszedł do swego regimentu z uczuciami młodego pułkownika, witającego z ufnością sztandar i żołnierzy, jako narzędzia przyszłej sławy.

Spis rzeczy.

	<i>Str</i>
Przedmowa	5
I. Liceum w Nancy	11
II. W Paryżu	38
III. Miłostki Franciszka Sturel	62
IV. Proletaryat maturzystów	80
V. Traf nieunikniony	91
VI. U grobu Napoleona	105
VII. Rozprężenie i rozstrój Francyi	124
VIII. Wynik schadzki	129
IX. Bouteiller przedstawiony członkom parlamentu.	139

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

199330

Biblioteka WSP Kielce



0066455